

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-86000



2

(46) 2006

Ojciec Adam generałem WP ♦ Śluby Jana Kazimierza – 350 lat ♦ P. Krasny o Wysokiej Drodze ♦ Rozmowa z Profesorem Żakim ♦ O kościele św. Elżbiety ♦ O żaglowcu „Lwów” i lwowskich szybowcach ♦ Życie towarzyskie artystycznej braci ♦ Słownik: lwowskie pomniki i uczelnie akademickie ♦ Sylwetki ♦ Kronika ♦ Listy

LEOPOLIS UBIQUE PRAESENS

Wielka Sobota. W ten dzień mieszkańcy Krakowa (i nie tylko) chodzą po kościołach, by uklęknąć i pomodlić się przed Bożym Grobem. Wielu z nich – a krakowscy lwowiacy z zasady – odwiedzają tutejszy kościół bernardyński u stóp Wawelu, by na nowo podziwiać olbrzymie płótno Tadeusza Popiela (7x10 m, patrz CL 3/01) – Golgotę, będące tłem Grobu Chrystusa. Wrażenie jest zawsze ogromne i szkoda, że mało kto z dzisiejszych krakusów wie, skąd im się wziął ten nie mający sobie równych Bożych Grobów – ani w Krakowie, ani w jakimkolwiek mieście tego kraju. Że został tu przywieziony po II wojnie od lwowskich Bernardynów.

Patrzanie na ową Golgotę zawsze wzbudza we mnie szczególne refleksje. Już samo to słowo jakże przylega do męczeństwa, którego doznało nasze Miasto oraz setki innych miast i wiosek naszej Ziemi, gdy wieki historii, dorobku kultury i tradycji oraz milionów ludzkich losów zostały jednym pociągnięciem trzech piór przekreślone. Tu na myśl przychodzi inny – ale podobny w swej wymowie, wcześniejszy o pół tysiąca lat – dramat jednej ze stolic starożytnej i średniowiecznej Europy, miasta wspaniałej kultury – Konstantynopola, Drugiego Rzymu, który w 1453 roku został zdobyty przez tureckich najeźdźców, a jego dorobek materialny i duchowy zmiądzony.

Był i Lwów budowanym przez wieki ośrodkiem kultury – naszej zachodniej, łańskiejskiej – nie w skali całej Europy oczywiście, ale i nie tylko lokalnym. Plasował się wśród czterech duchowych stolic naszego kraju, obok Krakowa, Warszawy i Wilna. Rodził się na ziemi prapolskiej, a po trzyipółwiekowym epizodzie ruskim i mimo nieustannych zagrożeń zewnętrznych rozwijał się chwalebnie w wiekach średnich i nowożytnych w duchu łańskim, ściągając twórców architektury i sztuki z zachodniej Europy, z Wrocławia i Krakowa*. W stuleciu XIX, w czasie ponadwiekowej niewoli i ucisku, promieniował polską kulturą i miłością Matki-Ojczyzny, zasiliał powstania i chronił ich bohaterów, dawał szanse twórcom polskiej nauki i literatury. U progu naszego już, XX wieku – tak niedawno minionego – objął niepodzielnie prym, przygotowując realne podstawy do ukształtowania się Polski Odrodzonej.

A kiedy od tamtego odrodzenia minęło lat dwadzieścia i przez świat przetoczyła się najstraszniejsza z wojen, Lwów stał się jej ofiarą jedną z najboleśniejszych. Jego wielowiekowy dorobek cywilizacyjny i kulturalny uległ zniszczeniu lub zrabowaniu. Wszystko, co było świadectwem tamtej chwały, rozproszyło się i z czasem wymyka się już świadomości narodu.

Pozostali jednak ludzie – choć nie wszyscy – i duch. Lwowianie umożliwili w miarę sprawne otwarcie uniwersytetów i politechnik w kilkunastu miastach (Krakowa nie wyłączając), zakładów przemysłowych, szeroko pojętych ośrodków kultury. Jakaś część – spośród jeńców i wywiezionych, którzy mieli szczęście przeżyć – nie wróciła do kraju i w sposób godny podjęła pracę w zachodniej Europie, w obu Amerykach, w południowej Afryce, Australii. Przede wszystkim jednak nie zapomnijmy tych, którzy zostali w naszej wspólnej Małej Ojczyźnie, we Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu, w Drohobyczu, Samborze i Mościskach, na Wołyniu, w wielu miasteczkach i wsiach. Przeżyli swoją Golgotę, wytrwali. Więc myślmy o nich... więcej: pomagajmy przetrwać zły czas.

Ktoś napisał takie piękne i prawdziwe słowa:

* W tym numerze o tym dr Piotr Krasny.

Felieton

WSPOMINAM LEMA

W kwietniu pożegnaliśmy na cmentarzu Salwatorskim Stanisława Lema. Przyszliśmy wszyscy, którzy zachwycaliśmy się jego twórczością i chcieli mu oddać tę ostatnią przysługę, jaką jest złożenie do grobu. Pisarze, gdy odchodzą, zostawiają po sobie swój życiowy dorobek, i myślę, że jeszcze wiele pokoleń zachowa w pamięci jego twórczość.

Co do mnie, nie zachwycam się tym, co stało się największym dziełem Lema – jego science fiction. Po prostu jest to rodzaj literatury, którego nie rozumiem. Natomiast wspomynam zawsze spotkania z Lemem w Zakopanem, w domu wypoczynkowym ZLP. Przyjeżdżałam tam przez wiele lat poza sezonem, w październiku, i w tym też miesiącu spotykałam Lema. Ale o ile ja spędzałam czas na górskich wycieczkach, to on całymi dniami, zamknięty w swoim pokoju, pisał. Jego dzień zaczynał się o szóstej rano, a kończył późnym wieczorem. Cały czas rozlegał się w jego pokoju stukot maszyny do pisania. Przerывał pracę na krótkie chwile w czasie posiłków i wtedy udawało się z nim porozmawiać.

Był to człowiek niezwykle skromny i życzliwy ludziom. I natychmiast wyczuwało się w nim swojaka: po prostu lwowiaka. Lwów, jego miasto dzieciństwa, to były w jego życiu najlepsze czasy. Wspominał ulice, którymi chodził, ludzi, których znał. A przede wszystkim niezapomnianą atmosferę miasta. Pokpiwał sobie od czasu do czasu z mieszkańców krakowskiego grodu, ale nigdy nie było to złośliwe. Koncepcje lewicowe uznawał za bzdurne i nigdy nie traktował ich poważnie.

Gdybym chciała scharakteryzować jego postawę wobec świata, nazwałabym ją postawą mędrca, który spokojnie przygląda się szaleństwu świata i nie prowadzi wojny z jego błędami, uznając je za normalny składnik życia. Stojąc na cmentarzu, spoglądałam na rozciągający się przede mną odległy horyzont i myślałam, że jest to widok, który był i pozostał na zawsze widokiem zmarłego pisarza.

Barbara Czałczyńska

► LEOPOLIS UBIQUE PRAESENS – Lwów wszędzie obecny

Lwów jest wszędzie i zawsze. Wszędzie – bo nie ma zakątka na naszym globie, do którego by nie dotarli Lwowiacy i nie zaznaczyli tam swojej obecności. Zawsze – bo trudno znaleźć takie wydarzenie na świecie, w którym by Lwowiacy nie przynieśli chluby Polsce i swojemu Miastu.

Niezwykłe były losy Lwowiaków, których los rozrzucił po świecie. Można ich – albo ślady po nich – odszukać na wszystkich kontynentach. Gdziekolwiek i kiedykolwiek się znaleźli, wykazali, że Miasto, z którego wyszli, było miejscem niepospolitym.



GRATULUJEMY OJCZE GENERALE!

NADESZŁA WRESZCIE DŁUGO OCZEKIWANA, WSPANIAŁA WIADOMOŚĆ:
OJCIEC ADAM STUDZIŃSKI, DOMINIKANIN,
BOHATER SPOD MONTE CASSINO, KAWALER ORDERU VIRTUTI MILITARI,
ZOSTAŁ MIANOWANY GENERAŁEM WP.

Ojciec Adam Franciszek Studziński urodził się w r. 1911 w Strzemieszynie k. Żółkwi. Studia teologiczne ukończył we Lwowie, po święceniach pracował w Czortkowie. Po wybuchu wojny 1939 r. przedostał się na południe Europy, by wstąpić do Wojska Polskiego. Brał udział w kampanii włoskiej i jako kapelan niósł kapłańską posługę żołnierzom w bitwie pod Monte Cassino. Po powrocie do Polski osiadł w klasztorze dominikańskim w Krakowie, ukończył studia konserwatorskie na ASP, zajmuje się badaniem i konserwacją architektury i dzieł sztuki krakowskiego klasztoru (w tym wielu uratowanych z klasztorów wschodniomałopolskich).

Jest kapelanem kombatanów, harcerzy i legionistów, a także społeczności TMLiKPW w Krakowie.

Starania o stopień generalski dla o. Adama, zgłaszane przez liczne środowiska, trwały wiele lat. Nie jest zapewne przypadkiem, że znalazły wreszcie szczęśliwy finał właśnie teraz. Dziękujemy za to Opatrzności.

OJCZE ADAMIE! SKŁADAMY GRATULACJE I SERDECZNE ŻYCZENIA ZDROWIA I SIŁ ORAZ ZAWSZE TEJ SAMEJ ENERGII DO DZIAŁANIA. PROSIMY O DALSZĄ OPIEKĘ DUCHOWĄ NAD NAMI.

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
oraz Redakcja CRACOVIA-LEOPOLIS*

Andrzej Chlipalski

WE LWOWIE PO 350 LATACH

Wiadomo: 1 kwietnia Polska przeżywała rocznicę Ślubów Jana Kazimierza. Swoje przyrzeczenie – w obliczu szwedzkiego „potopu” w 1656 roku, w wolnym wtedy Lwowie – złożył Król w Katedrze łacińskiej przed Cudownym Obrazem Matki Bożej Łaskawej. Obwołał Ją zarazem – właśnie tam, we Lwowie – Królową Korony Polskiej¹.

Polska przeżywała – ale czy wszyscy Polacy? Czy świadomie? Zauważyliśmy przecie, że większość ważniejszych polskich mediów – prasa, radio, telewizja – nie rozpieszczały nas wiadomościami na ten temat. Ani przed, ani po. Wypadałoby się zastanowić, gdzie leży przyczyna ignorowania ze strony redaktorów (naczelnych?) takiego wydarzenia, bądź co bądź ważnego dla narodu zarówno w planie historycznym, jak i współczesnym².

* * *

Na dwa dni przed uroczystością z Krakowa – podobnie jak z innych miast: Warszawy, Wrocławia, Lublina – wyruszył autokar pełen lwowiaków i nielwowiaków, starszych, średnich i młodzieży. Wśród tych ostatnich była grupa chłopaków z krakowskiego „Sokoła” na czele z druhem Andrzejem Pawłowskim, prezesem „Sokoła-Macierzy-Lwów” (z siedzibą w Krakowie). Naza jutrz osoby nieznające jeszcze Lwowa zwiędziały miasto, jego zabytki oraz cmentarze Łyczakowski i Obrońców Lwowa.

Sobota 1 kwietnia była dniem historycznej uroczystości w Katedrze lwowskiej. Wcześniej dostaliśmy zaproszenia (niestety zaledwie dla połowy uczestników) na mszę św. oraz koncertowe wykonanie w Katedrze Oratorium *Śluby Jana Kazimierza*, monumentalnego dzieła znanego kompozytora lwowskiego przełomu XIX/XX w. – Mieczysława Sołtysa³. Na s. 6 zamieszczamy objaśnienie tego dzieła, napisane przez wnuczkę twórcy (która jest muzykologiem).

Większość więc chętnych do Katedry się nie dostała. Nie ustawiono teleekranów, jak

ogólnie się spodziewano, a ulice wokół świątyni były rozkopane (właśnie teraz wykonywane są nowe nawierzchnie, z wyjątkiem placyku za Katedrą). Miło nam było spotkać w Katedrze ks. infułata Jerzego Bryłę, do niedawna proboszcza salwatorskiego w Krakowie.

O godz. 15 do Katedry wszedł – przybyły specjalnie na lwowską uroczystość – Prezydent RP Lech Kaczyński z Małżonką i świtą. Zebrani – zarówno miejscowi Polacy, jak i przybyli, przywitali Go oklaskami. Wcześniej, wprost z lotniska, udał się na Łyczaków i złożył wieńce na Cmentarzu Obrońców Lwowa oraz – jak wymaga tego protokół dyplomatyczny – na kwaterze Strzelców Siczowych⁴.


Mszę św. koncelebrowaną odprawił ks. kardynał Marian Jaworski wraz z grupą biskupów metropolii lwowskiej. Wygłosił też polsko-ukraińskie kazanie⁵.

Po skończonej mszy w głównej nawie (przed prezbiterium) zasiadła orkiestra i chór Filharmonii Lwowskiej pod dyrekcją Jurija Łuciwa (zaprzyjaźnionego z wieloma muzykami polskimi), z udziałem członków Capellae Cracoviensis oraz paru miejscowych zespołów. W trakcie III części Oratorium Zbigniew Chrzanowski odczytał bardzo pięknie tekst Ślubów.

Po zakończeniu koncertu Prezydent opuścił Katedrę, udając się na lotnisko. Towarzyszyła mu grupa kilkunastu przedstawicieli społeczności polskiej – zaproszonych przez konsula generalnego amb. Wiesława Osuchowskiego, organizatora całej uroczystości – do udziału w krótkim spotkaniu i pożegnaniu Prezydenta. O wypowiedź w imieniu lwowskich Polaków poproszono Panią Janinę Zamojską. Jej słowa skierowane do L. Kaczyńskiego zamieszczamy na s. 7.

Wieczorem tego samego dnia Pan Konsul zaprosił elitę społeczności polskiej Lwowa i innych miast Małopolski Wschodniej oraz wielu przybyłych z RP na spotkanie w „Domu Uczonych” przy ul. Mickiewicza (czyli po prostu w naszym Kasynie Narodo-


c.d. na s. 6



Wielka Boga Człowieka Matko,
Najświętsza Dziewico.

Ja, Jan Kazimierz,
za zmiłowaniem Syna Twojego,
Króla królów, a Pana mojego
i Twoim miłosierdziem król,
do Najświętszych stóp Twoich przypadziły,
Ciebie dziś za Patronkę moją
i za Królową państw moich wybieram.

Tak samego siebie, jak i moje Królestwo polskie,
księstwo litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie,
żmudzkie, inflanckie, smoleńskie, czernichowskie
oraz wojsko obu narodów i wszystkie moje ludy
Twojej osobliwej opiece i obronie polecam,
Twojej pomocy i zlitowania w tym klęsk pełnym
i oplakany Królestwa mojego stanie
przeciw nieprzyjaciół Rzymskiego Kościoła
pokornie przyzywam.
ponieważ nadzwyczajnymi dobrodziejstwami Twymi
zniewolony palam wraz z narodem moim,
nowym a żarliwym pragnieniem
poświęcenia się Twojej służbie,
przyrzekam przeto, tak moim, jak senatorów
i ludów moich imieniem, Tobie i Twojemu Synowi,
Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi,
że po wszystkich ziemiach Królestwa mojego
cześć i nabożeństwo ku Tobie rozszerzać będę.



Obiecuje wreszcie i ślubuję,
że kiedy za przepotężnym pośrednictwem Twoim
i Syna Twego wielkim zmiłowaniem,
nad wrogami,
a szczególnie nad Szwedem odniosę zwycięstwo,
będę się starał u Stolicy Apostolskiej,
aby na podziękowanie Tobie i Twam u Synowi
dzień ten corocznie i uroczyście,
i to po wieczne czasy, był święcony
oraz dołożył trudu wraz z biskupami Królestwa,
aby to, co przyrzekam,
przez ludy moje wypełnione zostało.
Skoro zaś z wielką serca mego żalością
wrażnie widzę, że za jęki i ucisk kmieci
spadły w tym siedmioletniu na Królestwo moje
z rąk Syna Twego, sprawiedliwego Sędziego, plagi:
powietrza, wojny i innych nieszczęść,
przyrzekam ponadto i ślubuję, że po nastaniu pokoju
wraz ze wszystkimi stanami
wszelkich będę używał środków,
aby lud Królestwa mego
od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków wyzwolić.
Ty zaś, o najłitościwsza Królowo i Pani,
jakoś mnie, senatorów i stary Królestwa mego
myślą tych ślubów natchnęła,
tak i spraw, abym u syna Twego
łaskę wypełnienia ich uzyskał.

ŚLUBY JANA KAZIMIERZA (1895)

to pierwsze tak obszerne oratorium polskiego kompozytora i dyrygenta Mieczysława Sołtysa (1863–1929). Utwór został napisany do tekstów Seweryny Duchinińskiej (1816–1905), u źródeł których leżą znane fakty historyczne z XVII wieku – cudowna obrona Częstochowy i Śluby Jana Kazimierza w Katedrze Lwowskiej.

Utwór składa się z trzech części i ma charakter klasycznego oratorium, które przejawia się zwłaszcza w składzie wykonawców (chór, soliści, orkiestra) i znaczącej roli melorecytacji oraz wykorzystaniu recytatora. W oratorium część I pełni rolę prologu, II to istota utworu, a III część stanowi rozbudowany finał. Prawykonanie oratorium odbyło się we Lwowie w 1895 roku, a następne w innych miastach Polski i za granicą (np. w Berlinie w 1912 r.).

Treść Oratorium

Część I – 1656 r. Rzeczpospolita przeżywa najazd Szwedów. Diabelski chór cieszy się z na-

dejścia upadku Polski. Anioł Stróż pociesza naród, który stracił wiarę, dając mu nadzieję na zwycięstwo i wolność.

Część II – Jasna Góra. Król przybywa na Jasną Górę. Zebrany naród śpiewa hymn na cześć Bogurodzicy. Kobiety, dzieci, rycerze i wszyscy obecni proszą Matkę Boską o ratunek. U podnóża Góry, gdzie mieści się obóz najeźdźców, komendant wojsk szwedzkich Mueller nawołuje swoich żołnierzy do złamania oporu Polaków. Na Górze rycerze namawiają wszystkich o powstanie do obrony, a ksiądz Kordecki przekonuje, że zdrada jest gorsza od śmierci. Rycerze i księża modlą się i proszą o cud. Nagle na niebie w blasku tęczyowych promieni pojawia się postać Matki Boskiej. Szwedzi ze strachu rzucają się do ucieczki.

Część III – Śluby Królewskie. Podczas trwania mszy św. król Jan Kazimierz oddaje cały naród Rzeczypospolitej pod opiekę Matki Boskiej i przysięga być dobrym władcą dla swoich poddanych.

wym, zwanym popularnie Końskim). Była świetna okazja do ciekawych i sympatycznych rozmów z przedstawicielami polskich organizacji, radia i prasy, artystów, literatów, nauczycieli polskich szkół.

* * *

Następnego dnia, 2 kwietnia (niedziela), obchodzono we Lwowie pierwszą rocznicę śmierci Ojca Świętego Jana Pawła II. Wieczorną mszę św. odprawił i homilię wygłosił również kard. M. Jaworski. W tym dniu nie było zaproszeń, wnętrze Katedry – w przeciwieństwie do dnia poprzedniego – było więc przepelnione. Liturgii towarzyszyło odegranie przez Capellę Cracoviensis pod dyrekcją Stanisława Gałońskiego⁶ *Mszy Koronacyjnej* Mozarta.

Tego samego dnia przed południem piszący te słowa był obecny na mszy św. w kościele św. Marii Magdaleny. Świątynia była pełna, dużo dzieci i młodzieży. Mszę odprawił ks. Józef Wołczański, koncelebransem był młody ksiądz z Warszawy (nazwiska nie znamy), który wygłosił pełną szczególnego uroku i ciepła homilię – taką, jakich nam potrzeba we Lwowie najbardziej. Obu Księżom i ks. Biskupowi Leonowi (w tym dniu nieobecnemu w swej parafii) – serdecznie dziękujemy⁷.

Część uczestników udała się autokarem na zwiedzanie Żółkwi.

Lwów opuściliśmy wieczorem. Podróż do Krakowa trwała 14 godzin, w tym sześć godzin na przejściu granicznym w Szeginiach/Medyce. Ale i tak było pięknie i wzruszająco.

¹ Na s. 4–5 przedstawiamy treść Ślubu królewskiego, zawartą w charakterystycznej formie ramy obrazu MB Łaskawej. To ładne ujęcie przejęliśmy z otrzymanego we Lwowie folderku. Nie wiemy, kto jest autorem, ale bardzo nam się pomysł graficzny spodobał.

² Trudno sobie wyobrazić, by wszyscy redaktorzy głównych pism krajowych z własnej pilności postanowili zignorować to wielkie wydarzenie (ograniczając się do lakonicznych notatek).

³ Życiorys Mieczysława Sołtysa zamieściliśmy w CL 1/01.

⁴ Przed przybyciem Prezydenta wydarzył się incydent, znany zapewne z niektórych mediów: dyrektor cmentarza Hawryszkiewicz nie chciał otworzyć bramy, którą Goście mieli wchodzić. Dedykujemy miłośnikom koloru pomarańczowego.

⁵ W przeddzień mszy biskup Buczek rozdał kilku osobom teksty do przeczytania w czasie liturgii – w języku ukraińskim (na polskiej, narodowej uroczystości!). Osoby te na własną odpowiedzialność przetłumaczyły je na polski i tak zostały przez nie odczytane. Wyjątkiem była jedna osoba, która tekst odczytała po ukra-

ińskiego – na osobistą prośbę kard. Jaworskiego. Sokołów w galowych mundurach ks. Buczek nie dopuścił przed główny ołtarz.

⁶ O Capellae Cracoviensis pisaliśmy w CL 3/02.

⁷ Ze smutkiem trzeba poinformować, że w kościele św. Antoniego język polski odchodzi na bok.

WYPOWIEDŹ PANI JANINY ZAMOJSKIEJ NA LOTNISKU LWOWSKIM

Panie Prezydencie!

W imieniu Polaków – którzy tu zostaliśmy i jesteśmy – pragnę podziękować Panu za łaskawe przybycie do naszego Miasta w dniu święta Matki Bożej Łaskawej, Ślicznej Gwiazdy Miasta Lwowa i Królowej Korony Polskiej, za wspólną z nami modlitwę przed Jej obrazem w Katedrze lwowskiej.

Wizyta ta jest wielkim darem Pana Prezydenta dla nas. Zależało nam ogromnie na odwiedzinach Prezydenta Rzeczypospolitej w Mieście Lwowie i naszej Katedrze z okazji 350. rocznicy Ślubów króla polskiego Jana Kazimierza. Dzięki staraniom naszego konsula generalnego Pana Wiesława Osuchowskiego, Ambasadora RP, mogliśmy przeżyć tę niezwykłą uroczystość, za co serdecznie dziękujemy Panu Konsulowi.

Dziękujemy również Panu Prezydentowi za wszystkie Jego starania zmierzające ku naprawie Rzeczypospolitej, która ma powrócić do rangi państwa o kulturze i cywilizacji łacińskiej, chrześcijańskiej, bo one kształtowały nasze dzieje, a naród ma uznać wartość praworządności, bo *dura lex sed lex* i umiłować prawdę, bo *amicus Plato, sed magis amica veritas* – w stosunkach międzynarodowych także. Ze zrozumieniem, sercem i modlitwą jesteśmy z Panem, Panie Prezydencie, i życzymy pomocy Bożej w działaniu.

Na koniec Pani Janina Zamojska zwróciła się do Prezydenta Kaczyńskiego z prośbą o pomoc w sprawie oddania na własność dla rzymskich katolików we Lwowie kościoła św. Marii Magdaleny, który dziś jedynie mogą w y n a j m o w a ć na niedzielne msze. Pomimo dekretów kolejnych prezydentów Ukrainy w kwestii zwrotu świątyni i obiektów sakralnych ich właścicielom, a także kilkuletnich starań parafii MM liczącej 800 wiernych, wysiłki pozostają bezskuteczne.



Sokoli krakowscy przed rozpoczęciem mszy św.



Harczerze z Rzeszowa w czasie mszy św.



Prezydent Kaczyński i kard. Jaworski w czasie Oratorium



Z. Chrzczanowski wygłasza tekst Ślubów królewskich. Po lewej dyrygent J. Ludw.

Spotkanie sobotnie w Kasynie Narodowym. Od lewej: dyr. L. Kowalska (Strona 24), p. J. Zamojcka, pp. Tarnawieckie



Ks. J. Wolczański odprawia mszę św. u św. Marii Magdaleny (niedziela rano)



Koncert w czasie niedzielnej mszy św., dyryguje St. Gałoński



Msza w rocznicę śmierci Jana Pawła II (niedziela wieczorem). Za ołtarzem kard. Jaworski z koncelebransami



Jerzy Stankiewicz

BYLIŚMY TAKŻE

Mieszany Chór Mariański w katedrze we Lwowie inaugurował uroczystości 350-lecia Ślubów Króla Jana Kazimierza

W styczniowym szarym świcie spod Kościoła Misjonarzy NMP z Lourdes, od ponad siedemdziesięciu lat siedziby krakowskiego Chóru Mariańskiego, wyruszyły dwa autokary kierując się na wschód. Tę pielgrzymkę zainicjował, dał ideę i wszystko należycie przygotował dobry duch Chóru Mariańskiego, pan Maciej Wojciechowski. Gdy opuszczaliśmy uśpione jeszcze miasto, zaintonowane przez dyrygenta Jana Rybarskiego *Kiedy ranne wstają zorze* przejęli chórzyści, z miejsca nadając ton całej podróży. Jedziemy do Lwowa, aby w katedrze łańcuckiej otworzyć uroczystości rocznicy Ślubów Kazimierzowskich – jedyne w swoim rodzaju wydarzenia w historii Europy chrześcijańskiej, zawierzenia narodu i kraju Najświętszej Matce Boskiej, co nastąpiło 1 kwietnia 1656 r. Od tego dnia Królowa Niebios stała się Królową Polski.

Piękny przejazd przez Bieszczady, czarna nawierzchnia szosy, ośnieżone szczyty i dalekie połoniny, słońce zupełnie marcowe. Uprzywilejowany i przygotowany pismami przejazd przez granicę w Krościenku bieszczadzkiem niespodziewanie natrafia na opór materii. Sześćdziesiąt polskich paszportów w rękę ukraińskiego oficera straży granicznej, w miejscu gdzie przejazd grupy autokarami nie jest przyjęty, nastęcza poważne trudności. Po dwóch godzinach zwrot ostemplowanych paszportów, możemy jechać. Ale to fałstart, jeszcze należy załatwić ukraińskie ubezpieczenie, przynajmniej dla pięciu osób!

Po drugiej stronie granicy Smolnica, wjeżdżamy wprost na Chyrów, stamtąd wszędzie już blisko. Zbaczamy z trasy w lewo, do słynnego Dobromila. Choć jeden

rzut oka na tę cudowną kolebkę renesansowego sklepienia, wypełnionego kasetonami, jakiego nie ma nigdzie, nawet w Pułtsku. Niestety nie jest nam dane, spóźniliśmy się. Ksiądz nie mógł czekać z otwarciem kościoła. Duchowni są tak bardzo zapracowani na wschodnich placówkach, trzeba to zrozumieć.

Wracamy i teraz prosto przez Sambor do Drohobycza – drogą węższą, ośnieżoną i z koleinami. Drohobycz, to tajemne ciągle miasto Bruno Schulza, jest pierwszym etapem podróży. Najpierw gorący obiad przygotowany przez gościnnego ks. proboszcza Władysława Grymskiego, a potem szybko do fary. To jedna z trzech najwspanialszych gotyckich katedr na kresach, wraz z katedrami we Lwowie i Kamieńcu Podolskim, w obu Chór Mariański już śpiewał! Fundacja króla Władysława Jagiełły pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP, św. Krzyża i św. Bartłomieja, to ostatnie wezwanie przyjęło się najszerzej. Uroczysty koncert po mszy św. o 17.00. Chórzyści wystąpią w strojach koncertowych, tylko gdzie się przebrać? Wypełniony wiernymi kościół, wąska zakrystia, gdzie przygotowują się księża. Więc panie – w autokarze, a panowie – na kościelnym chórze. Po zdjęciu wierzchniego ubrania dopiero można odczuć, że na chórze i we wnętrzu fary temperatura jest bliska zeru. Chwilę oczekiwania lepiej spędzić na zewnątrz pod murem kościoła z nakrytą głową aniżeli wewnątrz kościoła. Ale cóż to dla chórzystów zaprawionych do każdej sytuacji. Z powrotem płaszcz i kurtki i tylko wystające muszki u panów i kolorowe szaty pań zaznaczają uroczystą atmosferę.

Koncert otwiera wprowadzenie piszące go te słowa. Podkreślam, że jestem szczególnie do tego upoważniony, bowiem po raz pierwszy Drohobycz odwiedziłem już jedenaście lat temu. Mówię o misji chóru, o jego działalności i osiągnięciach, o Drohobyczu i Krakowie. Oba miasta mają ulicę Floriańską, na której w Drohobyczu zamieszkiwał czarodziej słowa – Bruno Schulz. W obu miastach jest rynek, przy którym skośnie stoi gotycki kościół; rynek w Drohobyczu jest niestety zniszczony przez wielką halę handlową wystawioną w czasach komunizmu. Ale najsilniej nasze miasta łączy postać Jerzego z Drohobycza, którego monumentalny pomnik wystawiony został nie tak dawno

od południowej strony fary. W drugiej połowie XV w. studiował on w Alma Mater Cracoviensis i uzyskał stopień magistra. Następnie udał się do Bolonii, gdzie zgłębiał astronomię, matematykę i medycynę i otrzymał doktorat, a w kilka lat później obrany został rektorem bolońskiej wszechszkoły.

Kolęda płynie za kolędą. Pięknie intonowane, w klasycznej interpretacji formy, prowadzenia głosów i każdego jej szczegółu. Szczególna atmosfera, którą stwarza dyrygent Jan Rybarski, zaangażowania po obu stronach. Dyscypliny i oddania ze strony chórzystów; skupienia i prawie modlitewnej atmosfery wśród słuchających. Celne, trafne i często dowcipne słowa jego dopowiedzi i dialogu ze słuchaczami. Trzeba naprawdę być obdarzonym charyzmą, by tak natchnąć chórzystów i oczarować publiczność. Moment rozluźnienia, wspólny śpiew całego kościoła. Dojmującego chłodu nikt nie czuje.

Po koncercie w zakrystii – furszet, czyli mały bankiet, butenbrody, czyli kanapki, i gorąca herbata. Jest z nami wicemarszałek Senatu RP prof. Ryszard Legutko, konsul ze Lwowa Ryszard Klemm, są przedstawiciele rodzin polskich z Drohobycza, którzy zgotowali nam tak wspaniałe przyjęcie. Jest Włodzimierz Grabowski, muzykolog wykładający na miejscowym uniwersytecie pedagogicznym i w średniej szkole muzycznej. Napisze sprawozdanie z koncertu do prasy ukraińskiej. Serdeczność, gościnność, szacunek dla tych, co z kraju, odwzajemniony po wielokroć naszym rozmiłowaniem tego, co ocalało, co polskie i kresowe.

Wieczór we Lwowie. Wjeżdżamy przed Hotelem George'a na pięknie odnowiony plac pod pomnikiem Mickiewicza. Na termometrze średnio, ale powiewy wiatru obniżają temperaturę. Przejmujący ziąb, pozostaje tylko się kryć. Za rogiem placu katedralnego wytworna lwowska cukiernia na Starojewrejskiej*, stylizowana na czasy przedwojenne, czynna do 22.00. Mieszkamy u rodzin członków chóru katedralnego. Wzorowy rozdział miejsc i organizacja zarządu lwowskiego chóru i jego dyrygenta, organisty katedralnego pana Bronisława Pacana.

Nazajutrz niedziela. Przed uroczystą mszą św. wyruszamy na spacer przez Rynek, ulicą Krakowską, do Katedry Ormiańskiej, by jeszcze raz spojrzeć na mozaiki



- Józefa Mehoffera i suche freski Jana Henryka Rosena (zm. w 1982 r.), które wyniosły go aż do Castel Gandolfo. Cudowna harmonia przestrzeni architektonicznej i dekoracji naściennych. Niedościągła akustyka, wspomagana specjalną konstrukcją kopuły, akustyka, którą wyczuwa się szepcząc i spacerując po wnętrzu tej szczególnej świątyni. A gdyby zorganizować tu koncert polskiej muzyki sakralnej?

Po drugiej stronie Rynku, w katedrze polskiej, uroczysta liturgia z okazji setnej rocznicy śmierci Sługi Bożej Matki Marii od Krzyża, sprawowana przez ks. kardynała metropolitę Mariana Jaworskiego w asyście ks. biskupa Mariana Buczka. Obecny jest wicemarszałek Senatu RP prof. Ryszard Legutko, pod którego patronatem honorowym odbywamy tę pielgrzymkę, oraz Wiesław Osuchowski, konsul generalny RP we Lwowie. Atmosfera podniosła, słowa ks. metropolity, śpiew Chóru Katedralnego.

Nasz koncert otwiera gościnne słowo mgr Joanny Pacan, lwowianki, absolwentki muzykologii i doktorantki UJ. Wywodzi się z rodziny stale zamieszkałej we Lwowie, jak i zresztą ona sama, a studia ukończyła w Krakowie. Takie polskie losy już nie dziwią, a po prostu ogromnie cieszą. Joanna Pacan wita dyrygenta i członków chóru, przybliżając ich pracę i działalność. Niestety bardzo krótko, obowiązuje dyscyplina czasowa. Po koncercie chóru krakowskiego wystąpi orkiestra dęta z Przemyśla, a po południu inny chór. Katedra lwowska jest przecież tym miejscem szczególnie nobilem. Nasz koncert piękny, bardzo polski,

dociera do każdego serca. Sypią się kolędy kompozytorów lwowskich: Stanisława Niewiadomskiego, Andrzeja Nikodemowicza, Michała Woźnego, który ze Lwowa zasiadł przy organach katedry wawelskiej. Atmosfera gorąca, oklaski nie milkną. W drugim rzędzie znakomity lwowski dyrygent profesor Jurij Łuciw. Obecni księża, siostry zakonne, rodziny polskie i ukraińskie. Na koniec chwila koncentracji i wybucha tonem najwyższego dostojęstwa *Bogurodzica, Bogiem chwalena dziewica...*

Wielka Boga-Człowieka Rodzicielko i Panno Najświętsza! Ja, Jan Kazimierz, z łaski Syna Twego, Króla królów i Pana mego, i z Twego miłosierdzia król, padłszy do stóp Twoich najświętszych – Ciebie za Patronkę moją i za Królowę Państw moich dzisiaj obie ram. I siebie i moje królestwo polskie... Twej osobliwszej opiece i obronie polecam i o Twą pomoc i miłosierdzie... pokornie błagam.

Tak przysięgał we Lwowie król Jan Kazimierz w czasach potopu szwedzkiego. W 300. rocznicę tego ślubowania ks. kardynał Stefan Wyszyński, wydalony w 1956 r. do Komańczy, stworzył nowy tekst *Ślubów Narodu*, który stał się podstawą ponownego ślubowania na Jasnej Górze, powtórzonego w każdej polskiej parafii. W 350. rocznicę odnowienia Ślubów Kazimierzowskich uroczystości odbędą się w Katedrze Lwowskiej 1 kwietnia 2006 r. W tym dniu zabrzmie też największe dzieło muzyczne opiewające to wydarzenie – oratorium *Śluby Jana Kazimierza*, skomponowane w 1895 r. przez Mieczysława Sołtysa, patrona lwowskiej szkoły kompozytorskiej. Oratorium będzie wznowione po latach z inicjatywy dyrektora Stanisława Gałońskiego i wykonane przez zespoły Capelli Cracoviensis wraz z połączonymi chórami lwowskimi pod batutą profesora Jurija Łuciwa.

Pozostało się przebrać, spakować, przebić przez niemąły tłumek otaczający nasze autokary zaparkowane pod katedrą. Sprzedawcy zachęcają do kupna pamiątek, przewodników, kartek i płyt z lwowskim repertuarem, ciągle trudno osiągalnym w kraju. Barwna, powszechnie znana postać człowie-

ka-orkiestry, dmącego w trąbkę i wygrywającego jednocześnie na akordeonie patriotyczne melodie. Rozglądam się, ale z żalem nie dostrzegam tym razem zawsze tu obecnej, odwiecznej postaci polskiego kombatanta, zawsze „urzędującego” pod katedrą lub Cmentarzem Łyczakowskim. Gotowy do pokazania swoich „papierów” z legitymacją żołnierza armii polskiej w Palestynie, dumny z przychodzącej regularnie renty rządu polskiego, a za każdy ofiarowany grosz nie pozostający nigdy dłużnym, wręczając choć najskromniejszą pamiętkę ze Lwowa (przechowuję do dzisiaj otrzymaną pisanek).

Do granicy ze Lwowa tylko 80 km. Ostatni etap o zmroku przed nami, trzeba najpierw przejechać Gródek Jagielloński i Sądową Wisznię. To Mościska, 10-tysięczne miasteczko, co trzeci mieszkaniec uważa się za Polaka. Trzy odremontowane kościoły i polska szkoła tętnią życiem. Ponownie zaczyna doskwierać chłód. Czeka nas msza św. i po niej ostatni koncert w kościele OO. Redemptorystów. Z homilii dowiadujemy się, jak ogromnie ta ziemia cierpiała, w dodatku dzisiaj niewyobrażalnie biedna. W historię regionu i Mościsk wprowadza nas mieszka-

niec miasteczka Andrzej Kuc, nasz przewodnik. Nie ma tu praktycznie nikogo z ludności przedwojennej. Wywiezieni zostali wszyscy. Polacy, którzy tu nastali po 1945 r., ścigali z całej Rosji, zwalniani z obozów. Przeszli gehennę dziejów, zanim tu pod nową granicą polską, choć z drugiej jej strony, rozpoczęli życie na nowo. Tragiczną historią życia swoich najbliższych zaświadcza te fakty p. Stanisław Kuc z Krakowa, uczestnik naszej pielgrzymki.

Ostatni koncert w Mościskach, wypełniony kościoł, gorąca atmosfera spragnionych tej karmy słuchaczy. Rozbrzmiewają najpiękniejsze kolędy z tym większym zapalem, że to ostatnie tegoroczne kolędowanie. Przedstawicielka środowiska polskiego wysuwa się z kwiatami dla dyrygenta: nie! jeszcze nie koniec koncertu, proszę siadać! Jeszcze kolędy innych narodów i wieńczenie, wspólnie wyśpiewane *Bóg się rodzi...*

Misja wypełniona. W sercach więcej otuchy i radości. W naszych także. Ruszamy do Szegini i Medyki, do Krakowa przecież tak niedaleko.

* Chodzi o ul. Boimów.

Stowarzyszenie Odnowienia Kościoła w Łopatynie z siedzibą w Wójcicach 137b
48-385 OTMUCHÓW, tel. 077-43-14-276

Drodzy Kresowianie i Sympatycy Kresów Wschodnich!

Na Kresach Wschodnich pozostało wiele zabytków kultury polskiej, w tym liczne obiekty sakralne. Obiekty te były dewastowane w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu. W latach 90., po rozpadzie ZSRR, nastąpiła możliwość ratowania wielu pamiątek narodowych. Nasze Stowarzyszenie od szeregu lat troszczy się o dalsze przetrwanie zabytków polskich w Łopatynie i jego okolicy (wojew. tarnopolskie). Razem z garstką mieszkających tam Polaków i ludzi dobrej woli wiele uczyniliśmy, aby odbudować łopatynski kościół, który stanowi światową wartość zabytkową. Przechodził on różne koleje losu, ale Opatrzność Boska nie dopuściła do jego zniszczenia. W 1920 roku nie zdołało ruszyć z posad świątyni 38 armatnich kul Budionnego. Kościół przetrwał niemal 50-letni okres sowieckiego niszczenia. Polacy mieszkający w Łopatynie oraz przesiedleni do Wójcic i innych miejscowości uczynili wszystko, aby świątynia ta nadal służyła wiernym.

Kościół łopatynski nadal wymaga remontu i konserwacji. Dokonaliśmy ostatnio odwodnienia terenu przy kościele, a w okresie letnim podejmiemy wielkie zadanie konserwacji malowideł Stanisława Stroińskiego. Angażujemy do tych prac Wyższą Szkołę w Nysie – Wydział Konserwacji Zabytków. Potrzebne są znaczne kwoty na zakup materiałów w postaci farb itp. Będą duże wydatki związane z utrzymaniem studentów, którzy mają wykonywać prace konserwatorskie w ramach bezpłatnych praktyk.

Zwracamy się do wszystkich Kresowian i Sympatyków Kresów o dobrowolne datki na odnowienie łopatynskiego kościoła. Ta narodowa pamiątka dzięki wspólnej pracy będzie służyć także następnym pokoleniom wiernych. Jesteśmy przekonani, że nasza prośba zostanie zrozumiana, a zabytkowa świątynia będzie nadal wspaniałym Domem Matki Boskiej Łopatynskiej, która darzy wiernych swoimi łaskami. Serdecznie dziękujemy wszystkim ofiarodawcom.

*Przewodniczący Stowarzyszenia Odnowienia Kościoła w Łopatynie
Jan Cichewicz*

Nr rachunku odbiorcy: 54 8872 1026 0031 5090 2000 0010

PRZEDMURZE LĘDZIAŃSKIE

czyli o Polaków pochodzenia

Powstanie i konsolidacja państwa pierwszych Piastów pozwoliły na uformowanie się nowej wielkiej słowiańskiej wspólnoty etnicznej, której członkowie częściowo dobrowolnie, częściowo pod przymusem przyjęli nazwę Polaków, zaś dla swojego kraju zaakceptowali miano Polski. Obydwie nazwy upowszechniły się w świecie i funkcjonują do tej pory.

Część bliskich sąsiadów wyłamała się jednak z tej reguły. Dlaczego Węgrzy nazywają Polaków *Lengyel*, a Litwini *Lenkas*? Dlaczego średniowieczna Ruś postuluje formę *Lachowie*? Znamy wprawdzie od dawna częściową odpowiedź na te pytania, ale osnuty wokół nich spór naukowy wcale nie stygnie.

Otóż roztrząsając problem pochodzenia nietypowych etnonimów określających Polaków, stajemy wobec kwestii znacznie donioślejszych: jak przebiegała najdawniejsza granica pomiędzy wschodnią i zachodnią Słowiańszczyzną? Kiedy i dlaczego doszło do tak brzemiennego w skutkach podziału?

Znaczna część przyczyn i okoliczności rozpadu świata północnych Słowian na dwa skrzydła wciąż pozostaje w głębokim cieniu, na pewno więcej wiemy o końcowych rezultatach niegdysiejszego dramatu dziejowego. Czy studia nad terminologią etniczną mogą rzucić nieco światła na to, co skryte pod nawarstwieniami ostatniego tysiąclecia? Spróbujmy najpierw znaleźć właściwą perspektywę dla oceny wartości poznawczej „dziwnych” nazw Polski i Polaków.

Mowa ludzka pozostaje jedyną w swoim rodzaju skarbnicą tysięcy żywych reliktyw przeszłości. Miłośnika studiów nad odległymi dziejami fascynują utrwalone we współczesnych językach – niczym owady w zastygłych kropkach bursztynu – nazwy ludów dawno już nieistniejących.

Jak dzisiejsze narody europejskie zdobywały swoje miana – te własne oraz te nadane im przez innych? Okoliczności przydarzały się różne: obcy podbój, odziedziczenie nomenklatury po dawniejszych mieszkańcach tego samego terytorium, poszerzenie (często w ślad za ekspansją zbrojną) partykularnego imienia szczepowego na większą całość, zbiorowe przerwisko. Wiemy już, że nieraz sąsiedzi zakonserwowali w swoim języku określenie całkiem odmienne niż etnonim rodzimy. Przykładów można podać sporo, tutaj ograniczmy się do wskazania kilku, a każdy z nich jest na swój sposób niezwykły.

Przodkowie Francuzów sąsiedowali w III–VIII w. od wschodu z germańskim plemieniem Alamanów: dziś wszyscy Niemcy to po francusku *Allemands*. Sami Francuzi wzięli swoją nazwę od germańskich Franków, zdobywców dawnej Galii w V–VI w. Także Bułgarzy, lud stepowy pochodzenia tureckiego o pierwotnej genecie azjatyckiej (blisko spokrewniony z Hunami), zawojował pod koniec VII w. Słowian znad dolnego Dunaju, a po upływie nie więcej niż dwóch stuleci rozplynął się we wschodniobałkańskim morzu słowiańskim, pozostawiając po sobie na wieczną pamiątkę swój najważniejszy identyfikator etniczny.

W IX–XI w. część Bałtów, która w dalszym rozwoju miała stać się Łotyszami, graniczyła ze słowiańskim plemieniem Krywiczów. Trwały ślad pozostał do dzisiaj: miano *Krews* przeszło na Łotwie na późniejszych Rosjan.

Pod koniec X i w XI stuleciu dokonała się zadziwiająca transplantacja nazwy Rusów w środowisko słowiańskie, rozciągnięte pomiędzy jeziorem Ładoga a stepami nadczarnomorskimi. „Dawcy” tego określenia byli Skandynawami, pochodzącymi głównie z dzisiejszej Szwecji, którzy w IX–X w. przejawiali ogromną aktywność gospodarczą i militarną na obszarach wschodnioeuropejskich, a ich wkład w powstanie i rozkwit ki-

jowskiej potęgi państwowej trudno przecenić. W ten sposób Rosjanie i Białorusini, a do czasów niedawnych również Ukraińcy (to etnonim stosunkowo świeży, zastąpił Rusinów), kontynuują poniekąd dziedzictwo wczesnośredniowiecznych Rusów normańskich.

Czternastowieczna legenda o Lechu, Czechu i Rusie niezupełnie więc oddaje rzeczywistość: w dobie rozprzestrzeniania się Słowian (V–VII w.) biologiczni przodkowie trzeciego z braci byli czystej krwi Germanami z nad północnych wybrzeży Bałtyku. Do tego najstarszy historyczny Lech, poległy w boju w roku 805, miał niewątpliwie zaszczyt odegrać w teatrze dziejów rolę księcia... czeskiego. Jego polski imiennik jest niestety najpewniej wytworem fantazji późnośredniowiecznych (XIV-wiecznych) dziejopisów.

Od legendy wróćmy do faktów. Dość typowy mechanizm zadziałał nad górną Łabą i Wełtawą, gdzie jedno z plemion słowiańskich narzuciło w IX–X w. zwierzchność oraz miano innym ugrupowaniom i stąd swój rodowód czerpią Czesi. Do chwili obecnej Niemcy znają ich jednak jako Böhmen, co stanowi dziedzictwo łacińskiej nazwy krainy między Rudawami i Sudetami a Dunajem: *Boiohaemum* (Bohemia). Źródłostów tego z kolei pojęcia sięga IV–I w. p.n.e., gdy na terenie dzisiejszych Czech siedział celtycki lud Bojów. Żeby sprawę do reszty skomplikować, dodajmy, że współcześni Bawarzy również wywodzą swoją godność od owych całkiem niegermańskich Bojów. To nadzwyczaj trwale prahistoryczne imię plemienne nie utraciło jeszcze do niedawna swojego uroku, skoro dziewiętnastowieczni badacze wysunęli karkołomną tezę o celtycko-Bojowym pochodzeniu karpaccich Bojków, pobratymców i sąsiadów Łemków na wschodzie.

Dodajmy na marginesie, że wielki historyk średniowieczny Jan Długosz miał co do nazwy *Bohemia* odmienną, całkiem zresztą nietrafną koncepcję. Jego zdaniem kraina ta *dotąd czeską się nazywa, lubo w łacińskim języku, który słowiańskiego brzmienia wyrazić należycie nie mógł, rzeczona jest Bohemia, przeto iż Sławianie Boga*



1. Rozmieszczenie etnonimu Polaków urobionego od Lędzian (Litwa, Ruś, Wołoszczyzna, Węgry) na tle przypuszczalnego zasięgu Lędzian w X w. [obszar zakreślony]. B – Bug, D – Dniestr, H – Horyń, S – San

po swojemu Bohem nazywają¹. Dzisiaj musimy ten wywód określić jako typowy przykład naiwności tzw. etymologii ludowej.

Po tym wszystkim trudno się dziwić, że i we własnej nazwie Polaków kryje się żywa skamielina: jeszcze w pierwszej połowie X w. Polanie tworzyli jedno z większych plemion w dorzeczu Odry i Wisły. Gdyby nie korzystny właśnie dla nich los historyczny (czyli racjonalnie wykorzystany potencjał ekonomiczny i wojskowy oraz dogodne położenie geopolityczne), to zapewne realizowalibyśmy teraz swoje narodowe interesy jako wspólnota Goplan, Słężan, Lędzian lub – przed czym Perun ze Swarogiem szczęśliwie nas uchwali, przynajmniej co do nomenklatury – Dziadoszan albo nawet Głupogłowców.

W oczach piszących po łacinie sąsiadów z zachodu już od przełomu X i XI w. stawali się *Polakami* (*Poloni*), a nasz kraj *Polonią*. Proces zewnętrznej (jak i wewnętrznej) identyfikacji Polaków dopiero się jednak zaczynał.

Dzisiaj jesteśmy więc nimi wskutek swobodnego przypadku historycznego, a ściślej – efektu gry sił plemiennych przed ponad tysiącleciem. Budzi to całkiem usprawiedliwioną ochotę do uruchomienia wyobraźni i odpowiedzenia na parę niekonwencjonalnych pytań.

Pierwszą z narzucających się kwestii – dlaczego powstało tylko pojedyncze, a nie dwa lub więcej „państw polskich” – na tym miejscu sobie darujemy. Wcałe zresztą nie jest

► ono takie absurdalnie, na jakie być może wygląda. Pozostajmy natomiast przy równie frapującym problemie: kto jeszcze oprócz Polan miał tę jedyną szansę zakonserwowania pamięci o sobie w nazwie własnej jednego z całkiem sympatycznych narodów środkowoeuropejskich?

Spośród różnych możliwości nazewnictwo-państwowotwórczych są przesłanki do wskazania na Lędzian. W jakimś sensie zarejestrowały to ludy usadowione za naszą ścianą wschodnią i południowo-wschodnią. Językoznawcy zgadzają się co do tego, że zarówno ruskie określenie *Lachowie*, jak i litewskie *Lenkas* stanowią nieco przetworzoną nazwę *Lędzian-Lęchów*. W kwestii węgierskiego *Lengyen* (czytaj: Lendien), zastąpionego później przez *Lengyel*, komentarz jest właściwie zbyteczny, gdyż podobieństwo każdy musi uznać za oczywiste [patrz mapka 1].

Lędzianie byli z pewnością ludem licznym, prężnym i zasobnym w ziemię, jeżeli ich pozycja i siła (bo chyba nie tylko samo usytuowanie na peryferiach kształtującego się polskiego masywu etnicznego) wywarła aż tak silne wrażenie na naszych sąsiadach wschodnich i południowo-wschodnich.

To zastanawiające, ale żaden z powstałych w Polsce średniowiecznej dokumentów, żadna zapisana przez późniejszych kroni-

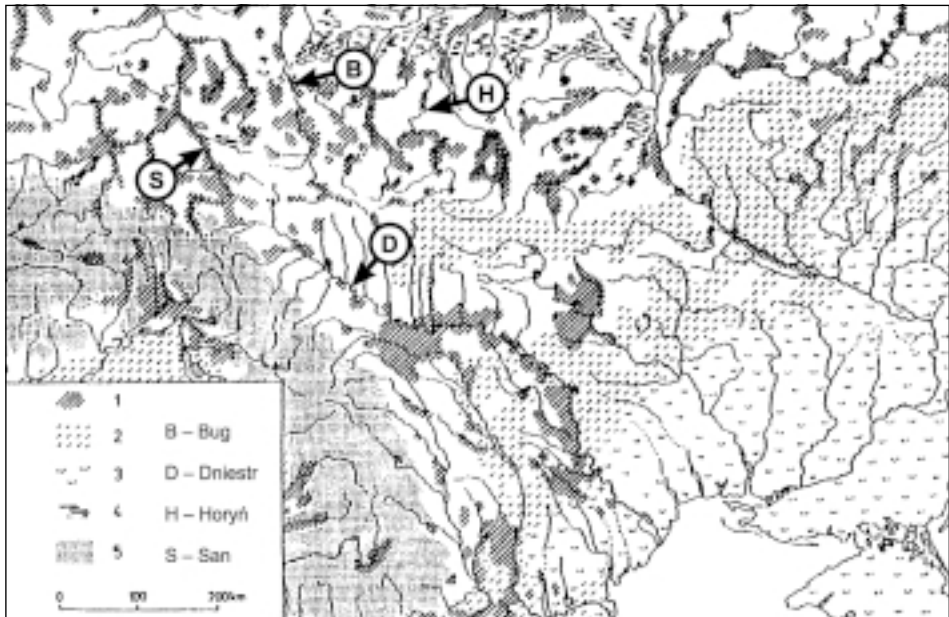
karzy tradycja nawet nie wspomina o plemienu Lędzian. Bezpośrednio dowiadujemy się o nich z dwóch zaledwie źródeł obcych.

Tak zwany Geograf Bawarski w połowie IX w. wymienia sporą liczbę 98 grodów, którymi mieli władać *Lendizi*. W dziele *O zarządzaniu imperium*, powstałym w połowie następnego stulecia, cesarz bizantyjski Konstantyn Porfirogeneta podaje garść kapitalnych doniesień na temat Lędzian. Dowiadujemy się, że zamieszkiwali teren obejmujący fragment sieci wodnej Dniepru, że ich siedziby sąsiadowały z koczowiskami nomadzkich Pieczyngów – krainą labdier-tim (która ponadto miała styczność z dziećzinami Drewlan, Uliczów oraz innych Słowian), że wreszcie posiadali status sojuszników albo – jak w innej wzmiance – trybutariuszy (tj. poddanych) Rusów kijowskich.

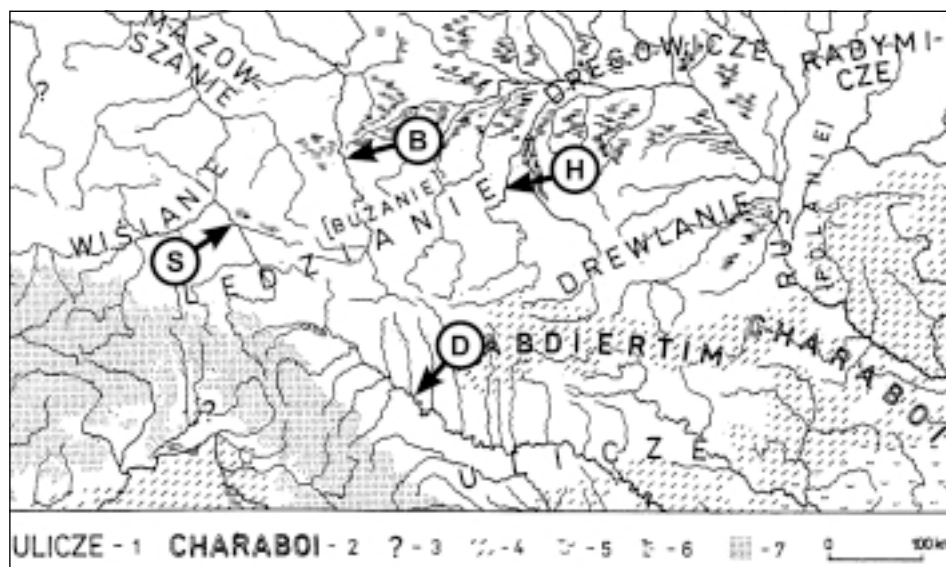
Ponadto wszystko wskazuje na to, że w *Powieści dorocznej*, zredagowanej ostatecznie z początkiem XII w., pod zniekształconą już nazwą „Lachów” występują Lędzianie. Zamieszczony tam zwięzły zapis informuje, że w roku 981 książę kijowski Włodzimirz *poszedł (...) ku Lachom i zajął grody ich, Przemyśl, Czerwień i inne grody, które są i do dziś dnia pod Rusią*².

Z przytoczonych danych wyłania się dość oczywista konkluzja: w X w. siedziby Lę-

2. Rozmieszczenie siedzib słowiańskich na tle międzyrzecza Wisły i Dniepru w VIII–X w. w świetle znalezisk archeologicznych. 1 – obszary zasiedlone; 2 – strefa leśnotępastwa; 3 – step; 4 – bagna; 5 – góry powyżej 500 m npm (wg opracowań różnych autorów)



3. Mapa etniczna międzyrzecza Wisły i Dniepru około połowy X w. 1 – plemiona słowiańskie i Ruś; 2 – nazwy okręgów pieczyńskich; 3 – plemię słowiańskie o nieznannej nazwie; 4 – strefa leśno-stepowa; 5 – step; 6 – bagna; 7 – góry powyżej 500 m n.p.m.



dziań obejmowały przynajmniej dorzecze Sanu oraz górnego i środkowego Bugu, a także jakąś znaczącą partię zlewiska Prypeci.

Wniosek ten jest niezmiernie trudny do pogodzenia z innym, bardzo skądinąd zagmatwanym przekazem *Powieści dorocznej*, zgodnie z którym w dobie plemiennej *Dulebowie (...)* mieszkali nad Bugiem, gdzie dziś (zapewne w początkach XII w.) *Wołynianie*. Parę ustępów wcześniej dowiadujemy się natomiast, że ten sam teren zajmowali *Bużanie, ponieważ siedzieli nad Bugiem, później zaś Wołynianie*³.

Kim zatem byli w X wieku rdzenni mieszkańcy ziem pomiędzy Wieprzem, Sanem, górnym Dniestrem i Horyniem? Czy rację miał „urodzony w purpurze” Bizantyjczyk, czy piszący w następnym stuleciu kronikarz kijowski?

Zagadka ta ma moc magnetyczną i od czasów Joachima Lelewela przyciąga uwagę najwybitniejszych mediewistów oraz słowianoznawców polskich, rosyjskich i ukraińskich, ale też czeskich czy węgierskich⁴. Długoletni spór nie dał wprawdzie jakiegoś ostatecznego rozstrzygnięcia, ale przybliżył ocenę wiarygodności źródeł, z której czerpiemy podstawy naszej wiedzy.

Uważam, że racja jest jednak po stronie świątelnego cesarza-intelektualisty. Za Porfirogenetą przemawia nie tylko wyjątkowa rze-

telność innych jego przekazów, odnoszących się do Europy Wschodniej (relacjonował przy tym fakty sobie współczesne), ale również zdumiewająco wierna forma zapisu nazwy Lędzian: *Lendzaninoi* i *Lendzeninoi*. Dane Konstantyna na temat zachodniej peryferii kręgu wpływów ruskich w X wieku z pewnością zasługują na większe zaufanie niż enigmatyczne i niejasne sformułowania kijowskiego latopisu, dotyczące dziwnej, plemiennej „sekwencji nadbużańskiej”.

Klucz do odtworzenia przebiegu wschodniej granicy Lędzian leży w identyfikacji tajemniczej krainy *labdiertim*, zamieszkiwanej w połowie X wieku przez jeden z dzikich i agresywnych szczepów nomadzkich. I właśnie owe złowrogie „walory” Pieczyngów dają szansę na uchwycenie zasięgu terytorium *labdiertim*. Jeżeli w X wieku panoszyli się tam budzący trwogę koczownicy, to osiadła ludność słowiańska z pewnością omijała takie miejsca z daleka!

I rzeczywiście, niedoskonała jeszcze wprawdzie archeologiczna mapa rozmieszczenia plemiennego osadnictwa słowiańskiego pomiędzy Wisłą, Karpatami i Dnieprem ukazuje całkiem rozległą przestrzeń niezasiadloną. Dostrzegamy ją w północnych partiach Wyżyny Podolskiej i Naddnieprzańskiej, po obydwu stronach wielkiego działu wodnego, który rozgranicza dorzecze Dniepru od zlewiska Dniestru i Bohu. ▶

► Obszar ten tworzy odnogę strefy leśno-stepowej, wysuniętą daleko ku północnemu zachodowi niczym groźny palec orientalnego satrapy. To peryferyjna część euroazjatyckiego Wielkiego Stepu, naturalnego od tysiącleci środowiska koczowniców [patrz mapa 2].

Wiemy na pewno, że w X wieku ten właśnie teren sąsiadował od północy z domenami Drewlan, a od południa najprawdopodobniej z Uliczami. Dla Łędzian pozostałyby zachodnia i północno-zachodnia otulina „jęzora” leśnostepowego: górne dorzecza Dniestru, Bugu oraz Styru, a zapewne również i Horynia [patrz mapa 3].

Trudno zaprzeczyć, iż fakty archeologiczne doskonale korespondują z informacjami Konstantyna Porfirogenety!

Odmawiamy zatem racji bytu mitycznym latopisowym Dulebom nadbużańskim. Plemienna ojczyzna Łędzian (*Lęchów-Lachów*) obejmowała bardzo okazałą połąć ziemi na styku dorzeczy Wisły, Dniepru i Dniestru. Zapewne dopiero w X wieku los obsadził wspólnotę łędziańską w roli krótkotrwałego wschodniego „przedmurza” dla integrującego się polskiego bloku etnicznego. Potem została po niej tylko nazwa, która dzisiaj więcej znaczy dla Węgrów, Litwinów i Ukraińców niż dla współczesnych Polaków.

¹ Przekład K. Mecherzyńskiego

² Przekład F. Sielickiego

³ Przekład F. Sielickiego

⁴ W ostatnim półwieczu szczególnie wkład do dyskusji na ten temat wnieśli m.in. H. Paszkiewicz, A.N. Nasonow, H. Łowmiański, T. Lehr-Splawiński, S.M. Kuczyński, G. Labuda, J. Isajewycz, T. Wasilewski, J. Nalepa i ostatnio W. Makarski.

Powyższy tekst został wcześniej opublikowany w czasopiśmie „Archeologia żywa” nr 4 (5) 1997, s. 27–31, i za zgodą Autora wykorzystany w naszym kwartalniku.

Autor jest profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Instytucie Archeologii. O przyczynach i okolicznościach rozpadu północnej Słowiańszczyzny pisał szerzej w książce: *Początki kształtowania się polsko-ruskiej rubieży etnicznej w Karpatach. U źródeł rozpadu Słowiańszczyzny na odłam wschodni i zachodni*, Kraków 1991. Por. także artykuł M. Parczewskiego: *Problem Łędzian a kształtowanie się polsko-ruskiej rubieży etnicznej* (Civitas Schinesghe cum pertinentiis, Toruń 2003).

Piotr Krasny

MIĘDZY NORYMBERGĄ A MORZEM CZARNYM

O ROLI „WYSOKIEJ DROGI”
W KSZTAŁTOWANIU KULTURY
ARTYSTYCZNEJ LWOWA
I WOJEWÓDZTWA

Mieszkańcy średniowiecznej i nowożytnej Europy wytwarzali więzi społeczne przede wszystkim na obszarze „małego sąsiedztwa”, skupionego wokół większego miasta, w którym spotykali się nieustannie przy okazji jarmarków, sądów lub wykonywania podstawowych czynności urzędowych. Poczucie więzi państwowej, a tym bardziej narodowej było odczuwane znacznie słabiej, ponieważ nie mogło być podsycane takimi osobistymi kontaktami. Nieco inaczej miały się jednak sprawy w „małych sąsiedztwach”, nanizanych na wielkie szlaki handlowe, które spajały te obszary z głównymi miastami państwa, a czasem także z wielkimi metropoliami zagranicznymi. Podróżni, przemierzający się po owych drogach, przynosili informacje z dalekiego świata oraz rozpowszechniali nowe idee, wzorce postaw i mody. Mieszkańcy miast położonych przy szlakach handlowych dbali o wygląd swoich osad, chcąc nie tylko „popisać” się przez licznych gości, ale także zachęcić ich do wspólnego prowadzenia interesów. Szlachta zdawała sobie sprawę, że rezydencje położone przy ważnych traktach są częściej oglądane, a więc lepiej ukazują jej prestiż, toteż starała się szczególnie o dostosowanie ich form do aktualnych mód artystycznych.

Ekonomiczną podstawą takich przedsięwzięć były zyski czerpane z handlu, rozwijającego się wzdłuż głównych dróg, a związane nie tylko z bezpośrednią wymianą handlową, ale także z zabezpiec-

zeniem potrzeb aprowizacyjnych podróży. Bogacili się więc nie tylko kupcy i rzemieślnicy, ale także ziemianie, a nawet chłopcy, którzy mogli liczyć na łatwy zbytny produktów rolnych. Nie można też przemilczeć, że wzdłuż ważnych szlaków handlowych rozwijały się nieraz działania wojenne, ale korzyści odnoszone w okresie pokoju przewyższały wielokrotnie straty powodowane przez najeźdźców. Osobom zamieszkałym wzdłuż traktów handlowych dość obce były więc uczucia ksenofobiczne. Przybysze kojarzyli się im raczej z możliwością zysku i ciekawego kontaktu niż z zagrożeniem.

Najważniejszym traktem przebiegającym przez południowo-wschodnie ziemie Królestwa Polskiego była *Hoche Strasse* – Wysoka Droga, łącząca Norymbergę oraz inne wielkie miasta Cesarstwa Niemieckiego (Rzeszy) poprzez Wrocław, Kraków, Lwów i Kamieniec Podolski z wybrzeżem Morza Czarnego (jej „następczynią” jest więc dzisiejsza droga krajowa nr 4). W okresie wojen turecko-weneckich w XVI i XVII wieku, utrudniających prowadzenie handlu na Morzu Śródziemnym, szlak ten stał się jedną z najważniejszych dróg tranzytowych, służących handlowi Europy zachodniej z Le-

wantem. Ruch wielkiej masy osób, odbywający się po tym szlaku, musiał rzecz jasna wpłynąć na ożywienie ekonomiczne i intelektualne sąsiednich obszarów.

Na terenie Małopolski Wysoka Droga przechodziła przez Kraków, Tarnów, a następnie – przez Rzeszów, Łańcut, Przeworsk, Jarosław, Radymno, Przemyśl, Mościska, Gródek Jagielloński i Lwów, wpływając bardzo zdecydowanie na wzrost prestiżu tych miast. Jarosław, Przemyśl i Mościska stały się ważnymi ośrodkami handlowymi, w których odbywały się wielkie, wielotygodniowe jarmarki, wzbogacające miejscowych kupców i rzemieślników. Rzeszów i Łańcut zostały wybrane na główne miasta rezydencjonalne potężnych magnackich rodów: Ligęzów (później Lubomirskich) oraz Stadnickich (a następnie Lubomirskich i Potockich). Radymno stało się siedzibą biskupów przemyskich, którzy przebywali w nim z reguły częściej i chętniej niż na dworze przy swojej katedrze. Lwów stał się jednym z najważniejszych w Rzeczypospolitej ośrodków handlowych, politycznych, naukowych i kościelnych. Warto również zauważyć, że właśnie wzdłuż Wysokiej Drogi rozwijały się najważniejsze sanktaria w południowo-wschodniej części Królestwa Pol-



Prebieg Wysokiej Drogi naniesiony na mapę współczesną

► skiego (bernardyni w Rzeszowie, jezuita w Jarosławiu, dominikanie i franciszkanie w Przemyślu, dominikanie we Lwowie), które już w XVIII wieku mogły chlubić się koronowanymi wizerunkami Matki Boskiej. Ośrodki pielgrzymkowe położone bardziej na uboczu (dominikanie w Borku Starym, kościół farny w Rudkach) traciły zaś często na znaczeniu, a do koronacji cudownych obrazów doszło w nich dopiero w okresie gwałtownego ożywienia życia religijnego w Galicji na przełomie XIX i XX wieku.

Zasobność i prestiż miast i sanktuariów usytuowanych wzdłuż Wysokiej Drogi znajdowały wielokrotnie wyraz w ważkich przedsięwzięciach budowlanych i artystycznych. Nie sposób tu rozwodzić się nad okazałością i monumentalizmem zabudowy Lwowa, ale warto podkreślić, że Przemyśl i Jarosław były jednymi z nielicznych miast w Rzeczypospolitej, w których zabudowie wewnątrz murów dominowały murowane wielopiętrowe kamienie. Zamki w Rzeszowie i w Łańcucie, zaliczane do najokazalszych siedzib magnackich w Rzeczypospolitej, były poddawane nieustannym rozbudowom w celu dostosowania ich wyglądu do aktualnych europejskich mód. Wszystkie wymienione wyżej ośrodki pielgrzymkowe słynęły zaś nie tylko dokonującymi się w nich cudami, ale także wspaniałością świątyń i ich wyposażenia.

Wysoka Droga „wnosiła” do Małopolski i na sąsiednie obszary nie tylko środki na ważne przedsięwzięcia artystyczne, ale także „sprowadzała” często artystów, zapewniających wysoki poziom ich realizacji. Katedra we Lwowie i część umocnień tego miasta została wzniesiona przez budowniczych przybyłych za Śląską. Mistrzowie, którzy odegrali kluczową rolę w ukształtowaniu oblicza rzeźby lwowskiej w XVI i XVII wieku, Andrzej Bemer, Hanusz Scholz i Jan Pfister, pochodzili z Wrocławia i tam ukształtowali charakter swojej sztuki. Rozwiązania stylistyczne Tomasza Huttera, który zdominował snyderkę Lwowa i województwa pod koniec pierwszej połowy wieku XVIII, świadczą, że artysta ów wywodził się z pewnością z krajów Rzeszy, a niemal na pewno przebywał przez dłuższy czas na obszarze Bawarii lub Szwabii. Wśród reprezentantów znakomitej lwowskiej szkoły rokokowej prze-

ważali także przybysze z Cesarstwa Niemieckiego (Fesingerowie, Jan Jerzy Pinsel), którzy mogli przyjechać do Rzeczypospolitej poprzez Śląsk.

Przed wszystkim należy jednak zwrócić uwagę na bliskie związki sztuki Lwowa i Krakowa, które ujawniły się już w okresie średniowiecza, a przybrały na sile w okresie nowożytnym. Problem nie jest jak dotąd przebadany odpowiednio do swojej rangi, ale wiemy na przykład, że pomiędzy Lwowem i Krakowem obracali się liczni rzeźbiarze w okresie późnego renesansu, a na początku XVII wieku silny wpływ na sztukę tamtego województwa wywarli naśladowcy Baltazara Fontany.

Trzeba też odnotować, że wielu artystów i warsztatów artystycznych przemieszczało się wzdłuż Wysokiej Drogi, znacząc swój szlak wybitnymi dziełami. Tak działo się w przypadku warsztatu budowlanego, który około roku 1620 wznosił kościół bernardynów w Rzeszowie, świątynię benedyktynek w Jarosławiu i okazałą kaplicę pałacową w podprzemyskim Krasiczynie. Dzieła Jana Pfistera znajdują się we Lwowie, Tarnowie i najpewniej w Rzeszowie, a Tomasza Huttera – w Tarnowie, Rzeszowie, Łańcucie, Jarosławiu, Przemyślu i Lwowie. Być może nie było więc dziełem przypadku, że artysta ten prowadził swój warsztat w Jarosławiu, który był – jak pamiętamy – jednym z ważniejszych ośrodków handlowych Wysokiej Drogi, położonym mniej więcej pośrodku jej odcinka przebiegającego przez tamte ziemie.

Badania historyczno-artystyczne dowodzą więc, że w okresie staropolskim Wysoka Droga odegrała kluczową rolę w kształtowaniu kultury Małopolski i ziem sąsiednich, spajając ten obszar silnie i trwale z Europą Zachodnią oraz zapewniając mu nieustanny transfer zachodnioeuropejskich idei artystycznych. Nie czuję się kompetentny, aby wskazywać paralelne zjawiska w innych sferach życia kulturalnego, choć wydaje mi się, że badania nad tymi problemami byłyby bardzo owocne. Więcej uwagi warto poświęcić także roli Wysokiej Drogi jako gospodarczej, kulturalnej i artystycznej osi, spajającej Lwów z Krakowem.

Tę ostatnią kwestię warto zaakcentować szczególnie silnie na łamach czasopisma zatytułowanego „Cracovia – Leopoldis”.

Z profesorem

Andrzejem Żakim

**historykiem i archeologiem,
rozmawia Janusz M. Paluch**



Panie profesorze, pojawia się pan i znika! Kiedy zaczynałem studia, pańska książka „Archeologia Małopolski wczesnośredniowiecznej”, która ledwie się ukazała, poddawana była przez znawców przedmiotu wnikliwej analizie. Pana już w Krakowie nie było. Od tamtego czasu minęło jakieś trzydzieści lat. Ja już zapomniałem o archeologii – pan się pojawia!

Rzeczywiście długo przebywałem poza Krajem. A książka, taka gruba cegła, ukazała się w 1974 r. To była rozprawa – jak wiele innych w moim życiu – pisana pośpiesznie, częściowo już na emigracji. Pojechałem do Szwajcarii, gdzie moja żona od paru już lat mieszkała, a ja, w Krakowie i w Karpatach, tkwiłem w pracach archeologicznych. W końcu wyjechałem z Polski, nie bez bólu, ale i bez żalu. Na emigracji mogłem bardziej rozwijać innego rodzaju dzia-

łalność. Przede wszystkim więcej podróżowałem naukowo! Chociaż pracując jeszcze na Wawelu podróżowałem trochę. W latach 50. byłem w Chinach. To był ewenement wyjechać poza granice Polski. Ale Chiny były wtedy dobrze widziane w PRL-u, więc puszczono mnie. Poznałem tam Pei Wen Czunga, współautora wykopalisk sinantropa pekińskiego, i zwiedziłem dziesiątki stanowisk i zabytków archeologicznych.

Do Krakowa przybył pan jednak z Kresów.

No tak... Urodziłem się w Świrzu, na styku województwa tarnopolskiego z lwowskim. Pochodzę z rodziny nauczycielskiej. Moi rodzice lubili swój zawód. Zwłaszcza ojciec, który oprócz tego aktywnie uczestniczył w życiu społecznym i do pewnego stopnia politycznym. Mam tu na myśli m.in. organizację „Strzelca”, która na Kresach miała szczególne znaczenie. Przewodził jej w skali krajowej Tadeusz Żeńcykowski, wybitny i szlachetny człowiek, po wojnie światowej prawa ręką Jana Nowaka-Jeziorańskiego w Radiu Wolna Europa. Uczęszczałem do gimnazjum w Przemyślanach, okres okupacji niemieckiej spędziłem w Świrzu, w konspiracji AK-owskiej. Z tamtego czasu zapadła mi w pamięć śmierć księdza Kwiatkowskiego, który został uprowadzony i zamordowany przez Ukraińców. Jednak jakiejś większej akcji antypolskiej w naszym miasteczku nie pamiętam. Świrz prawie w 90% był polski. Trzymał się mocno, chociaż wokół paliły się wsie. Jesienią w 1944 r. znalazłem się – z częścią rodziny – w Jędrzejowie i tam po krótkim pobycie w niemieckim obozie przyfrontowym doczekałem się końca wojny i podjęcia studiów na odradzającym się Uniwersytecie Jagiellońskim.

Skąd u pana profesora zainteresowania archeologią? Przecież z wykształcenia jest pan historykiem!

Tak, to prawda. To objawiło się już w Świrzu. Niewyżyte ambicje ujawnienia zabytków rodzinnych stron spowodowały, że zacząłem pisać historię Świrza. Począwszy od kościoła i zamku. Zamek, wspaniały czworobok z basztami narożnymi, był przed 1939 r. w posiadaniu Ireny z Lamezanów Komorowskiej i Tadeusza Bora-Komorowskiego. Ojciec pani Komorowskiej, generał Lamezan, spolonizowany pół-Austriak, pół-Francuz, utrzymywał bliski kontakt z moim ojcem. Zamek był już przed wojną miejscem przy-

► ciągnącym turystów. A my byliśmy z niego bardzo dumni! Oczywiście nie identyfikowałem się mocno z tym miejscem, ale bawiłem się w znawcę jego dziejów. No i kościół renesansowy, jednonawowy, pw. Trójcy św. i Wniebowzięcia Matki Boskiej, z późniejszym wystrojem wnętrza, z plafonami, tarczami herbowymi, oczywiście głównie Świrskich. Już z końcem XV w. byli właścicielami zamku i miasta. Odrysowywałem z mozołem te zabytki i obfotografowywałem je aparacikiem „Kodak-baby” za ówczesne 12 złotych!

Mógł pan bywać na zamku?

Mój ojciec znał dobrze generała i córkę, panią Komorowską. Ona przychodziła do szkoły, na koniec roku zawsze fundowała dzieciom słodczyce. Pan Komorowski rzadko bywał w Świrzu. Najczęściej przebywał w Trembowli lub w Grudziądzu, gdzie stał jego pułk, ja zaś opuściłem Świrz w 1935 r., wraz z rodzicami przenosząc się do Przemysła. Po wojnie w 1945 r. zapisałem się na historię na Uniwersytecie Jagiellońskim. I moja praca magisterska dotyczyła właśnie historii Świrza! Promotorem była prof. Józef Widajewicz, ongiś profesor poznańskiego uniwersytetu.

A archeologia?

To przede wszystkim praktyka. Oczywiście na historii wykładali również archeolodzy, dr Rudolf Jamka czy prof. Stefan Nosek. Właściwie to był czas, kiedy będąc historykiem nie można było umknąć pracom wykopaliskowym. 1945 rok, wojna dopiero się skończyła – a już archeolodzy grzebali w zrujnowanym Wrocławiu. I jako student uczestniczyłem tam w wykopaliskach. Przez to związałem się z krakowskim Muzeum Archeologicznym, mieszczącym się wtedy po części przy ul. Sławkowskiej, po części przy św. Jana. Dyrektorem był wówczas doc. Tadeusz Reyman – wspaniała postać, jakże skromny człowiek. Uczestniczyłem w jego badaniach w Igołomi, Zofipolu i Tropiszowie. On jeszcze przed wojną odkrywał tam słynne piece garncarskie. Zabrał wtedy mnie i Buratyńskiego. Początkowo dość biernie do tych badań podchodziłem. Badaliśmy stanowiska neolityczne, m.in. kultury ceramiki wstęgowej-rytej. Ale zaczęło mnie to wciągać, zaczęło mi się podobać. Postanowiłem coś więcej zdziałać w tym zakresie. Wtedy do pisania zachęcił mnie prof. Stefan Nosek. W 1949 r. obroniłem doktorat, które-

go tematem były „Początki kultury łużyckiej w dorzeczu górnej Wisły”. Moim promotorem był właśnie prof. Stefan Nosek, który pracował wówczas w Lublinie. Był to mądry, inteligentny i wysoce operatywny człowiek, interesujący się wieloma płaszczyznami i aspektami prahistorii. A kulturą łużycką za interesowałem się wówczas z tego względu, że za Lehrem-Splawińskim – z którym dane mi było kontaktować się w tamtym czasie – uchodziła ta kultura za prastłowiańską. Jednak bardziej – sam nie wiem dlaczego – pociągał mnie okres wczesnego średniowiecza. Może dlatego, że to jednak bliżej historii? Zaczęły się też pierwsze prace na Wawelu, raczej porządkowe i organizowane przez historyków sztuki. Pieczę nad tymi pracami miał wówczas dr Gabriel Leńczyk i ja. Leńczyk równolegle prowadził badania na grodzisku w Tyńcu. Gdy doszło wówczas do kontrowersji z historykami sztuki, Leńczyk rozstał się z Wawelem i skupił na badaniach w Tyńcu, wiążąc się ściśle z Muzeum Archeologicznym. Wtedy, od 1950 r., objąłem samodzielny nadzór nad badaniami archeologicznymi na Wawelu. Bardzo się tym przejąłem. Zdaje pan sobie sprawę, jaka to odpowiedzialność prowadzić badania archeologiczne na takim jak Wawel, ważnym dla dziejów Polski, stanowisku! Ale to przecież nie wszystko! Był rok 1951, kiedy w miejscowości Wietrzno-Bóbrka w Karpatach, gdzie prowadziłem wykopaliska, zrodziła się tzw. Karpacka Ekspedycja Archeologiczna. Uczestniczyli w niej znakomici później badacze, jak Zollówna, Kazimierz Godłowski, Jerzy Potocki, Jan Machnik, Zenon Woźniak. Był wśród nich także, późniejszy profesor Politechniki Warszawskiej, Witold Szolginia!

Ale przecież Szolginia nie był archeologiem!

On był wtedy studentem architektury i pracował jako robotnik fizyczny, opowiadając jakże barwnie o swych wojennych przygodach. Prowadziliśmy tam badania ratownicze na grodzisku. Po nas miały się zjawić ekipy geologiczne w poszukiwaniu ropy naftowej.

Opowiadano wśród studentów, z dużym podziwem, anegdotę o prof. Kazimierzu Godłowskim, który w czasie badań powierzchniowych w Karpatach przekroczył kordon, czyli sowiecką granicę.

Tak, to prawda. Oczywiście natychmiast został zatrzymany, odtransportowany do

Lwowa na przesłuchania. Może wyglądało to anegdotycznie z perspektywy czasu. Ale wtedy nie było to takie śmieszne! Nielegalne przekroczenie granicy! Ja niewiele o tym wiem, na szczęście nie uczestniczyłem w tych badaniach!

Ile lat poświęcił pan na badania archeologiczne w Karpatach?

Co najmniej kilkanaście sezonów, rok po roku, tam spędzałem.

Jedne z ważniejszych pana prac badawczych miały jednak miejsce w Przemyślu. Czy należy je wiązać z Karpacką Ekspedycją Archeologiczną?

Nie. To raczej efekt prac prowadzonych na wawelskim wzgórzu. To były szalone lata 50., lata badań nad początkami państwa polskiego. Zacząłem właściwie od stwierdzenia, że zamek przemyski nie był nigdy badany. My w Krakowie przekopujemy wzgórza wawelskie, a w Przemyślu nic się nie robi! A przecież, wyobrażałem sobie, musi być to szczególnie miejsce w dziejach Polski. Do tego dochodziły relacje spraw polsko-ruskich. To mnie bardzo zdopinguowało i pochłonięło, w okresie wakacyjnym podjąłem wykopaliska na zamku przemyskim. Niestety trafiłem tam na lokalnych poddanych prof. Jamki, z którym się nie kochaliśmy. To dziwna rzecz... Ja nie miałem żadnych powodów do antagonizmów, ale ponieważ sympatyzowałem z prof. Noskiem, a Nosek i Jamka się absolutnie nie znosili, to wystarczyło. Przecież między nimi dochodziło do jakichś sądów honorowych! I to spadło na mnie! A mnie przecież to nic a nic nie obchodziło! W Przemyślu był wówczas Antoni Kunysz, który był mocno, bardzo mocno ustawiony politycznie – również w Rzeszowie. Prof. Jamka nie był wroga do mnie nastawiony, ale wspierał jednak swego ucznia – Kunysza. Kiedy więc znalazłem się na przemyskim zamku, to świeżo upieczonemu magistrowi bardzo się to nie podobowało. Wtedy się zaczęły utrudnienia. Nawet niszczone mi wykopy! Ale mimo wszystkiego doprowadziłem prace do końca.

To znaczy?

Odkopałem reliktów wczesnopiastowskiej architektury: palatium połączone z rotundą. Zakładałem, że muszą się one znajdować na zamkowej górze. Nie pomyliłem się. W końcu tam była siedziba księstwa, gdzie siedzieli polscy książęta!

W jednym ze swych tekstów pisał pan o problemach etnicznych południowo-wschodniej Polski. Jak to wygląda w świetle obecnych pana poglądów?

Oczywiście granic *sensu stricte* nie da się tam chyba nigdy wytyczyć. Jest jednak oczywiste, zgodne ze źródłami historycznymi i archeologicznymi, że Przemyśl początków XI w. był grodem polskim. Ale bywał też później ruski. To tak historycznie trzeba ujmować. Byli kiedyś u mnie dziennikarze z ukraińskiego – ukazującego się w Polsce od czasów PRL-u – „Naszego Słowa”, które lansuje tezę, że całe terytorium na wschód od Rzeszowa obejmował żywioł ruski. W Przemyślu nie stwierdziłem ruskich skrup naczyń. Tymczasem niektórzy Ukraińcy do dzisiaj podejrzewają, że „Żaki odkrył cerkiew ruską na zamku i ją zasypał”. No, rzeczywiście, po skończeniu badań, wykopy się zasypuje. O tych konfabulacjach opowiadał mi tamtejszy archeolog mgr Andrzej Koperski. Teraz wracam do tych badań, do zespołowego opracowania materiałów, które od lat sześćdziesiątych czekają na mnie w Przemyślu i na Wawelu. Wysła tam nie tylko architektura, która jest architekturą typowo wczesnopolską. Ale i źródła pisane potwierdzają moje domniemania oparte na materiale archeologicznym. A mówią o tym, że Mieszko II z żoną Rychezą (wyłowilem to i opublikowałem) odebrali Przemyśl w czasie wyprawy Chrobrego na Kijów w 1018 r. Mieszko II dotarł do Przemyśla przypuszczalnie na zlecenie ojca, podążając z Krakowa, natomiast Bolesław Chrobry szedł na Kijów drogą wołyńską, na Włodzimierz, nad Bug i dalej na wschód. Jeszcze podczas planowania wyprawy musiał synowi zlecić: „Ty idź do Przemyśla! I zajmij go!” Chrobry poszedł na Kijów, nagrabił skarbów i pomknął z tym do Wielkopolski. Co więcej, wyszperałem, że Mieszko II przybył do Przemyśla nie sam, a z Rychezą. Ona fundowała w Przemyślu świątynie, które się nie zachowały, ale zachowały się ich wezwania – Urszuli i Gereona. To są fakty, o których się raczej nie pisało! Oprócz tego sądzę, że odkopane przeze mnie mury nie są wzniesione przez Chrobrego, lecz przez Mieszka II. Mało tego, podejrzewam, że noga Bolesława Chrobrego nigdy nie stanęła w Przemyślu. Ale oczywiście za jego czasów i z jego polecenia Przemyśl został zajęty i stał się polskim miastem. ▶

► **Pojawiały się onegdaj koncepcje, które dopuszczały równoległe z chrystianizacją Polski z zachodu – chrystianizację wschodniego rytu, m.in. w Przemyślu. Czy to możliwe?**

Ja nie widzę tego. Nie ma na potwierdzenie takiej tezy ani w źródłach pisanych, ani materialnych dowodów. Nie ma na ceramice żadnych ozdób, które mogłyby wskazywać na obecność wpływów wschodnich. Nie ma też żadnych monet. Trochę inna sytuacja mogła się wytworzyć w dorzeczu Bugu, na terenie Lubelszczyzny. Tam Ruś wdarła się bardziej. Ale tu, nad Sanem, trzymali się nasi.

Panie profesorze, kiedy pan wyjechał z Polski, myślałem, że zerwał pan z archeologią. Dlatego też, kiedy dowiedziałem się o pańskich andyjskich ekspedycjach archeologicznych, byłem pełen podziwu, a z drugiej strony zastanawiałem się, dlaczego kultury indiańskie? Choć przecież – pomyślałem sobie – od pańskich badań w Czorsztynie i Niedzicy do kultur inkaskich nie jest tak daleko!

Nie, z archeologią nigdy nie zerwałem. Tak jak mówiłem, w Szwajcarii czekała na mnie żona.

Czy za tym wyjazdem krył się tylko ten powód?

O, świetnie! Lubię takie otwarte pytania! Oficjalnie złożyłem pismo o roczny urlop. Prof. Szablowski, ówczesny dyrektor wawelskich zbiorów, był bardzo niezadowolony. Przecież odpowiadałem za prowadzenie bardzo poważnych wykopalisk. Miałem wspaniałą ekipę – Stanisław Kozieł, Józef Niżnik, Zoll-Adamikowa i wielu innych. Tak więc wielka szczytka w związku z moim wyjazdem nie powstawała. A poza tym, proszę pana, ja wybrałem jednak wolność. A wyjazdy w Andy... To można tłumaczyć tylko moim niespokojnym duchem. Rzeczywiście, trochę tam wędrowałem. Ale żeby prowadzić tam wykopaliska, nie zawsze trzeba mieć duże pieniądze. Jestem dumny, że miałem suwerenny udział w wykopaliskach w Andach i na Wyspie Wielkanocnej. Może choć odrobinę udało mi się pchnąć wiedzę o prehistorii Ameryki Południowej do przodu. Zajmowałem się tam przede wszystkim badaniem pozostałości osiedli przedkolumbijskich i rytów na murach domostw kamiennych. Na przykład wśród rysunków bardzo często pojawiała się tam literka „u”, w różnych konfiguracjach. Analiza tego symbolu

w różnych miejscach i o różnych kształtach doprowadziła do wniosku, że jest to symbol twarzy ludzkiej.

Ze Szwajcarią, Ameryką Południową i archeologią kojarzy się mi nazwisko Ericha von Dänikena...

Oj tak! Kiedy, przebywając w Szwajcarii, postanowiłem wybrać się na Wyspę Wielkanocną, w księgarni akurat natknąłem się na jego świeżą książkę. Przeczytałem ją przed wyjazdem. Boże święty, co on tam napisał i nabredził! Miałem okazję do konfrontacji natychmiastowej! I leż on tym pisaniem szkód w nauce uczynił! Ale zawsze wracałem myślami do Krakowa, na Wawel. A nawet do tego – jakże czasowo odległego – Świrza! Cały czas utrzymywałem kontakt ze Świrzem, a to dzięki moim kochanym rodakom, choćby pani Romie Machowskiej – koleżance ze szkoły, rodaczce z Przemyślan. Kiedy tylko dowiedziałem się, że w kościele odkopano płytę kamienną z napisem – proszę uważać – „w obcym języku”... Oczywiście po łacinie! Dzięki pomocy ks. dra Józefa Wolczańskiego i analizie wykonanych przez niego zdjęć, mogłem stwierdzić, że jest to płyta nagrobkowa Gabriela Świrskiego z końca XVI lub XVII w. Odkryłem kiedyś, że pewien Gabriel z rodu Świrskich – zamiast być hreczkosiejem w Świrzu i Kimirzu – zajął się Wergiliuszem i zrobił wolny przekład pewnych partii jego dzieła. Płyta znalazła się w kościele dzięki interwencji ks. Józefa Wolczańskiego.

Panie profesorze, w końcu jednak zawitał pan do domu, do Krakowa. Jakże ma pan plany?

No cóż... Byłem na emigracji z konieczności. Czekaliśmy na cud, że Polska inna powstanie. Kiedy powstała, nie od razu dano nam paszporty. Czekaliśmy 5 lat! Pierwszy raz odwiedziłem Polskę w 1994 r. Przyjęto mnie bardzo miło. A plany? Dużo mniej pracuję. Wydam jednak w tym roku książkę o Świrzu średniowiecznym, napisaną przed laty, a także wybieram się do Świrza, nieco później zaś do Ameryki Południowej. No, jakie starszek może mieć plany? Pan wie, ile ja mam lat?

Nie dałbym panu więcej niż 60!

Cha cha cha! Jestem wdzięczny za ten komplement! Niemcy i Szwajcarzy powiedzieliby: „danke für die Blumen!”

Serdecznie dziękuję panu profesorowi za rozmowę.

Henryka Kramarz

LWOWSKA ŚWIĘTA ELŻBIETA

Czy wzorowana na katedrze wiedeńskiej?¹

Neogotycki kościół św. Elżbiety we Lwowie od czasu swego powstania (1903–1907) do końca II Rzeczypospolitej uchodził za wizytówkę architektoniczną miasta. Zbudowany został u zbiegu ulic Gródeckiej i Leona Sapiehy, na dawnym placu Solarni (później pl. Arcybiskupa Józefa Bilczewskiego).

Zaprojektował go architekt Teodor Talowski (1857–1910), urodzony w Zassowie, wykształcony w Wiedniu (1875–1877) pod protektoratem Karla Koeniga oraz we Lwowie (1877–1881) pod kierunkiem Juliana Zachariewicza. Po studiach mieszkał w Krakowie i pracował w tamtejszej Szkole Techniczno-Przemysłowej. W 1901 r. przeprowadził się do swego miasta akademickiego, czyli do Lwowa, gdzie podjął pracę na Politechnice jako profesor rysunku odręcznego oraz architektury średniowiecza.

W 1903 r. we Lwowie ogłoszono konkurs na budowę nowego kościoła pod wezwaniem św. Elżbiety. Talowski przystąpił do tegoż konkursu i wygrał go. Był już wówczas znanym architektem, kreatorem licznych pomysłów o dużej wartości użytkowej i artystycznej, miał za sobą plany budowy

około 70 kościołów i kaplic w Galicji, a także projekty mauzoleów i kamienic w Krakowie oraz wielu willi, dworów, wiaduktów.

Regulamin konkursu wymagał między innymi, by budowla sakralna, której projekt należało przygotować, mogła pomieścić 2200 osób, łącznie z miejscami siedzącymi, których miało być 500. Zaprogramowano trzy wejścia do kościoła (jedno główne i dwa boczne). Do projektu należało dołączyć kosztorys, stosując się do wymogu, by całkowity koszt budowy nie przewyższał kwoty 700 000 koron (350 000 zł reńskich). Pod względem cech architektonicznych rygorystycznie życzone sobie, by były one transformacją albo stylu romańskiego (tzw. przejściowego), albo wczesnogotyckiego z surowej („niewyprawionej”) cegły. Organizatorzy konkursu uważali, że „architektura średniowieczna, w szczególności gotycka, odpowiada najlepiej tradycjom kościoła, duchowi wiary i nastrojowi modlitwy”².

Nowy kościół miał stanąć na najwyżej położonym terenie dzielnicy Gródeckiej, w pobliżu Dworca Głównego, będącego ważnym węzłem komunikacyjnym między Galicją wschodnią a c.k. Monarchią. Miejsce to zaliczano do pasa rozgraniczającego

PROŚBA

Kto mógłby podać informację o miejscu pochówki na którymś z cmentarzy we Lwowie (może Łyczakowskim?) **GUSTAWA LETTNERA** zmarłego we Lwowie w 1890 r.?

G. Lettner był leśnikiem, w latach 1872–90 pełnił funkcję krajowego inspektora lasów w Galicji. Zaliczany jest do pionierów ochrony przyrody na ziemiach polskich, również w Tatrach. Wiele na ten temat publikował w lwowskim periodyku „Sylwan”, a także w „Gazecie Lwowskiej” w 1889 r.

Ewentualne wiadomości prosimy przekazywać na adres:

Wojciech Wilczek, 34-500 Zakopane, Droga na Bystre 18a
e-mail: wwilczek@tpn.pl



▶ Europę północno-środkową od południowo-wschodniej, czyli do tzw. „działu wodnego”, oddzielającego dwa zlewiska rzeczne – Bałtyku i Morza Czarnego. Żartowano, że jeśli kropla deszczu spadnie na dach kościoła św. Elżbiety od strony północnej, to spłynie przez Bug do Bałtyku, a jeśli od strony południowej, to poprzez Dniestr do Morza Czarnego.

Teodor Talowski zapragnął, aby Lwów, „miasto wież dumnych”, wzbogaciło i udo-stojniło swoją panoramę zachodnią kościo-łem przypominającym stylowo wiedeński „Stephansdom”. Apologetyczny stosunek lwowian do Habsburgów spowodował tak-że, że dla nowej świątyni wybrano wezwa-nie św. Elżbiety, patronki żony cesarza Fran-ciszka Józefa. Ze względu na podobieństwo kształtów wielu lwowiaków nazywało na co dzień nowy kościół „Stephanskirche”, o czym pisze np. Jerzy Janicki w swych pełnych sentymentu refleksjach wspomnieniowych³. Późniejsi mieszkańcy tamtejszej parafii z upodobaniem wybierali dla swoich synów imię Stefan-Szczepan. „Szczepcio” stał się na Gródeckiem tak popularny jak „Tońcio” na Łyczakowie – od znajdującego się w tam-

tejszej dzielnicy kościoła św. Antoniego. Przejawiało się to np. w lubianym programie radiowym okresu międzywojennego pt. *We-soła lwowska fala* z głównymi bo-haterami Szczepciem i Tońciem.

Talowski miał doświadczenie w projektowaniu budowli neogo-tyckich i ceniony był jako znawca historyzmu. Jego dziełem były np. kościoły w Bóbrce, Wrocance, Łańcucie, Jeżowej, Dobrzecho-wie, Suchej, czy też kaplica w No-wym Sączu. Zwłaszcza Jeżowa i Bóbrka podobne były pod wzglę-dem koncepcji architektonicznej do kościoła św. Elżbiety we Lwo-wie. Talowski dzięki swemu ta-lentowi, fantazji i wykształceniu wypracował własny styl z pogra-nicza historyzmu oraz rodzące-go się modernizmu i secesji. Większość jego dzieł mieściła się jednak w konwencji history-zmu, nieraz oryginalnego, cza-sem eklektycznie wzbogaconego.

Neostyle dominowały w ogóle w budownic-twie galicyjskim do wybuchu I wojny świato-wej. Historyzm Talowskiego uważano za pełen tajemniczości i eks-presji. Zwiększoną sugestywność osiągał architekci stosując np. kontrasty (klasyczną harmonię mieszał z asymetrią). By sprostać gustom lwowian, starał się poszukiwać oryginalnych, nowatorskich rozwiązań, a jed-nocześnie korzystać z dawnych wzorców.

Powiązania Lwowa z kulturą niemiecką sięgały średniowiecza. Dziewiętnastowieczny historyzm i neostyle płynęły nad Pełtew poprzez Wiedeń. Na upodobania estetycz-ne mieszkańców oddziaływali przybysze z Austrii, nieraz rodzinnie powiązani z Pola-kami, a także młodzież studiująca w Wied-niu, często zauroczona budującym się tam Ringiem.

Na konkurs ogłoszony we Lwowie na-desłało ogółem 19 prac podpisanych go-dłami. Talowski przedstawił cztery propozy-cje. Ze szczególnym uznaniem spotkały się trzy spośród nich, które twórca zatytułował: „Ars”, „Si Deus nobiscum” oraz „Trio”. Wy-grał ten pierwszy projekt. Nie była to oczy-wiście dokładna kopia ani pomniejszony

wariant Stephansdomu. Monumentalna budowla wiedeńska stała się dla Talowskiego inspiracją twórczą w pracy, budzącym inwencję obiektem wielowiekowego, powszechnego podziwu. Wybór tegoż wzorca poczytywany był również za ukłon w kierunku stolicy państwa, które dało Galicji autonomię, czyli o wiele lepsze warunki bytu narodowego niż te, jakie miały pozostałe ziemie polskie w okresie rozbiorowym. Talowski nie był naśladowcą oryginału, lecz podpatrywał fenomen jego piękna, ukazując go we własny sposób. Lwowska „św. Elżbieta” stała się ostatnim wielkim dziełem Mistrza. Realizacji projektu już nie doczekał, gdyż zmarł 1 maja 1910 roku.

Kościół św. Elżbiety ma wewnątrz trzynawowe z poprzecznym transeptem oraz nieco wydłużone prezbiterium w kształcie wieloboku. Od strony zachodniej wznoszą się dwie symetryczne wieże zakończone ostrosłupowo. Są one nieco cofnięte w stosunku do ryzalitu wejściowego. Trzecia, wyższa, zwieńczona również ostrosłupowym hełmem, usytuowana została w narożniku północno-wschodnim.

Kształt, sposób operowania przestrzenią, ceglana struktura murów przypominają do dziś masyw i koronkową architekturę katedry wiedeńskiej. Wykończenie rzeźbiarskie było również stylizowane, ale przy obecnych pracach remontowych zostało usunięte (podkr. red.). Stojąc przed fasadą kościoła św. Elżbiety zauważa się szczególnie wyraźnie urok fantazji kompozycyjnej przypominającej bliźniacze wieże archikatedry wiedeńskiej, zwane Wieżami Pogan (Heideturmen), które wraz z Bramą Olbrzymów (Riesentor) są pozostałością późnoromańskiej przeszłości Wiednia i stanowią element harmonijnie wkomponowany w gotycką całość, budowaną od XII do XV wieku. Wieża północna katedry św. Stefana jest niedokończona. Budowy jej zaprzestano w 1511 roku. Historycy do dziś zastanawiają się, czy przyczyny tego tkwiły w sferze finansowej, czy też w starzeniu się gotyku, który w XVI wieku stał się już nie-



Katedra św. Stefana w Wiedniu

modny. Historyzm młodoeuropejski odkrył na nowo jego piękno. O Talowskim mówiono, że był architektem-poetą, który odnowił romanizm i gotyk, jak również że w swych „przekształceniach” nawiązywał często do wzorców wiedeńskich. Mogła to być także forma zmanifestowania sympatii austrofilskich, prowokowana przez dokonującą się polaryzację poglądów i postaw różnych orientacji politycznych. Taka motywacja nie ułatwiłaby jednak Talowskiemu wygrania konkursu, gdyż w endeckim Lwowie dominowały tendencje słowianofilskie, nie była więc podyktowana koniunkturą ideologiczną. Oceniający plon konkursu Lucjan Baecker, chociaż pochwalał Talowskiego za polot, wdzięk kreacji, doskonałość proporcji oraz artystyczną finezję, z wyrzutem ubolewał, że architekt nie znalazł jakiegoś bardziej rodzimego obiektu inspiracji.

Entuzjaści historyzmu byli usatysfakcjonowani. Esteci, którzy nie lubili tych tendencji w sztuce, traktowali wyniosły neogotyk kościoła św. Elżbiety jak gdyby z pobłażaniem. Lwowianie oraz podróżni przybywający do stolicy kraju kochali go. Trzy smukłe, z daleka widoczne wieże, które wrosły

► w panoramę miasta, spełniały dla nich rolę punktu orientacyjnego. Przejawiało się to we wspomnieniach oraz w pieśniach żołnierskich, zwłaszcza z czasów I wojny światowej. Gdy np. w 1914 r. regiment złożony z samych lwowiaków (Infanterie Regiment numero dreisig) wyruszał na front, żołnierze, nie widząc już z oddalenia swego miasta, dostrzegali tylko na horyzoncie zarysy jego elżbietańskich wież. Tęsknotę wyrazili w spontanicznie ułożonej pieśni z dwuwierszem: „Z dała widać już niestety wieże kościoła Elżbiety”. Pieśń ta stała się później *marsylianką* Lwowa.

II wojna światowa nie oszczędziła architektury wiedeńskiej. Zniszczył ją w 50% trwający trzy doby pożar w kwietniu 1945 roku. Podobnie lwowski kościół św. Elżbiety uległ dewastacji w czasach komunistycznych. Jego pusty szkielet z powybijanymi witrażami, planowo uszkodzonymi wieżami i dachami, odstraszał turystów, którym w tym czasie udawało się go oglądać tylko z zewnątrz. W wyniku podjętych po wojnie prac rekonstrukcyjnych katedra wiedeńska odzyskała swoją świetność. Również kościół św. Elżbiety poddano restauracji po upadku władzy sowieckiej.

Obecnie stał się on cerkwią ukraińskokatolicką pod wezwaniem św. Olgi, a plac, na którym się znajduje, niegdyś J. Bilczewskiego, nosi nazwę Kropiwnickoho. Chociaż restauratorzy ukraińscy nie przywiązują wagi do neogotyckiego wystroju świątyni, nadal urzeka ona sympatyków historyzmu dostojnością i pięknem.

¹ Artykuł ten wysłałam w 1996 r. do kierowniczkii Fundacji Stypendialnej „Janineum” w Wiedniu po sugestii z jej strony opublikowania go tamże w prasie polonijnej lub w tłumaczeniu na j. niemiecki. Nie otrzymałam jednak mimo monitów żadnej odpowiedzi, czy artykuł odebrano, czy został opublikowany i w jakim wydawnictwie.

² Ł. Baecker, *Konkurs na kościół św. Elżbiety we Lwowie*. Czasopismo Techniczne Lwowskie, R. XXI, 1903 r., nr 12 z 25 czerwca, s.165.

³ J. Janicki, *Ni ma jak Lwów...*, Warszawa 1990, s. 12.

Życie towarzyskie artystycznej braci (1)

Anna Piwowarska

Poniższy tekst jest fragmentem pracy magisterskiej (rozdział IV pt. Życie towarzyskie ludzi nauki, kultury i sztuki), opracowanej w Instytucie Historii UJ w Krakowie. Na prośbę redakcji Autorka dokonała skrótów.

Autorka dedykuje artykuł promotorowi pracy magisterskiej dr. hab. Krzysztofowi Ślusarkowi.

Lwów był zawsze miastem wyjątkowym. Jako stolica kraju* stał się centrum życia literackiego, artystycznego i naukowego. Wiele znanych i cenionych ludzi mieszkało lub chociaż tam gościło. Dziennikarze, poeci, malarze, aktorzy spotykali się w miejscach pracy – redakcjach, teatrach, salach wykładowych. To miejsca obowiązkowe! A co zrobić z resztą wolnego dnia? Należy się przecież chwila relaksu i odpoczynku. Gdzie najmilej płynie czas? Oczywiście w kawiarniach! Lokale pełne papierosowego dymu, różnorodnych trunków, nowinek z czterech stron świata, wrzawy i śmiechu – to miejsca kochane przez ludzi nauki, kultury i sztuki.

We Lwowie kawiarni nie brakowało. Z biegiem czasu najlepsze lokale miały stałych bywalców, stając się miejscami, w których kwitło życie towarzyskie. *W kawiarniach mrokach, żyła cała grupa ludzi, tworząc charakter i specjalną publiczność żądną nowin (...), spragnionych plotek wielkiego miasta i życia, a przede wszystkim życia błyskotliwego na falach drgającego światła, w arabeskach dymu, wśród nawoływań kelnerów. Są dziennikarze, którzy swe artykuły tworzą w kawiarniach. (...) stała się*

więc kawiarnia prawie społeczną instytucją, miejscem dla schadzek ludzkich i dyskusji, czasem także wielkim targowiskiem, gdzie dochodzą do skutku wielkie interesy** (...). Przykładem literackiego cygana był Stanisław Womela¹: *Typowy cygan literacki, niewiele wymagał od życia, mieścił swe rozległe horyzonty myślowe w granicach trójkąta, którego naroża stanowiły: redakcje, teatr, kawiarnie*. Znany humorysta lwowski – Jan Lam², w otoczeniu swych kolegów – Liberata Zajączkowskiego³ i Adama Zagórskiego⁴, urządzał sobie maratony knajpowe. *Całymi dniami i nocami pił po sklepach winnych (...), a gdy już gwałtem trzeba było napisać felieton, szedł do domu i na kilka godzin się zamykał*. Tak swojego stryja Jana Lama opisał Stanisław Lam w oparciu o opowiadanie swego ojca. *Spał podobno w dzień, a wieczorem jadł śniadanie i szedł na miasto, obiady spożywał w restauracji o dwunastej w nocy, kolację dopiero nad ranem. Pił sążnięcie, a między posiłkami pracował*.

Kawiarnie to ważne miejsca dla każdego, kto lubi zawierać nowe przyjaźnie, załatwiać interesy i szuka odpoczynku po trudach dnia codziennego. To miejsca magiczne, w których artyści mimo braku ciszy tworzyli wielkie dzieła i popadając w zadumę opowiadali o swoich rodzinnych korzeniach. Znany z tego był Michał Rolle⁵, zastępca Adama Krechowickiego⁶, redaktora „Gazety Lwowskiej”, a jednocześnie przyjaciel Alfreda Wysockiego⁷. Urodzony w Kamieńcu Podolskim, często podczas radosnych i beztrudnych spotkań kawiarnianych pogrążał się w myślach nad swą „małą ojczyzną”. *Serce zostawił w Kamieńcu i nic dziwnego, że gdy w wesołym towarzystwie restauracyjnych kompanów zamyślił się na chwilę, ci z wyrozumiałością kiwając głowami stwierdzali: Michał znowu jest w Kamieńcu*.

Jakie kawiarnie kusily i zapraszały do Lwowa? Najpierw poznamy lokal Sznajdra u zbiegu dwóch ulic: Akademickiej i Chorażczyzny. Cała elita lwowskiego świata literackiego, artystycznego i naukowego tam bywała. Tu tętniło życie młodopolskich artystów. Kraków miał Jamę Michalika – Lwów kawiarnię Sznajdra. Gościli tam profesowie, np. Edward Porębowicz⁸. W tym niezwykłym klimacie powstawały największe dzieła Jana Kasprowicza⁹ od *Ginącemu*

światu (1901) do *Mojej pieśni wieczornej*. U Sznajdra można było spotkać malarzy – Władysława Jarockiego, Kazimierza Sichulskiego i Fryderyka Pautscha¹⁰, Jana Galla¹¹ – znakomitego muzyka i twórcę trzystu pieśni (choć jego stałą przystanią był lokal u Naftuty) oraz kompozytora Stanisław Niewiadomskiego¹². *Sznajder miał dobrą markę, więc można było skorzystać z jego gościnności (...) uważnie należało przemknąć między stolikami pijących czarną kawę lub grających w domino. Na dużym stole, jak tradycja nakazywała, zastawiał właściciel pełne szklanki, posiłki, które należało konsumować w locie bez zatrzymania się. (...) Sam lokal przedstawiał naśladownictwo rozmaitych kafehausów. Dużo gazet, bilard, kąt do kart, najwięcej zaś skłębionego dymu papierosowego. Pracownicy umysłowi tracili tu czas na politykowanie, przelewaniu z próżnego w próżne i kwękaniu na biedę (...). Niekiedy wciśnięty za stół Jan Styka¹³ (...). Osobny stół zajmował Damazy Kotowski¹⁴, Jan Popławski¹⁵, redaktor „Przeglądu Wszechpolskiego” (...). Do grona entuzjastów gry w domino należał Ludwik Solski¹⁶, który wspólnie z Janem Kasprowiczem i wieloma przyjaciółmi bywał tam popołudniami. Tak w swych wspomnieniach wizyty i doborowe towarzystwo u Sznajdra opisywał Ludwik Solski: *Bywałem w kawiarni Sznajdra. Spotykałem tam Kasprowicza, znakomitych krytyków Stanisława Womelę i Ostapę Ortwinę¹⁷, pisarzy – Kornela Makuszyńskiego¹⁸, muzyka Jana Galla, malarzy – dwóch Stanisławów – Dębickiego¹⁹ i Reychana²⁰ i wielu innych wybitnych ludzi, nie licząc naszej gromady aktorskiej. Czasem skromnie zabłąkał się tam młodzieńki, doskonałe już wówczas zapowiadający się liryk – Leopold Staff²¹. Miał w tym czasie około dwudziestu pięciu lat, studia na Uniwersytecie Jana Kazimierza za sobą, przyjaźń Jana Kasprowicza.**



Jan Kasprowicz



Gra w domino była ulubioną rozrywką całej redakcji „Słowa Polskiego”. Jej zawsze wiernym reprezentantem był Zygmunt Wasilewski²². Do „klubu dominikanów” – jak żartobliwie określano graczy w domino – należeli pisarz Kornel Makuszyński i prof. Marcin Ernst²³. *Jak każda gra i ta niewinna zabawa ma to do siebie, że wytwarza nałóg. Nikt z nas o godzinie piątej nie mógł się opędzić pokusie, żeby nie wpaść do Sznajdra, i przykro było, gdy wszystkie trzy partie przy trzech stolikach były obsadzone. (...) Najstarszym „dominikaninem” był Jan Popławski, najchętniej grywający z Janem Kasprowiczem (...). Popławski, który grał z szatańskim rozmysłem, bił „lekkomyślnego” Kasprowicza, któremu „licho wie co chodziło po głowie” (...), więc Popławski raz po raz wpadał w pasję, a czego ten biedny Kasprowicz się nasłuchał! Ten zaś posunięcia zdobył najrozmaitszymi przygadywankami kujawskimi, góralskimi (...). Ten młodopolski artysta tak ukochał sobie Lwów, że pozostał w nim ponad trzydzieści lat. W tym czasie Kasprowicz zajmował się dziennikarstwem, publicystyką społeczną i teatralną. Pracował w redakcji „Kuriera Lwowskiego” (1889–1901), a potem w redakcji „Słowa Polskiego” (1902–1906). Tworzył poezję i pracował naukowo. W 1904 r. doktoryzował się na Uniwersytecie Lwowskim, aby w 1909 r. objąć w wspomnianym Uniwersytecie katedrę literatury porównawczej. Lwowianie kochali i bardzo cenili poetę, każdy zabiegał o jego towarzystwo. *On nasz (...) poeta, znany nam z obcowania, z anegdot, z wizerunku (...), poeta, który jest kość z kości, krew z krwi, duch z ducha naszym człowiekiem...* Zgłębiając biografię poety można zauważyć, że oprócz miłości do poezji miał jeszcze inne namiętności. Lubił spotkania koleżeńsko-przyjacielskie w lwowskich knajpkach i winiarniach. Dał się także poznać jako nałogowy gracz w domino. Janowi Kasprowiczowi i Janowi Popławskiemu tajniki tej gry przybliżył Ernest*

Łuniński²⁴ (...) i tak w trójkę zabawialiśmy się godzinami po żmudach i trudach dnia. Czasem utworzyła się koło nas galeria chciwie śledzących przebieg gry, rzucająca dowcipne uwagi i rady, aż trzęsło się od śmiechu. Dookoła graczy siadali „kibice”, było to towarzystwo ludzi intelektu. „Kibice” mieli w większości tytuły doktorskie, np. Tadeusz Sobolewski²⁵, (...), astronom Marcin Ernst, Alfred Wysocki. (...). Obserwując Kasprowicza podczas gry, Kazimierz Sichulski wykonał jego podobiznę, dokładnie eksponując twarz poety. Kasper był jak żywy. Twarz skupiona, brwi groźnie ściągnięte, czoło w zmarszczkach – twarz wodza decydującego o losach bitwy! Kornel Makuszyński, pracownik redakcji „Słowa Polskiego” wspólnie z dramaturgiem Janem Augustem Kisielewskim²⁶, też często gościł u Sznajdra. Stanisław Przybyszewski²⁷ podczas wizyty we Lwowie w 1899 r. z okazji odczytu, jaki miał wygłosić na temat *Metamuzyki Chopina*, zawitał u Sznajdra. *W kawiarni Przybyszewski jakby się ocknął. Tu dopiero był w swojej atmosferze. Rozgawędził się i roztkliwił na dobre. Wszystkie te tkliwości zwrócone były do Kasprowicza, u którego się zatrzymał w imię starej przyjaźni.*

Zazwyczaj grę w tej kawiarni kończono o siódmej wieczorem, potem towarzystwo przenosiła się do innego lokalu, przeważnie do restauracji w hotelu George’a. Na swoim stałym miejscu zasiadał Jan Kasprowicz, który rozglądając się pytał: *A gdzie jest Staffiátko? (tak pieszczotliwie nazywano Leopolda Staffa). Jeżeli go nie było, przyjaciele udawali się do jego domu (przy ul. Skarbkowskiej). Staff siedział zwykle nad jakąś książką, przeciętnemu śmiertelnikowi nieznaną i nie chciało mu się przerwać lektury. Będzie znowu pijatyka – narzekał, ale wiedzieliśmy z góry, że nie oprze się naszej prośbie, bo Kasprowicza, który był od niego o osiemnaście lat starszy, po prostu uwielbiał.* Tak o młodym Leopoldzie Staffie pisał Stanisław Lam: *Kiedy odezwał się po raz pierwszy u wstępu stulecia, dla Lwowa było to zdarzenie wielkie. Od długiego bowiem czasu nie urodził się żaden poeta, który by tak wstępnym bojem zdobył wszystko: rozgłos, czytelników, teatr i krytykę.*

Kawiarnie to także miejsca, w których można było spotkać lwowskich profesorów

w towarzystwie studentów. Taką formę zajęć lubił Wojciech Dzieduszycki²⁸, od 1896 r. profesor estetyki Uniwersytetu Lwowskiego. Zarówno u Sznajdra, jak i w pokoju hotelowym u George'a miały miejsce jego seminaria akademickie. *Uczestnicy seminarium zajmowali miejsca wokoło dużego stołu, hotelowy służący lub kawiarniany kelner podawał im fundowane przez profesora napoje – herbatę lub kawę i odpowiednie do tego przekąski, zwykle po prostu bułeczki – no i rozpoczynał się zazwyczaj kilkugodzinny dyskurs na tematy filozoficzne i estetyczne. Gdy działa się to we wspomnianej kawiarni, to po zakończeniu takiego niekonwencjonalnego seminarium jego studenci uczestnicy gremialnie odprowadzali ubóstwianego profesora do hotelu.*

Ciąg dalszy w następnym numerze

ANNA PIWOWARSKA, ur. 1981 w Brzesku.. Studia historyczne na UJ, ukończone 2005. Tematem pracy magisterskiej było *Życie towarzyskie Lwowa w okresie autonomii galicyjskiej*.

PRZYPISY

* Galicji-Lodomerii

** Kursywą wyróżniono cytaty.

- 1 Stanisław Womela, krytyk, recenzent teatralny.
- 2 Jan Lam (1838–1886), ur. w Stanisławowie. Lwowski dziennikarz i powieściopisarz, autor m.in. arcydzieła prozy ironicznej *Wielki świat Capowic*. Spoczywa na cm. Łyczakowskim.
- 3 Liberat Zajączkowski, krytyk literacki i teatralny.
- 4 Adam Zagórski (1884–1930), krytyk literacki i teatralny, pisał felietony dla „Kuriera Lwowskiego”.
- 5 Michał Rolle (1865–1932), ur. w Kamieńcu Podolskim, syn pisarza Józefa Antoniego Rollego. Lwowski dziennikarz, historyk, literat. Spoczywa na cm. Łyczakowskim.
- 6 Adam Krechowicki (1850–1919). ur. na Wołyniu.. Powieściopisarz, publicysta, redaktor „Gazety Lwowskiej”; historyk literatury. Spoczywa na cm. Łyczakowskim.
- 7 Alfred Wysocki (1873–1959), od 1900 przez kilkanaście lat pracownik Namiestnictwa i publicysta we Lwowie, dyplomata, senator II RP; autor wspomnień.
- 8 Edward Porębowicz (1862–1937), rodem z Warszawy; romanista, tłumacz, poeta. Od



Ludwik i Irena Solscy.
Rysunek Stanisława Wyspiańskiego

- 1897 we Lwowie, profesor i rektor Uniwersytetu. Spoczywa na cm. Łyczakowskim.
- 9 Jan Kasprowicz (1860–1926), rodem z Kujaw. Poeta, tłumacz, krytyk literacki i teatralny; w latach 1889–1923 profesor literatury porównawczej na Uniwersytecie Lwowskim, rektor. Potem w Poroninie.
- 10 Władysław Jarocki (1879–1965), Kazimierz Siczulski (1879–1942), Fryderyk Pautsch (1877–1950). Malarze, stanowili tzw. „trójkę huculską” – patrz CL 3/97, s. 47.
- 11 Jan Gall (1856–1912), ur. w Warszawie. Muzyk, kompozytor (głównie pieśni). Od 1897 we Lwowie. Spoczywa na cm. Łyczakowskim.
- 12 Stanisław Niewiadomski (1857–1936), ur. w Sopotynie k. Żółkwi; do 1919 we Lwowie, potem w Warszawie. Kompozytor (głównie pieśni), pedagog, krytyk muzyczny. Spoczywa na cm. Łyczakowskim.
- 13 Jan Styka (1858–1925), ur. we Lwowie. Malarz historyczny i portrecista, współtwórca *Panoramy Raclawickiej* i in.
- 14 Damazy Kotowski (ok. 1860 – po 1929), malarz. Żył i działał w Krakowie i Lwowie.
- 15 Jan Popławski (1854–1908), publicysta, współtwórca Narodowej Demokracji. 1896–1906 we Lwowie, współpracownik pism lwowskich i warszawskich.
- 16 Ludwik Solski (wł. Sosnowski, 1855–1954), aktor. 1900–1905 we Lwowie, grał i reżyserował, potem wielokrotnie na gościnnych występach. Wrz z żoną Ireną wystawił rodzinny grobowiec na cm. Łyczakowskim (istniejący).
- 17 Ostap Ortwin (wł. Oskar Katzenellenbogen, 1876–1942), ur. w Tłumaczu. Wybitny krytyk literacki we Lwowie.
- 18 Kornel Makuszyński (1884–1953), ur. w Stryju. Poeta, powieściopisarz, felietonista we Lwowie, od 1918 w Warszawie, po II wojnie w Zakopanem.
- 19 Stanisław Dębicki (1866–1924). Malarz – patrz CL 3/97, s. 46.

POEZJA

Anna Irena Hryniewiecka-Smolana

Miasto moje

Miasto moje
kamienne
o stu wieżach
niebo błękitne.

Miasto moje
zielone
gdzie
dni młodości mej
kwitły.

Już nie te same twe domy
inni mieszkają w nich ludzie
i ja już nie ta sama
codzennie inna się budzę.

Zostaniesz
w moim wspomnieniu
takie jak w mej młodości
gdy deszcz się słońcem przeplatał
a czarne smutki radością.

Miasto moje
kamienne
utopione na zawsze
wieżami w obcym niebie
miasto
mojej młodości
tęsknię do ciebie.

1969 r.

ANNA IRENA HRYNIEWIECKA-SMOLANA, ur.
1921 we Lwowie. Patrz notka biograficzna w CL
3/2000.

Jadwiga Sibiga

Wiosna niedaleko

Spójrz na niebo, ma kolor błękitu,
już z południa powracają ptaki,
świat się stroi w zieleń i kwiaty,
bo już wiosna niedaleko.

Spróbuj oczy przymknąć na chwilę
i myślami przenieść się do Lwowa,
ujrzesz wiosnę, która nam się śniła,
taka lwowska, bajecznie kolorowa.

Bo tam inaczej słońce grzeje
i przebiśnięgi kwitną najwcześniej,
już Pohulanka się zieleni
i tak wiosennie w całym Mieście.

Kupisz mi fiołki na placu Antoniego,
taki mały bukiet pachnący,
Łyczakowską pójdziemy obok siebie,
a przed nami Miasto w słońcu.

Zrobisz zdjęcie przy pomniku
na pamiątkę tego spotkania,
pójdziemy do Parku Stryjskiego,
by odnaleźć nasze marzenia.

Kiedy oczy otworzysz przypadkiem,
świat ci się wyda smutny i szary,
to nic, że Lwów jest tak daleko,
tam nasze serca pozostały.

Spórz na niebo, ma kolor błękitu,
już z południa ptaki powracają,
świat się stroi w zieleń i kwiaty,
bo już wiosna nadchodzi z nadzieją.
Bo już wiosna...



Tadeusz Petrowicz

ORMIAŃSKA FUNDACJA TOROSIEWICZA

Historia fundacji zaczęła się na dwa lata przed jej utworzeniem, tzn. w roku 1863, kiedy to znany we Lwowie filantrop, doktor medycyny Józef Torosiewicz sfinansował opiekę i naukę kilkunastu chłopcom w ochronce Towarzystwa św. Wincentego we Lwowie. Duchowym opiekunem tych chłopców był ks. Kajetan Kajetanowicz, który w pierwszych latach swojego kapłaństwa był jałmużnikiem Lwowa, pracując w różnych ówczesnych instytucjach dobroczynnych tego miasta, a całą swoją późniejszą działalność poświęcił wyłącznie wychowaniu młodzieży.

Książd Kajetanowicz był kapłanem, który posiadał pełne zaufanie doktora Torosiewicza, w związku z czym i za jego namową, jeszcze za życia, Torosiewicz przekazał cały swój majątek na utworzenie fundacji zwanej *Zakładem Naukowym im. Józefa Torosiewicza*. Akt fundacji został podpisany we Lwowie dnia 9 lutego 1865 r., ale regulamin zakładu, noszący oryginalny tytuł *Ustawy zakładu naukowego imienia Torosiewicza*, opracowano i podpisano już w marcu 1864 r. (zawiera 15 punktów). Podpisali go jako świadkowie: ks. Kajetan Kajetanowicz, dr Jan Czaykowski, adwokat krajowy, i Dominik Prawda-Jakubowicz, radca wyższego trybunału.

Dokument ten jest opatrzony czerwoną okrągłą łąkową pieczęcią i znajdował się wraz z innymi dokumentami w moim posiadaniu dzięki ostatniemu dyrektorowi Zakładu, mgr. Zbigniewowi Boborowi, który dokumenty te uratował od zniszczenia. Dokument ten oddałem Z. Boborowi po napisaniu książki. Fundator tak się przywiązał do młodzieży, że w ostatnich latach swojego życia (zmarł w 1869 r.) tylko wśród niej przebywał i mawiał, że dzięki niej czuje się naprawdę szczęśliwy.

Zapis fundacji obejmował kamienicę przy ul. Skarbkowskiej 21 (dawniej Ormiańska

Niższa 101), specjalnie na ten cel kupioną od Krzysztofa i Katarzyny Barączów, oraz kwotę około 180 tys. złotych waluty austriackiej w papierach wartościowych, co w owych czasach było pokaźnym majątkiem. Opiekę nad zakładem fundator powierzył Kapitułce Ormiańskiej, zaś kierownictwo miał pełnić przez nią wyznaczony ksiądz obrządku ormiańskiego. Akt fundacji zawiera 20 paragrafów uzupełnionych w dniu 10 czerwca 1865 r. zastrzeżeniem nieograniczonego zarządu realnością przy ul. Ormiańskiej Niższej 101 aż do śmierci fundatora. Pod podpisem Józefa Torosiewicza i świadków Jana Czaykowskiego i drugim nieczytelnym widnieje klauzula stwierdzająca, że Kapituła Ormiańska we Lwowie prawa i obowiązki na nią nałożone przyjmuje. Na końcu dwa podpisy: Grzegorz Michał [Szymonowicz] – arcybiskup lwowski obrządku ormiańskiego i ks. infułat Kajetan Marmarosch – szambelan Jego Świątobliwości, proboszcz Kapituły i Kościoła obrządku ormiańskiego lwowskiego, z pieczęciami arcybiskupa i proboszcza.

Książd Kajetan Kajetanowicz poświęcił 50 lat swojego życia zakładowi, będąc jego kierownikiem. Był surowy zarówno dla siebie, jak i dla wychowanków, ale w swej pracy zawsze kierował się sercem.

Dowodem może być fakt, że będąc na wycieczce w Wieliczce w roku 1866 przygarnął i zajął się wychowaniem biednego chłopca, sieroty, którego spotkał pasącemu bydło. Chłopak opowiadał księdzu, że ma w domu wystrugany z drewna korpus Pana Jezusa, a na pastwisku strugał właśnie krzyż do tej figury. Chłopakiem tym był Tomasz Dykas, urodzony w 1850 r. Po trzech latach pobytu w zakładzie, otoczony opieką kształcił się pod kierunkiem głuchoniemego instruktora rzeźby Jaskólskiego – autora nagrobka J. Torosiewicza na Cmentarzu Łyczakowskim. Potem Dykas wraz ze swoim instruktorem został wysłany na koszt fundacji do Monachium, gdzie rozpoczął studia. Następnie kształcił się w Wiedniu i w Krakowie. Karierę artystyczną rozpoczął już w roku 1876, wystawiając w Krakowie swoje prace. W latach 1881 i 1895 otrzymał nagrody za projekt pomnika Mickiewicza. Mieszkał i tworzył we Lwowie, gdzie wykonał wiele portretów, grobowców, kilka figur marmurowych i płaskorzeźbę *Niesienie krzyża* dla katedry rzymskokatolickiej, kilka rzeźb dla katedry ormiańskiej, pomniki Mickiewicza dla Przemysła, Tarnopola i Złoczowa. Tomasz Dykas był w owym czasie znanym i cenionym artystą, a karierę swą zawdzięczał księdzu Kajetanowiczowi.

Jakkolwiek wolą fundatora było wychowywanie młodzieży obrządku ormiańskiego, to jednak dostęp do zakładu miała również młodzież obrządku łacińskiego, o czym świadczy fakt, że jednym z pierwszych wychowanków tej instytucji był arcybiskup lwowski ks. Bolesław Twardowski. Po śmierci księdza infułata Kajetanowicza kolejnymi kierownikami fundacji byli ksiądz prałat Dawidowicz, ksiądz kanonik Dionizy Kajetanowicz, misjonarz Królikowski i paru innych księży. W czasie pierwszej wojny światowej zakład był zamknięty, a po wojnie okazało się, że cały zapis dr. Torosiewicza zdewaluował się, tak że pozostała jedynie śmieszna suma kilku tysięcy złotych, niepozwalająca na prowadzenie tej pożytecznej instytucji.

W tym tragicznym dla zakładu czasie znalazł się jednak człowiek o wielkim sercu i dużych zdolnościach organizacyjnych, który powołał z gruzów zupełnie nowy zakład. Tym człowiekiem był Leopold Fleischman, który za sprawą ks. bpa Bandurskiego objął kierownictwo zakładu. W tym czasie pod protektoratem ks. arcybiskupa dr. Józefa Teodorowicza powstał komitet pań z panią baronową Jorkaszową, Stefanią Czaykowską, Jadwigą Zgórką i innymi na czele, który stworzył nowe warunki do dalszej egzystencji zakładu, a sam arcybiskup niejednokrotnie ratował zachwianą równowagę budżetową tej placówki z własnej szkatuły. Arcybiskup Teodorowicz oddelegował w r. 1922 jako swego zastępcę i przedstawiciela Kurii na terenie zakładu ks. Leona Isakowicza.

Po śmierci Leopolda Fleischmana nastąpił nowy kryzys, ale zakładem zajął się profesor Dąbrowski, który dzięki swej pracy wychowawczej i organizacyjnej podtrzymał tradycje fundacji. W roku 1929 dyrektorem zakładu był profesor Kajetan Janowicz. Stan konta zakładowego fundacji Torosiewicza wynosił na dzień 1 lipca 1932 r. 29 tys. zł.

Dodać należy, że fundusz ten miał stałą tendencję zwyżkową, gdyż datki różnych osób prywatnych, jak też licznie organizowane imprezy, z których dochód przeznaczano na zakład, wynosiły w jednym tylko 1932 r. ponad 8700 zł, co równało się prawie połowie opłat wnoszonych przez wychowanków. Kolejnym kierownikiem zakładu został uczeń Leopolda Fleischmana, Zieliński.

Kiedy w roku 1936 trafiłem do zakładu, dyrektorem był mgr Zbigniew Bober, polonista Gimnazjum Kupieckiego przy pl. Strzeleckim, zajmujący mieszkanie służbowe w kamienicy przy ul. Skarbkowskiej 23.

Ponieważ dzisiaj takich zakładów już nie ma, myślę, że warto szerzej opisać organizację tej ciekawej i bardzo pożytecznej placówki, która w czasie swojego istnienia umożliwiła naukę wielu pokoleniom młodych Polaków pochodzenia ormiańskiego. I nie tylko, ponieważ wychowankami zakładu byli również chłopcy niepochodzący z rodzin ormiańskich.

Kamienica przy ul. Skarbkowskiej 21 miała trzy kondygnacje i niewielkie podwórze zamknięte z dwóch stron przyległymi kamienicami oraz murem od strony placu Strzeleckiego. Pod tym murem stała solidna altana; dzięki niej niektórzy starsi wychowankowie wymykali się niepostrzeżenie do miasta.

Podwórko było jedynym wybiegiem. Grało się tu w siatkówkę, kiczki, palanta i piłkę nożną, a zimą zamienialiśmy nasz wybieg w piękne lodowisko. Osobną atrakcją stanowiło polowanie na szczury, wypuszczane przez podnoszenie kraty ściekowej z kanałów przy pomocy linki z pierwszego piętra. Kiedy stado dorodnych gryzoni wydostało się na podwórko, manipulujący kratą wychowanek zamykał ją i wtedy dopiero zaczynała się zabawa. Trwało to jednak krótko, bo zwabiony hałasem prefekt rozpędzał myśliwych, jako że tego rodzaju zabawy były zabronione.

W czasie nalotów na Lwów lub działań wojennych w 1944 r. został zbombardowany sierociniec przy ul. Paulinów na Łyczakowie. Około 80 dzieci zostało podobno dla bezpieczeństwa przewiezionych przez Czerwony Krzyż w okolice Skolego. Wśród dzieci tych znajdowała się m.in. **3-letnia dziewczynka Antonina Nowicka**. Rodzina utraciła wtedy z nią kontakt.

Czy ktoś wie, co stało się z dziećmi? Może ktoś zna losy Antoniny Nowickiej? Jej rodzina żyje w Stanach Zjednoczonych i ciągle ma nadzieję na jej odnalezienie.

Ewentualne informacje prosimy kierować na adres:
Lucyna Leś, 31-523 Kraków, ul. Moniuszki 13/40, tel. 0-504 044 794

Parter. Tu królowały trzy siostry zakonne (służebniczki), zajmujące swoje mieszkania na parterze. Jedna z nich miała powierzoną swej pieczy kuchnię i salę jadalną oraz kierowała pracą brzydkich jak ciemna noc pomocniczek kuchennych. Sama siostra była ostra, małomówna i najmniej lubiana przez wychowanków, bo i jedzenie przez jej dział produkowane było raczej mało urozmaicone, ale może to nawet nie było jej winą, tylko że nikt z nas wtedy nie zastanawiał się nad tym.

Druga siostra była przeciwieństwem pierwszej, rumiana, pogodna i przyjacielska, miała w opiece bieliznę wychowanków, co tydzień wydawała czystą i zabierała brudną, zawsze można się było z nią dogadać, była lubiana i cieszyła się pełnym zaufaniem swoich podopiecznych. Trzecia, najstarsza z sióstr, była przełożoną, czuwała nad całością tego, co działo się na parterze i w magazynie. Ceniliśmy i szanowaliśmy ją, była wyrocznią we wszystkich sporach, jakie czasem się zdarzały.

Na pierwszym piętrze mieściła się olbrzymia sala (uczelnia), w której każdy miał swój stolik i tu w oznaczonych godzinach odbywała się nauka własna młodszych wychowanków (do IV klasy gimnazjum). W drugiej części sali stały: stół ping-pongowy, bilard, fortepian i stoliki do różnych gier i zabaw oraz szafy biblioteczne. Osobne pomieszczenie mieściło kaplicę, w której odbywały się poranne i wieczorne, bardzo krótkie modlitwy z udziałem księdza Bodzia Agopsowicza, który jako absolwent Zakładu miał w dyskretniej opiece wychowanków z tej racji, że zajmował pokój na terenie bursy. Ksiądz był bardzo lubiany, grał z nami w piłkę nożną, grywał na fortepianie *Pannę Agnieszkę*, pomagał słabszym w nauce i był naszym obrońcą przed groźnym prefektem Gruzinem Leonem Cotadze, zajmującym pokój przyległy do sali zwanej uczelnią. On był również wychowankiem Zakładu i za pokój dzielony z drugim prefektem, wikt i opierunek zajmował się utrzymaniem w ryzach wszystkich niesfornych, używając do tego celu solidnej trzciny. Pamiętam, że najbardziej obrywali od Cotadzego Kicio Jakubowicz i Wiesio Zahaczewski. Prefekt studiował na Politechnice, a pasjonował się szybownictwem i pilotażem. Przed samą wojną otrzymał uprawnienia pilota.

Starsi wychowankowie Zakładu, a więc licealiści, zajmowali na pierwszym piętrze sypialnię i salę do nauki, byli traktowani zupełnie inaczej niż ich młodszy koledzy, nie obowiązywały ich żadne rygory poza ciszą i godzinami posiłków. Mogli swobodnie wychodzić do miasta, co jednak nie znaczy, że wolno im było odstępować od ogólnie przyjętego regulaminu.

Za pokojami licealistów, już w następnej kamienicy (nr 23), do której prowadził korytarz, mieścił się pokój przyjęć. Tu można było przyjmować znajomych, krewnych lub kolegów i tu również niektórzy z wychowanków uczyli się z korepetytorami, co raczej należało do rzadkości. Pokój spełniał również rolę poczekalni dla tych, którzy mieli coś do załatwienia u dyrektora Zakładu, przyjmującego interesantów w obszernym gabinecie w oznaczonych godzinach.

Dyrektor mgr Zbigniew Bober był człowiekiem bardzo poważnym, cieszył się olbrzymim autorytetem wychowanków, jako że miał nad nimi najwyższą władzę. Co tydzień w niedzielę po obiedzie rozliczał wszystkie nasze grzechy, o których był na bieżąco informowany przez prefektów, miał zawsze krótkie umoralniające przemówienia i pogadanki, po których wydawał indywidualne przepustki na wyjście do miasta, do krewnych lub znajomych. Ci, którzy coś przekrobali lub mieli złe wyniki w nauce, nie dostawali przepustek. Było to bardzo dotkliwą karą.

Drugie piętro mieściło trzy pokoje sypialne, sanitaria, pokój siostry bieliźniarki, małą izolatkę dla chorych oraz wejście na strych. Tu można było przebywać jedynie od wieczornej do rannej modlitwy, czego ściśle przestrzegano. Każda sypialnia miała swego seniora, odpowiedzialnego przed prefektami za porządek na salach. Do obowiązków seniorów należało dbanie o estetyczny wygląd pomieszczeń sypialnych, łóżka musiały być zaścienione pod kant, ubrania złożone w kostki, buty wyczyszczone i postawione na baczność. Poza tym senior oglądał swoim podopiecznym szyje, uszy i nogi. Biedny był ten delikwent, który czymś naraził się seniorowi. Władza seniora równała się władzy kaprała w wojsku i lepiej było nie ryzykować.



Od lat ustalony rygor wychował całe pokolenia tych, którzy przeszli przez Zakład, a że porządek pomyślany był w najdrobniejszych szczegółach, więc wszystko kręciło się jak w najlepszym szwajcarskim zegarku.

Dzień powszedni zaczynał się dzwonkiem, punktualnie o godz. 6. Natychmiast po dzwonku słychać było szybkie kroki Cotadzego, dudniące po schodach. Chłopcy zrywali się i gnali do umywalni. Na mycie się, ubranie i posłanie łóżek było przeznaczony 30 minut. Następny dzwonek oznaczał modlitwę w kaplicy, po której do godz. 7 należało przygotować książki, zeszyty i powtórzyć niektóre lekcje. Trzeci dzwonek, punktualnie o godz. 7, oznaczał śniadanie, na które tłumnie schodziło się do olbrzymiej jadalni urządzonej skromnie, z trzema stołami ustawionymi w podkowie i wygodnymi, ciężkimi ławkami.

Na środku sali stał stół z krzesłami dla władzy, a więc prefektów i księdza Bodzia Agopsowicza, do których czasami przysiadł się dyrektor. Każdy stół miał co tydzień zmieniających się dyżurnych, pobierających posiłki przez okienko w kuchni. Na śniadanie dostawaliśmy słodzoną kawę zbożową z mlekiem w dzbankach, chleb postny w dowolnej ilości oraz drugie śniadanie zawinięte w śniadaniowy papier. Najczęściej był to chleb z masłem, czasem z marmoladą lub ze skwarkami, a z rzadka z wędliną. Każdy posiłek poprzedzała i kończyła krótka modlitwa. Po śniadaniu młodzież rozchodziła się do swoich szkół, a ci, którzy nie mieli w tym dniu zajęć, mogli wolny czas wykorzystać według swojego uznania.

Czwarty dzwonek, o godzinie 14, zapraszał na obiad. Dyżurni roznosili dymiące talerze z zupą i drugim daniem oraz koszyki z chlebem. Nikt nie grymasił; kto był głodny, mógł dostać repety, komu obiad nie smakował, mógł nie jeść i nikt się tym nie przejmował. Do dziś pamiętam zdumienie mamy niewierzącej własnym oczom, że jej rozgrymaszony Tadzio w czasie pierwszych odwiedzin w domu zmiata z talerzy wszystko,

czego dawniej tknąć nie chciał. Oj, dobra to była szkoła, twarda, ale chyba nikomu nie zaszkodziła.

Po obiedzie był czas wolny, spędzaliśmy go na grach i zabawach, po czym od godziny 14.45 do 17 obowiązywała cisza, podczas której każdy przy swoim stoliku odrabiał lekcje, czytał lektury – jednym słowem obowiązywała indywidualna nauka. Przy katedrze uczył się również prefekt Cotadze lub drugi prefekt, którym za moich czasów był student medycyny Piotrowicz, oraz Sławek Bilikowski, czuwający również nad stanem sanitarnym Zakładu. Wraz z godziną 17 zaczynał się gwar i zabawy, w tym czasie za zgodą prefekta można było załatwiać drobne i niezbędne sprawunki w mieście.

Piąty dzwonek o godzinie 19 oznajmiał kolację, ale co podawano na kolację – dzisiaj już nie pamiętam, na pewno były to potrawy proste, niewyszukane i w ilości zaspokajającej nasze wilcze apetyty.

Po kolacji, do godz. 21.30, był czas przeznaczony na naukę, ale już nie obowiązywał rygor siedzenia przy własnym stoliku, można było uczyć się wspólnie. Starsi przygotowywali młodszych, słabszych kolegów, szczególnie ci z podstawówki i pierwszych klas gimnazjalnych mieli wyznaczonych swoich opiekunów, mających obowiązek pomagania im w nauce i opiekowania się nimi. W ten sposób nikt nie mógł być nieprzygotowany do zajęć w szkole na dzień następny. Zwyczaj ten przestrzegany od lat sprawiał, że młodzież była z sobą bardzo zżyta i stanowiła zespół wzajemnie sobie pomagający.

O godzinie 21.30 zbieraliśmy się na wieczornej modlitwie, potem było mycie, czyszczenie butów i odzieży, ślanie łóżek, seniorzy dokonywali swoich obowiązkowych przeglądów i o godzinie 22 gaszono światła, co oznaczało ciszę nocną.

W niedziele i święta spało się o pół godziny dłużej, cisza obowiązywała między 10 a 12. Śniadania były z kakao i bułkami z masłem, o 12 obiad z trzech dań, potem trochę nauki, ale już bez obowiązkowej ciszy w godzinach 14–15. O 15 na salę wkroczył dyrektor Zbigniew Bober w asyście prefektów, czasem ks. Bodzia, i – jak już pisałem – podsumowywał miniony tydzień, karał, rozgrzeszał, upominał, na koniec dawał przepustki.

Lata spędzone w Zakładzie – wszyscy jego wychowankowie – wspominamy zawsze ciepło i dzisiaj można tylko żałować, że takie placówki już nie istnieją, bo prosperujące obecnie internaty i bursy nie są już w pełni zakładami wychowawczymi. Ten, w którym uczyły się całe pokolenia młodych Ormian, wychowywał młodzież, uczył ją punktualności, koleżeństwa i solidarności.

Dzieci ormiańskie dostawały się do Zakładu bez trudności, biedniejsze otrzymywały stypendia, ale dzieci nieormiańskiego pochodzenia musiały czekać na wolne miejsca.

W czasie, kiedy przebywałem w Zakładzie, poznałem kilkunastu chłopców pochodzenia ormiańskiego: Sławka Bilikowskiego, Stanisława Bohosiewicza, Stanisława Donigiewicza, Stanisława Dawidowicza,

Krzysztofa Jakubowicza, Józefa Moszoro, Bronisława Manugiewicza, trzech Mazurkiewiczów: Zachariasza, Emila i Erwina, Józefa Nikosiewicza (Niunka), dwóch Nikosiewiczów z Łyśca: Józefa i Krzysztofa, dwóch Petrowiczów: Stefana i Dominika, Romaszkanów – Grzegorza i Bogdana, Leszka Turomanowicza i jego brata, którego imienia nie pamiętam. Razem z nami w Zakładzie byli Kondratiew i Iwanow – Rosjanie, Leon Cotadze – Gruzin, Marian Stepan – Tatar, Karol Olszewski – urodzony i wychowany w Hiszpanii, był również chłopak wychowany w Jugosławii i wielu innych, nieormiańskiego pochodzenia. Ogółem w Zakładzie liczba wychowanków wynosiła 45 osób. Razem tworzyliśmy jedną wielką rodzinę, co przedstawiało na pewno liczącą się wartość wychowawczą tej grupy młodzieży.

dokończenie ze s. 29

- ²⁰ Stanisław Reychan (1858–1919), ur. we Lwowie, członek kilkupokoleniowego rodu malarzy lwowskich. Rysownik, malarz i pedagog.
- ²¹ Leopold Staff (1878–1957), ur. we Lwowie. Poeta-skamandryta, filozof, tłumacz. Od I wojny w Warszawie.
- ²² Zygmunt Wasilewski (1865–1948), publicysta, działacz polityczny, krytyk literacki, 1902–15 redaktor „Słowa Polskiego”.
- ²³ Marcin Ernst (1869–1930), rodem z Warszawy, od 1901 we Lwowie, profesor astronomii na Uniwersytecie. Jego synem był Jan Ernst, twórca Chóru Eryana we Lwowie, po II wojnie profesor geografii na UMCS, autor wspomnień..
- ²⁴ Ernest Łuniński (1868–1931), rodem z Krakowa. Historyk, pedagog, literat, publicysta. 1905–10 we Lwowie i Stanisławowie, potem w Warszawie.
- ²⁵ Tadeusz Sobolewski, urzędnik prokuratury skarbu.
- ²⁶ Jan August Kisielewski (1876–1918), dramaturg. Związany z Krakowem, potem z Warszawą, przebywał we Lwowie czasowo ok. 1905–06 r. jako recenzent teatralny.
- ²⁷ Stanisław Przybyszewski (1868–1927), prozaik, dramaturg, eseista.
- ²⁸ Wojciech Dzieduszycki (1845–1909), ur. i wł. majątku Jezupol w Stanisławowskiem, poseł do Sejmu galicyjskiego, jeden z przywódców konserwatystów wschodniogalicyjskich, mini-

ster dla Galicji, profesor Uniwersytetu Lwowskiego.

Autorka korzystała z następującej literatury:

- K. Chłędowski, *Pamiętniki. Galicja 1843–1880* (Kraków 1957)
- Z. Dębicki, *Iskry w popiołach... cz. II. Grzechy młodości* (Poznań 1931)
- U. Jakubowska, *Lwów na przełomie XIX i XX wieku...* (Warszawa 1991)
- J. Janicki, *Cały Lwów na mój głów* (Warszawa 1993)
- F. Jaworski, *Lwów stary i wczorajszy...* (Lwów 1911)
- A. Kasproicz-Jarocka, *Córki mówią...* (Warszawa 1966)
- S. Lam, *Życie wśród wielu* (Warszawa 1968)
- E. Łuniński, *Ze wspomnień o Kasproviczu* [w:] *Wspomnienia o Janie Kasproviczu* (Warszawa 1967)
- T. Niesiołowski, *Wspomnienia* (Kraków 1956)
- M. Opalek, *O Lwowie mojej młodości...* (Wrocław 1987)
- K. Schleyen, *Lwowskie gawędy* (Londyn 1967)
- L. Solski, *Wspomnienia 1893–1954* (Kraków 1956)
- W. Szolginia, *Tamten Lwów*, t. VIII. *Arcylwownianie* (Wrocław 1997)
- Z. Wasilewski, *Od romantyków do Kasprovicza...* (Lwów 1907)
- S. Wasylewski, *Lwów, Seria Cuda Polski*, t. VI. (Poznań 1931)
- S. Wasylewski, *Czterdzieści lat powodzenia...* (Wrocław 1959)
- A. Wysocki, *Sprzed pół wieku* (Kraków 1958)

Adam Trojanowski

KOLEŻANKI MOJEJ SIOSTRY

Retrospekcja nostalgiczna

W przedwojennym Lwowie było 12 polskich męskich gimnazjów państwowych i tylko dwa żeńskie. Tego dziwnego stanu rzeczy nie zmieniał fakt, że równocześnie istniały żeńskie gimnazja prywatne, albowiem były także takowe dla chłopców. Niewykluczone, że prywatne gimnazja żeńskie – jak „Strzałkowska”, Olgi Filippi lub Sacré Coeur – obejmowały nawet więcej dziewcząt niż te dla chłopców, jednak bilans ilościowy wypadł nadal niekorzystnie dla dziewcząt. Jak uzasadnić taki stan rzeczy, potwierdzany wyraźnie przez Rocznik Statystyczny z 1938 roku? Czyżby wśród pewnych, a dosyć licznych kręgów lwowskiego społeczeństwa pokutował stary, jeszcze galicyjski, zwyczaj ukoronowania edukacji dziewczęcej znajomością języka francuskiego, gry na fortepianie, a potem buzia w ciup i czekanie na męża? A może wręcz walka o męża, tylko co wtedy z tym ciupem?

Tego stanu rzeczy nie zmieniał również fakt istnienia we Lwowie takich szkół średnich dla dziewcząt, które przygotowywały je praktycznie do zawodu, jak np. „Handlówka” przy Placu Strzeleckim, bilans był bowiem niwelowany liczną, męską „Przemysłówką” przy ul. Snopkowskiej. Należy przyznać przy okazji, że szkoły te, aczkolwiek na wysokim poziomie, nie cieszyły się uznaniem w naszym mieście. Czyż lepiej było czekać na męża niż uczyć się do zawodówki?

Dwie wspomniane na początku szkoły średnie to Gimnazjum im. Królowej Jadwigi przy ul. Potockiego oraz im. A. Asnyka, pierwotnie przy ul. Sakramentek. Latami trwała niepisana konkurencja o trudny do udowodnienia prymat jednej z tych szkół. Była to uparta walka – niczym pomiędzy „Pogonią” i „Czarnymi” we Lwowie lub „Wisłą” i „Cra-

covią” w Krakowie, jaka trwa do dziś. Jakies szczególne wydanie *panów* i *działów* w spódniczkach. W gruncie rzeczy o prymat ten walczyły nie tyle wspomniane gimnazja, ile ścierające się opinie społeczne.

Moja siostra Krystyna⁴ rozpoczęła swoją lwowską edukację w Szkole Ćwiczeń przy Seminarium Nauczycielskim i kontynuowała ją właśnie w Gimnazjum Asnyka. Powstało ono w wyniku reformy w latach trzydziestych oraz przejścia szkolnictwa średniego na 4 lata gimnazjum i 2 lata liceum.

Szkoła ta mieściła się pierwotnie w dużym, ponurym, zbudowanym z czerwonej cegły budynku u wylotu ul. Ochronek w ul. Sakramentek. W połowie lat 30. przeniesiono tę już inaczej zorganizowaną szkołę do potężnego, czteropiętrowego gmachu prywatnej szkoły średniej o nazwie Żeński Zakład Naukowy Zofii Strzałkowskiej. Znajdował się on przy południowej stronie ul. Zielonej – nazwanej później ul. gen. T. Rozwadowskiego – i był tylko częściowo wykorzystywany dla celów Gimnazjum im. Asnyka. Otaczał go duży, wysokopienny ogród pełen sympatycznych alejek. Teren ten graniczył od strony wschodniej z cichą uliczką Oficerską, na odcinku gdzie znajdowały się obiekty gospodarcze firmy spedycyjnej Ludwika Zawadzkiego. Zajmowały je czerwone wozy meblowe oraz stajnie dla roboczych perszeronów. Za nimi zaczynał się cieniasty park, a w nim osamotniony pałacyk Szepetyckich. Zapleczem swym teren ten sąsiedował z szeregowo ustawionymi w ogrodach willami oficerskimi. Z prawej strony, nieco dalej, znajdowała się duża szkoła powszechna im. Marii Konopnickiej.

Gimnazjum prowadziła władczą ręką dyrektorka, nosząca tytuł przełożonej, dr Maria Chelińska. Dysponowała zgranym zespołem pedagogów, noszących częściowo tytuły doktorskie. Poziom Gimnazjum był na pewno wysoki. Umiłowaną przez dziewczęta była opiekunka klasy Z. Bałówna.

Panienki gimnazjalistki, zgodnie z obowiązującymi przepisami, były ubrane w mundurki koloru granatowego, z białymi kołnierzykami. Wyjście obowiązywał granatowy beret z okrągłą, białą odznaką, przedstawiającą otwartą księgę wiedzy oraz kaganek oświaty. Na chłodne dni obowiązywał granatowy płaszcz, sięgający dość znacznie poza kolana. Buciki musiały być w zasadzie na płaskim obcasie, aczkolwiek w klasach

wyższych pojawiały się czasem także na tzw. półsłupku. Cienkie pończochy były zabronione i obowiązywały tzw. „fildekosowe”. W sumie skromność, ale także swoista elegancja. Obowiązkowa tarcza noszona na lewym ramieniu miała niebieskie tło oraz numer 574. Mimo ograniczeń w zakresie ubierania, a także ostrych wymagań co do zachowania, dziewczęta prezentowały się urodziwie, młodzieńczo i sympatycznie. Żadne szminki, puder lub perfum. Naturalna cera, czasem nieśteły przyszczata, ale ponad wszystko górowała żywiołowa dziewczęcość, bez *komórki, trawki i pigułki antykoncepcyjnej*.

Dziewczęta odwiedzały się nawzajem w domach rodzicielskich, tworząc małe grupki, radosne, roześmiane, plotkujące nieszkodliwie o chłopcach, nieco o modzie, a przede wszystkim o filmach oraz artystach z tej branży. Z dużą pasją zbierały wycinane z czasopism podobizny aktorek, rzadziej aktorów, a szczególnym osiągnięciem było zdobycie tzw. fotosów, czyli zdjęć wystawianych jako reklama w witrynach kinowych. Posiadanie takiego fotosu, np. z Jeanette Mac Donald, było dużym osiągnięciem zbieractwa. Ja osobiście wołałem Joan Crawford, ale jej podobizn nie zbierałem.

Do kina chodziło się rzadko, ze względu na wysoką cenę biletów w kinach dopuszczonych dla młodzieży. Do takich kin należała „Europa”, „Palace” lub „Cassino”. Za tzw. miejsce rezerwowe, najlepsze, trzeba było zapłacić ponad 3 zł. a było to wtedy dużo. Kieszonkowe, jakim młodzi ludzie

wtedy dysponowali, było małe i w żadnym wypadku nie umożliwiało zakupu biletu. Byli na „garnuszk” rodziców, którzy i tak mieli znaczne wydatki związane z edukacją i wychowaniem.

Wzajemne związki przyjacielskie dziewcząt wzmagaly się przez powtarzany bodaj dwukrotnie w ciągu roku wyjazd na tzw. osiedle w Starym Samborze. Przebywały tam około 2 tygodni, ucząc się wprawdzie, ale w warunkach odprężenia dzięki spacerom, wycieczkom oraz zabawom sportowym. Szczególnymi przeżyciami, także kilkakrotnie w ciągu roku, były wieczorki taneczne z udziałem zapraszanych przez nie chłopców. Dziewczęta mogły się wówczas natańczyć według zasad przekazywanych im na lekcjach tańca przez pana Burkego oraz nauczyć się godnych kontaktów z różnymi partnerami, a ci zaś ogłady i elegancji. Wszystko to odbywało się oczywiście pod bacznym okiem grona nauczycielskiego oraz niektórych rodziców.

W ciągu kilku lat miałem możliwość obserwować zespół zgranych koleżanek, jaki otaczał moją siostrę, i pamięć o nich zachowałem do dzisiaj. Ich wzajemne stosunki kształtowały się w przyjacielskiej atmosferze i przekraczały z latami mury szkolne, przeradzały się w prawdziwie trwałe przyjaźnie.

Najbliższą przyjaciółką siostry była Irena Pilcerówna. Drobną, ładną, o bujnej fryzu-



Krystyna Trojanowska (z prawej)
i Irena Pilcerówna, Poronin 1937

rze – była jedynaczką, ale nigdy nie wykazywała z tego powodu negatywnych cech charakteru. Taką pozostała do późnych lat, przeżywszy moją siostrę. Była wzorową uczenicą, bardzo dobrze ułożoną, wesołą, ale i powściągliwą, zachowującą zawsze trzeźwą ocenę sytuacji. Pewien znawca urody niewieściej mówił do niej: ty jesteś piękny kobiet, bo Irena rzeczywiście nie była wtedy jeszcze kobietą, ale właśnie „kobietem” w pełnym rozkwicie. Mieszkała wraz z rodzicami w blokach PKO przy ul. J. Piłsudskiego, sięgających zapleczem gdzieś na tyły ul. Kochanowskiego. W 1939 r. jeden z tych wysokich bloków trafiła niemiecka bomba, a pod jego gruzami zginęło wiele osób. Ze zgrozą oglądałem rozprute od góry aż do piwnic mieszkania, ukazujące swoje codzienne wnętrza ze zwisającymi meblami oraz ściany z rozwieszonym na nich wyposażeniem. Ten straszliwy widok uzmysławiał przerażająco, co mogło każdego z mieszkańców miasta wtedy spotkać. A spotkało faktycznie w ciągu dwudziestu kolejnych dni oblężenia Lwowa.

Ojciec Ireny, pan Zygmunt, był pracownikiem bankowym, zawsze uśmiechniętym zawodowo, z miną ukazującą zadowolenie z osiągniętego statusu bycia oraz posiadania. Mama, także drobna jak córka, była na co dzień niezwykle zadbana, a fryzura jej budziła zawsze podziw. Z rodziną Pilcerów mieszkała także babcia, czesko-niemieckiego pochodzenia, która do swojego umiłowanego pieska, wydającego swoiste dźwięki, zwracała się napominająco: *ne fuczidlo!*

Irena była tak dalece związana z moją siostrą i całą naszą rodziną, że dwa razy z rzędu spędziła razem z nami całe przedwojenne wakacje, a to w 1937 r. w Poroninie oraz w 1938 r. w Osielcu. Trwały one dwa miesiące, a zamieszkiwaliśmy wtedy każdorazowo, wraz z krakowskimi Dziadkami, w wynajętych wieloizbowych budynkach drewnianych, budowanych specjalnie dla tych celów przez tamtejszych górali. Na wakacje jechała z nami także służąca Dziadków, która zajmowała się wyżywieniem oraz sprawami gospodarczymi. Na taką wyprawę zabieraliśmy oprócz podręcznych bagaży dwa duże kosze wiklinowe z pościelą oraz garnkami i sprzętem gospodarczym.

Fakt, że Irena była wysyłana przez swoich rodziców na dwa długie wspólne pobyty z nami, świadczył o ich zaufaniu do warun-

ków, jakie jej moja rodzina zapewniała. Takie rozwiązanie wakacji sprawiło szczególną radość i zadowolenie mojej siostrze.

Wprawdzie wojna rozdzieliła nasze rodziny, jednak w ciągu lat 40. Irena pojawiła się u nas w Krakowie i odnowiła dawne, pełne zaufania kontakty. W pewnym momencie zerwała ze swoim lwowskim jeszcze narzeczoną, późniejszym znanym na Śląsku architektem i wyszła po kryjomu za mąż za jego brata, który pojawił się niespodziewanie z wygnania u bolszewików. Ślub ich odbył się cicho, a wesele, także niezbyt głośne, miało miejsce z wykorzystaniem mieszkania mojej Babcі. Stosunki między dwoma braćmi ułożyły się, mimo niezwyklego wydarzenia, bardzo dobrze dla wszystkich zainteresowanych. Irena mieszka w Katowicach wraz ze swoją jedyną córką. Jej przyjaźń z moją siostrą przetrwała długie lata, aczkolwiek kontakty osobiste z nią zaczęły z wiekiem słabnąć.

Drugą serdeczną koleżanką mojej siostry była Alina Prażmowska. Ojciec jej Władysław, organizator legionowej kawalerii, występował pod pseudonimem Belina. W latach 1918–1920 był w randze pułkownika dowódcą brygady kawalerii, a w latach późniejszych poświęcił się pracy w administracji państwowej. W połowie lat 30. był wojewodą lwowskim, a nieco wcześniej prezydentem miasta Krakowa. Po rezygnacji ojca z funkcji wojewody, spowodowanej stanem zdrowia, Alina powróciła z rodziną do Krakowa i mieszkała na młodym jeszcze wtedy osiedlu willowym Cichy Kącik. Ojciec Aliny zmarł w 1938 r. w Wenecji i jest pochowany na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. We Lwowie Alina mieszkała z rodzicami w budynku Urzędu Wojewódzkiego przy ul. Czarnieckiego, zwanej dawniej Wałami Gubernatorskimi, i tam odwiedzała ją moja siostra. Alina miała trzech braci. Zbigniew, po ukończeniu podchorążówki przy Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu, objął służbę garnizonową w jednym z warszawskich pułków konnicy. Jeszcze przed wojną zginął tragicznie. Janusz zginął podczas wojny jako lotnik na Zachodzie. Leszek, lwowski kadet, zaangażowany w krajowym podziemiu, przedostał się do Wojska Polskiego na Zachodzie. Po wojnie wyemigrował do Kanady, tam ożenił się i doczekał

wielu dzieci. Zawodowo związał się tam ze światową firmą General Motors. Cała rodzina Prażmowskich stanowiła wzór przyzwoitości i pozostała wierna patriotycznej tradycji ojca, Beliny. Mimo wręcz historycznej pozycji ojca Alina była zawsze dziewczyną skromną, życzliwą koleżanką i nigdy się wobec innych nie wywyższała. Przez długie lata była znanym, szanowanym i lubianym stomatologiem dla pracowników Urzędu Miasta Krakowa. Była zawsze osobą z klasą i taką pozostaje przy swoim mężu, jako pani Angelus.

Siostra moja była blisko związana koleżeńsko także z Irką Żmudzińską. Dziewczyna ta była wybitnie wesoła, wręcz żywiołowa i pełna młodzieńczych pomysłów. Nie przeszkadzało jej to być dobrą uczennicą, chociaż ze specyficznym temperamentem. Mieszkała wraz a matką w okolicy ul.

Murarskiej i tam spotykały się dziewczyny w swym przyjacielskim kręgu. Rodzinnie, bodajże przez matkę, była bardzo blisko związana z gen. Bolesławem Wieniawą Długoszowskim. Spotykała się z nim rok rocznie w jego majątku rodzinnym w Bobowej koło Biecza. Wieniawa – bo tak był powszechnie dostrzegany, był z zawodu lekarzem. Los związał go za młodu ze Związkiem Strzeleckim, a potem Legionami. Był ulubieńcem Marszałka Piłsudskiego, przy którym był do jego śmierci adiutantem generalnym. W latach 1930–38 był dowódcą 2. Warszawskiej Brygady Kawalerii, a w latach 1938–40 ambasadorem RP w Rzymie. Był człowiekiem nadzwyczajnej inteligencji, błyskotliwym, pełnym kawaleryjskiej fantazji. Udzielał się aktywnie w warszawskich kręgach artystycznych – z Tuwimem, Słonimskim i Hemarem, bywał częstym gościem w kabarecie „Qui pro Quo”, gdzie korzystano z licznych tekstów wymienionych poetów. Mimo swego



Krystyna Trojanowska w drugiej kolumnie, druga od góry

niekonwencjonalnego nieraz zachowania w 1939 r. został przez ustępującego prezydenta Mościckiego wyznaczony na jego następcę. Zaprotestowała Francja. Podczas wojny przebywał w Nowym Jorku. Zgnębiony psychicznie przez wrogów politycznych, popełnił tam samobójstwo w 1942 roku.

Zszeregiem innych koleżanek mojej siostry byłem przez lata dosyć związany, stąd mogę o kilku z nich jeszcze dzisiaj nieco opowiedzieć. Niezwykle dobrze zapamiętałam Zużę Progulską, zamieszkałą wówczas wraz z rodziną przy ul. Asnyka. Jej ojciec, dr Stanisław Proguiski, pediatra i profesor na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza, został w lipcu 1941 r. zamordowany wraz z synem Andrzejem przez Niemców, w licznej grupie profesorów lwowskich oraz ich rodzin, na Wzgórzach Wuleckich. Dalsze losy Zuzy nie są mi znane. Była to dziewczyna szczególnej urody oraz osobi-

stego czaru, poprzez frapujący błysk oczu i nieopuszczający ją humor. Tryskała wręcz radością życia, której udzielała najbliższemu otoczeniu.

Podobnej urody, energii oraz sposobu bycia była ciemnowłosa Luśka Zborowska, ukazująca w uśmiechu szczególnie białe zęby. „Szparkowate” oczy odziedziczyła po swojej matce, „białej” Rosjance. Stąd zapewne ten temperament.

Trudno nie wspomnieć tu Lilki Kozieltulskiej. Była wysoką, szczupłą blondynką z bujnymi włosami, opadającymi jej łobuzersko na czoło. Pozornie poważna, była pełna niecodziennych pomysłów, którymi zabawiała w dobrym stylu swoje szkolne otoczenie. Ojciec jej był bodajże nauczycielem śpiewu i prowadził chór szkolny. I jak nie wspomnieć przy okazji Anki Chrobak, o szczególnej urodzie, z imponującą kaskadą ciemnych włosów, opadających jej nisko na kark.

Tych dziewcząt było w klasie ponad czterdzieści, było więc kim się młodzieńczo zainteresować. Wszystkie były dobrze ułożone i mimo że były dorastającymi panienkami, z budzącymi się niepokojącymi uczuciami, nigdy nie spowodowały skandalizujących sytuacji, zachowując zawsze takt oraz dziewczęcą godność, a równocześnie młodzieńczą radość życia i werwę.

Lwowskie Dziewczyny z „Asnyka”! Dzięki Warn za dar młodości, urodę oraz czar i wdzięk, przekazywane naszemu Miastu ku jego trwałej ozdobie i pamięci.

PS. Po wkroczeniu bolszewików do Lwowa Gimnazjum Asnyka przestało działać pod swą dotychczasową nazwą. Zamieniono je na sowiecką „dziesięciolatkę”, nadano charakter koedukacyjny, a przy tej okazji przeniesiono część młodzieży do innych szkół, wprowadzając na jej miejsce zupełnie nowych uczniów. Pewna grupa dziewcząt została przeniesiona do Urszulanek przy ul. św. Jacka, czyli ówczesnej Szkoły Średniej nr 28. Tam koleżankami mojej siostry były między innymi N. Marciniuszyn, Elżka Litwiniszyn, Krystyna Staffa, Zośka Weissówna, z chłopców zaś – mój przybyły z VIII Gimnazjum kolega Antek Dorozik.

* Po meżu Pillerowa.

Helena Żołnierzowa

MOJA MAŁA OJCZYZNA

Po przeczytaniu apelu w sprawie opracowania „Indeksu Wschodnich Małopolan” postanowiłam dołożyć cegiełkę do tego dzieła.

Rodzina moja mieszkała „od zawsze” we wsi Obydów, powiat Kamionka Strumiłłowa, województwo tarnopolskie. Wyjechaliśmy z rodzinnego domu w kwietniu 1944 r. Miałam wtedy 23 lata. Pamiętam dużo, chociaż czas zaciera szczegóły, no i wiek działa na niekorzyść. Prócz pamięci będę korzystać z monografii prof. Bronisława Falińskiego *Powiat Kamionka Strumiłłowa*, wydanej w roku 1935 staraniem Towarzystwa Rozwoju Ziemi Wschodnich w Kamionce Strumiłłowej.

Profesor Faliński był wykładowcą historii w naszym gimnazjum. W listopadzie 1939 został aresztowany przez NKWD i już nigdy nie wrócił. Tej listopadowej nocy aresztowano też prof. dra Jana Poznańskiego – byłego posła ze Stronnictwa Ludowego, prof. Jana Choinę, byłego burmistrza dra Jana Bryka, sędziego Franciszka Korzelskiego, inżyniera-geodetę Lindego, lekarza powiatowego dra Kazimierza Wiewiórskiego, policjanta Buczyńskiego, pracownika sądu Michała Łechniuka, sołtysa Łanów Karola Składnika. Ich rodziny wywieziono w lutym 1940 do Kazachstanu. Część z nich wróciła po wojnie do Polski, część wyjechała z ZSRR na Zachód. Z aresztowanych mężczyzn przeżył tylko dr Wiewiórski, M. Łechniuk i inżynier Linde.

Powiat Kamionka Strumiłłowa obejmował 64 wsie (sołectwa) i – oprócz Kamionki – dwa miasteczka: Busk i Dobrotwór. Ludność na tych terenach była mieszana. W miastach i niektórych wsiach była większość Polaków, ale w wielu wsiach większość stanowili Rusini, w latach 30. określani jako Ukraińcy.

Powiat kamionecki należał do województwa tarnopolskiego, chociaż do Tarnopola jechało się przez Lwów z przesiadką i odległość była dwa razy większa. Nazwa wsi

Obydów występuje już w roku 1695. Osada powstała w miejscu wyrzeźbionych lasów, przysiółek Zbrońce leżał w lesie. Przed drugą wojną światową wieś miała 140 numerów, 750 mieszkańców, w tym 8 rodzin ukraińskich (ok. 40 osób). Wieś miała szkołę, kaplicę, dom gminny. W szkole mieszkał jej kierownik. W pierwszej klasie uczyła mnie pani Józkowowa, której mąż był kierownikiem szkoły. W 1928 roku przeszli na emeryturę i wyjechali do własnego domu w Brodach. Później, aż do wysiedlenia, kierownikiem szkoły była Stefania Kromer-Kruczkowska, a nauczycielem jej mąż, mgr historii Karol Kruczkowski.

Od piątej klasy chodziłam, tak jak i moje rodzeństwo, do szkoły w Kamionce Strumiłowej (ok. 4 km). Do gimnazjum też chodziliśmy w Kamionce, ale wtedy ojciec kupił mały domek w mieście i mieliśmy do szkoły blisko. W tym czasie mało dzieci wiejskich po czwartej klasie kontynuowało naukę w mieście. Większość młodzieży uczyła się rzemiosła u majstrów, dzieci żydowskie pomagały rodzicom w sklepach. Do gimnazjum uczęszczało z Obydowa w okresie międzywojennym 10 osób, z tym że nie wszyscy dobrnęli do matury – nie tyle z braku zdolności, co z powodu kosztów (taksa za semestr wynosiła 110 zł).

W gimnazjum kamioneckim zaraz po I wojnie światowej zdali maturę: ks. dr Michał Białowąs, dr wet. Stanisław Smoliński, major Józef Jazienicki, Karol Rękas – brat mojej matki (studiował potem w Wiedniu). W latach trzydziestych maturę zdali: Michał Ślepecki, Bronisław Ślepecki, Stanisław Mazur, Józef Rękas.

Ojciec Wenanty Katarzyniec, którego proces beatyfikacyjny trwa, rodem też z Obydowa, kończył seminarium nauczycielskie we Lwowie przed I wojną światową. Mój wujek Stanisław Rękas kończył seminarium nauczycielskie w Samborze. W 1915 roku zginął na froncie w Karpatach. Seminarium w Żółkwi skończyła w okresie międzywojennym Stanisława Zbroniec – uczyła potem we wsi Gruszka koło Kamionki, zmarła w 1935 roku w wieku 25 lat. Byłam pierwszą dziewczyną z Obydowa, która zdała maturę w Kamionce Strumiłowej.

Oto zapamiętane nazwiska profesorów naszego gimnazjum i liceum: dyrektor Franciszek Skórski, filozof; prof. dr Jan Poznański, polonista; prof. Romuald Chyimiakowski, polonista; prof. Zofia Czerwidowa, polo-

nistka; prof. Bronisław Faliński, historyk; ks. prof. dr Jan Kutowski, religia, historia starożytna, łacina; prof. dr Chaim Rosenthal, łacina, historia starożytna, język francuski; prof. dr Ewa Fischbein, matematyka; prof. Jan Sokił, fizyka, chemia; prof. Adam Jarema, biologia; prof. Zofia Orkiś, geografia; prof. Teodor Bachmann, język niemiecki; prof. Jan Guzik, język niemiecki; prof. Zofia Borecka, wychowanie fizyczne. Większość nauczycieli miała wszechstronną wiedzę i bardzo dużo wymagała.

Předstawię teraz nazwiska rodzin mieszkańców Obydowa, które się częściej lub rzadziej powtarzały.

Rodziny rzymskokatolickie: Mazur, Ślepecki, Demski, Rękas, Radziwiński, Białowąs, Denys, Kaliszczak, Zbroniec, Mroczkowski, Rudyk, Jazienicki, Nawacki, Semnowicz, Staniszewski, Skalik, Świątek, Kędzia, Jakobsze, Sidelnik, Junik, Choina, Jaskuła, Kawecki, Smoliński, Kruczkiewicz, Katarzyniec, Koprowski, Łabaj, Ptasznik.

Rodziny grekokatolickie: Tenetiuk, Hrycyna, Macoszyński, Demczyna, Greniuch, Zakremski, Łysko – czterej ostatni mieli żony Polki, ich dzieci były często chrzczone w kościele rzymskokatolickim.

W 1997 roku zmarł w Jarosławiu w wieku 98 lat najstarszy człowiek z Obydowa, Jan Mazur. Był on żywą encyklopedią zdarzeń z I wojny światowej, starych obyczajów i pokrewieństwa między rodzinami. Rodzina mojego ojca – Mazurowie – miała nr domu 4, a numeracja szła zgodnie z osiedleniem. Mazurów było 10 rodzin, ale moich krewnych tylko 4 z nich. Wszystkie wywodziły się z jednego pnia, lecz się z czasem oddalały. Rękasowie – rodzina mojej matki – mieli nr domu 9. Tak więc obie należały do pierwszych osadników na przełomie XVII i XVIII wieku. Podobno Rękasowie przybyli z Sandomierskiego, a Mazurowie z Mazowsza. Kuzynem mojej matki był ksiądz doktor Michał Rękas, twórca Apostolstwa Chorych.

Obydów wydał czterech kapłanów: dwóch braci Michała i Kazimierza Białowąsów, ich kuzyna ks. Zygmunta Białowąsa i ojca Wenantego Katarzyńca.

Najwięcej byłych mieszkańców Obydowa i Kamionki osiedliło się po II wojnie światowej w okolicach Wrocławia, Oławy, Legnicy i w Jarosławiu. Żyje jeszcze wiele osób

urodzonych w Obydowie lub w Kamionce, ale coraz mniej tych, którzy ten teren i tamtych ludzi pamiętają. A gdy zabraknie świadków tamtych czasów i miejsc, to i pamięć u naszych potomków zaniknie. Niechże więc te najbliższe 2–3 pokolenia naszych następców pamiętają, skąd się wywodzą – z jakich ziem i rodzin.

Po opuszczeniu Obydowa rodzice moi, Filomena i Stanisław, osiedlili się w Jarosławiu, chcąc być bliżej domu. Byli pewni, że tam powrócą. Spoczywają na cmentarzu w Jarosławiu. Siostra i brat zostali też w Jarosławiu. Drugi brat mieszkał we Wrocławiu, tu skończył studia i pracował, obecnie mieszka w Opolu.

Ja ukończyłam studia we Wrocławiu, pracowałam na Akademii Rolniczej jako lektor języka niemieckiego. Mąż mój Jan Żołnierz wywodził się też ze Wschodu. Był absolwentem prawa Uniwersytetu Lwowskiego. Zmarł w roku 1988. Troje naszych dzieci ukończyło studia we Wrocławiu i tu pracują. Mam czworo wnuków, dwie wnuczki są już studentkami Uniwersytetu Wrocławskiego.

HELENA ŻOŁNIERZOWA, z domu Mazur, ur. 1921 w Obydowie. Po ekspatriacji w Jarosławiu. Ukończyła studia filologiczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Mieszka we Wrocławiu, była lektorem jęz. niemieckiego na Akademii Rolniczej.

Cmentarze i twórcy

Niezapomniany Jerzy Waldorff w swym artykule w „Polityce” 18/99 przypomniał swoją zasługę założenia 25 lat wcześniej Społecznego Komitetu Opieki nad Starymi Powązkami. W artykule tym – przy okazji – wymienił nazwiska wybitnych pisarzy, spoczywających na tym cmentarzu: Prus, Berent, Leśmian, Dąbrowska, Staff, Parandowski, Wierzyński, Reymont,

Herbert. Zauważmy, że z tych dziewięciu twórców (wyliczonych może na chybił-trafił, co tym bardziej znamienne) czterej to lwowianie (ściślej: wschodni małopoleanie).

Wśród najwybitniejszych autorów pomników wymienił Waldorff Stanisława Ostrowskiego. O tym rzeźbiarzu patrz *Archiwum – Osiemdziesiąt lat temu* w CL 4/05.

Jestem doktorantką w Klinice Okulistycznej Akademii Medycznej we Wrocławiu, gdzie piszę pracę pod opieką naukową prof. dr hab. Hanny Niżankowskiej. Tytuł pracy:

OKULISTYKA UNIWERSYTECKA WE LWOWIE W LATACH 1898–1939.

Poszukuję wszelkich informacji i materiałów na podany temat. W szczególności ważne są dla mnie informacje dotyczące:

– programów nauczania;

– lekarzy: Emanuela Macheka, Adama Bednarskiego, Janiny Mikulińskiej, Wiktora Reissa, Stanisława Markowskiego, Jerzego Hołodyńskiego, Albina Musiała, Juliusza Draka, Franciszka Naroga, Jerzego Grzędzińskiego, Kazimierza Budzanowskiego, Janiny Stasińskiej, Marii Seidler-Dowbuszowej, Jacka Szmyta, Adama Szulślawskiego, Tadeusza Krwawicza, Jana de Lapierre’a;

– gmachów.

Ważne są dla mnie wszelkie informacje, materiały naukowe, archiwalne (również z archiwów rodzinnych).

Wszystkich Państwa, którzy mogliby mi pomóc wskazówkami lub informacjami, proszę o kontakt, za co z góry dziękuję.

ANNA PACAN, ul. Sarbinowska 15/16, 54-320 Wrocław, tel. kom. 0-503-681-812

W bieżącym roku przypada 80. rocznica powstania miasta Gdyni. Z tej okazji Rada Miasta zamierza zorganizować wiele imprez. Przypomniano o wielkim wkładzie społeczeństwa i władz Lwowa w budowę i rozwój miasta Gdyni. W poprzednim numerze zamieściliśmy apel Klubu TMLiKPW w Gdyni o nadsyłanie materiałów (kserokopii) pisemnych i fotograficznych, związanych z powstaniem Gdyni i polskiej floty w latach 1920.

Poniżej prezentujemy wspomnienie o kapitanie pierwszego polskiego żaglowca szkoleniowego „Lwów” Tadeuszu Ziółkowskim. Tekst został oparty na artykule Ryszarda Mielczarka, „Morze” 12/1977.

4 marca 1921 roku porucznik

marynarki, a potem kapitan żeglugi wielkiej Tadeusz Ziółkowski, człowiek o wielkim doświadczeniu w pływaniu na żaglowcach, został wezwany przez Polskie Dowództwo Sił Morskich do Warszawy, żeby posłużyć radą przy zakupie jednostki dla potrzeb organizowanego szkolnictwa morskiego. Kilka tygodni później, w kwietniu, wyjechał do Holandii, gdzie objął dowództwo pierwszego żaglowca szkolnego „Lwów”.

Macierzystym portem okrętu stał się Gdańsk. Kolebka navigatorów – jak po latach nazwali „Lwów” absolwenci Szkoły Morskiej w Tczewie – pod koniec sierpnia 1921 r. wyszedł w swój pierwszy szkoleniowy rejs po Bałtyku. Podczas 41-dniowego rejsu raz tylko wpłynął do portu (było to 4 września) – „Lwów” stanął wtedy na redzie gdyńskiego portu, gdzie uroczystie poświęcono statek i polską banderę.

W latach 1922–23 żaglowiec „Lwów” pod komendą kapitana Ziółkowskiego szkolił marynarzy polskich na dalekich morzach. W ciągu 352 dni spędzonych w podróży

przełynął 17 423 mile morskie. Ukończeniem była szkoleniowa podróż do Brazylii, kiedy to 13 sierpnia 1923 r. jako pierwszy statek pod polską banderą „Lwów” przekroczył równik.

Kim był kapitan Tadeusz Bonifacy Ziółkowski?

Urodził się 4 czerwca 1886 r. w miejscowości Wiksitno w powiecie bydgoskim. Od 1896 r. mieszkał wraz z rodziną w Bydgoszczy, ucząc się w państwowej szkole miejskiej. Po otrzymaniu promocji do klasy trzeciej postanowił spróbować szczęścia w zawodzie marynarza.

15 maja 1902 zaciąga się jako chłopiec okrętowy na niemiecki żaglowiec

szkolny „Grossherzogin Elisabeth”.

Ciężka, przeszło dwuletnia służba na żaglowcach dała mu doskonałą znajomość morskiego rzemiosła, a równo-

legła nauka zakończona państwowym egzaminem sprawiła, że już w 1907 r. jako III oficer obsługiwał linię śródziemnomorską na parowcu niemieckim „Frascati”. Po kursie kapitańskim w Szkole Nawigacyjnej w Hamburgu 7 lutego 1910 r. złożył egzamin i otrzymał stopień kapitana żeglugi wielkiej. Jako poddany niemiecki odbywał służbę wojskową w marynarce wojennej. W 1914 r. otrzymał uprawnienia radiotelegrafisty i rozpoczął służbę na linii żeglugowej Hamburg-Ameryka Południowa.

Wybuch I wojny światowej zastał go na morzu. Zmobilizowany, otrzymał przydział na krążownik „Kronprinz Wilhelm”, którym w 1915 r. zawinął do Nowego Jorku. Tu internowany, okres niewoli wykorzystał na naukę języka angielskiego.

Po wojnie wrócił do Bydgoszczy i w sierpniu 1920 r. został powołany do służby czynnej w Dowództwie Wybrzeża Morskiego. Po wielu latach służby u obcych nareszcie mógł swoją praktyczną wiedzę o morzu przekazywać na polskim statku szkolnym. Tak zaczęła się jego opisana wyżej paroletnia przygoda z żaglowcem „Lwów”.

ŻAGLOWIEC LWÓW

i jego Kapitan Tadeusz Ziółkowski
(1886–1940)



Po zakończeniu działalności na statku szkoleniowym został Ziółkowski skierowany na odpowiedzialne stanowisko wicekomandora pilotów portu gdańskiego. Był drugim z kolei Polakiem zatrudnionym na eksponowanym stanowisku we władzach portowych Wolnego Miasta. Również tutaj, na gdańskiej placówce, kontynuował kpt. Ziółkowski rozpoczętą jeszcze na „Lwowie” działalność na rzecz wychowania morskiego społeczeństwa polskiego. Popularyzował sport żeglarski wśród młodzieży harcerskiej i akademickiej, tworzył Polski Klub Morski, nadal czynnie uprawiał żeglarstwo, doprowadził do udziału polskiej ekipy żeglarskiej w Igrzyskach Olimpijskich w 1936 r.

Zbliżała się wojna. Kapitan Ziółkowski jako dowódca pilotów został zatrzymany przez władze gdańskie rankiem 25 sierpnia '39 roku za odmowę wprowadzenia do portu pancernika „Schleswig-Holstein”. Aresztowany i przesłuchiwany, opuszcza więzienie za nastawieniem swego zastępcy Nordmana. Przeniesiony na teren koszar w Nowym Porcie, odmawia przejścia na stronę niemiecką. Tym samym los jego, podobnie jak i aresztowanych w tym czasie działaczy Polonii Gdańskiej, zostaje przesądzony. Pracował jeszcze na Westerplatte przy porządkowaniu terenu po walkach, potem w gospodarstwie bauerowskim na Żuławach, skąd pochodziła ostatnia od niego wiadomość przekazana rodzinie.

Kiedy stanęły pierwsze baraki obozu koncentracyjnego Stutthof (dziś Sztutowo), kpt. Ziółkowski znalazł się w nim, przydzielony do karnej kompanii. Należeli do niej ci spośród Polaków gdańskich, których okupant hitlerowski najbardziej się obawiał. Zginęli wszyscy podczas egzekucji w Wielki Piątek 22 marca 1940 roku.

Imię kapitana Tadeusza Ziółkowskiego nosi statek zbudowany w stoczni gdyńskiej, jedno z nadbrzeży portu gdańskiego oraz szkoła podstawowa w Gdańsku. Corocznie odbywają się regaty o memoriał komandora Ziółkowskiego.

Barbara Szumska

Tadeusz Chlipalski

SZYBOWCE WE LWOWIE

Przed paru laty (CL 2/97 i 2/2000) zamieściliśmy artykuły inż. Adama Skarbińskiego o polskim – lwowsko-bielskim szybownictwie. Ostatnio znaleźliśmy wywiad udzielony jednej z górnośląskich gazet (brak jej tytułu, rok 1988) przez Tadeusza Chlipalskiego (1904–1997), em. profesora Politechnik Śląskiej i Krakowskiej, który tutaj ze skrótami przedstawiamy. Rozmowę przeprowadził Tadeusz Malinowski. [...]

– Już w latach studenckich zainteresował się Pan lotnictwem. Czy można prosić o kilka informacji na ten temat?

– Będąc studentem Politechniki Lwowskiej pomagałem budować szybowce Wacławowi Czerwińskiemu. Powstawały one w trudnych warunkach warsztatowych w zajezdni tramwajowej we Lwowie. Były to lata 1925–26. Dopiero w 1932 – kiedy ukończyłem kurs szybowcowy kategorii A i B w Czerwonym Kamieniu – związałem się silniej z lotnictwem. W 1934 uzyskałem kategorię C pilota szybowcowego w Bezmiechowej.

– Pracując w Bielsku zorganizował Pan jesienią 1933 koło szybowcowe oraz zainicjował z początkiem 1934 budowę szybowca szkolnego CWJ Skaut.

– Tereny góryste koło Bielska zachęciły mnie do zorganizowania ośrodka szybowcowego, a w dalszej kolejności warsztatu budującego szybowce. Do urzeczywistnienia moich zamierzeń zachęcił mnie mój przyjaciel inż. Wacław Czerwiński [...] i zaprosił do warsztatów lwowskich, w których zapoznałem się z technologią budowy szybowców. [...] Po zebraniu około 10 tysięcy złotych założyłem i zarejestrowałem spółkę z o.o. pod nazwą Śląskie Warsztaty Szybowcowe w Bielsku. [...] Otwarcie nastąpiło w 1935; kierownikiem tych warsztatów byłem do 1938, po czym przenieśliśmy się do [rodzinnego] Lwowa. [...]

– Pana działalność w Lwowskich Warsztatach Lotniczych [LWL] była – jak sądzę – nie mniej ciekawa niż w Bielsku?

– Na pewno. W połowie 1938 zostałem zaproszony przez dyrekcję Podlaskiej Wytwórni



Samolotów [PWS], której filią były LWL we Lwowie przy ul. Niemcewicza. Warsztaty zatrudniały 130 pracowników, w tym 16 osób obsługi techniczno-administracyjnej. Objąłem podobne stanowisko jak w Bielsku. [...] We Lwowie miałem ciekawą pracę; projekty przyszłościowe LWL bardzo zachęcały do działania.

– Czy pamięta Pan szybowce produkowane w LWL?

– Oczywiście. Produkowaliśmy szybowce konstrukcji inż. Wacława Czerwińskiego: Delfiny, PWS-101, PWS-102, Salamandry i Żaby. [... *dalej mowa o najnowszym szybowcu PWS-103, wykonanym w 1 egzemplarzu*]

– Jaki los spotkał plany szybowców produkowanych w LWL we Lwowie? [w chwili wybuchu wojny]

– Plany szybowców wyczynowych PWS osobiście zapakowałem we Lwowie do dużej skrzyni przed opuszczeniem LWL i następnie zakopałem w ogrodzie rodziny inż. Wielkoszewskiego, znajdującym się koło Buczacza. Sądziliśmy, że wkrótce wrócimy i wtedy plany się przydadzą. Szybowiec miał być produkowany, ponieważ próby w locie potwierdziły jego dobre osiągi.

– W maju [1939] rozegrane zostały Międzynarodowe Zawody Szybowcowe ISTUS. Czy Pan pomagał przy ich organizacji?

– Tak. W LWL naprawialiśmy szybowce pilotów biorących udział w zawodach, w tym

także szybowiec B-38 konstrukcji inż. Michała Blaichera. Z okazji zawodów opracowałem katalog szybowców produkowanych w LWL. Katalog ten (zdjęcia, rysunki i opis techniczny) wydany został we Lwowie.

– Czy do inicjatyw konstruktorów lwowskich można jeszcze coś dopowiedzieć?

– Poza wspomnianym już PWS-103 trzeba wspomnieć o ciekawym projekcie motoszybowca ITSM. Prace nad tą konstrukcją rozpoczęto wiosną 1939. Warto dodać, że w uzgodnieniu z dyrekcją PWS [...] rozpoczęliśmy poszukiwanie miejsca na rozbudowę LWL w związku z zamierzoną produkcją małego samolotu sportowego, skonstruowanego w PWS przez inż. Antoniego Zagórskiego.

– Gdzie Pan przebywał w okresie II wojny światowej?

– Pracowałem w Wielkiej Brytanii. Wspólnie z inżynierami Z. Ciołkoszem i J. Truskowskim zorganizowałem warsztat lotniczy. Była to polska spółka z o.o. Produkowaliśmy części lotnicze. M.in. wyspecjalizowaliśmy się w produkcji podwozia ogonowego dla Spitfire'a. Wytwarzaliśmy je w dużych ilościach. [...] W 1947 wróciłem do Polski. [...]

4 marca 2006 r. odszedł niespodziewanie

śp.

STANISŁAW MITRASZEWSKI

1 9 3 3 – 2 0 0 6

b. dyrektor Zakładu dla Ociemniałych w Laskach k. Warszawy, b. prezes Federacji Organizacji Kresowych, wybitny i oddany działacz na rzecz Polaków na Wschodzie. Urodził się w 1933 r. w Samborze, zmarł w Warszawie, pochowany na Cmentarzu Powązkowskim.

Ze smutkiem żegna Go Krakowski Oddział TMLiKPW oraz Redakcja „Cracovia–Leopolis”.

W następnym numerze zamieścimy szersze wspomnienie o Panu Stanisławie, naszym niezapomnianym Przyjacielu, Czytelniku i Autorze.

Walerian Pawłowski

JERZY



W kwietniu tego roku przypada 10. rocznica śmierci Jerzego Habeli, inżyniera i muzykologa, a przede wszystkim niezapomnianego lwowiaka, którego wspomina przyjaciel. Habela był współautorem – od strony muzycznej – najważniejszej dotąd księgi piosenek lwowskich, w której stronę tekstową opracowała Zofia Kurzowa (też od paru lat nieżyjąca).

Pozналиśmy się – zaraz...kiedy to było? Chyba w czterdziestym dwudziątym roku. Jesienią. Przybył do nas z początkiem nowego roku akademickiego. Do nas, to znaczy do krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, przemianowanej później na Akademię Muzyczną. Pamiętam go dokładnie – siedział przy pierwszym stoliku po prawej stronie, blisko drzwi. Wysoki, szczupły, niespokojny, wewnątrz rozwibrowany, uważnie przysłuchiwał się temu, co ma do powiedzenia prowadząca wykład pani doktor. Tematem była akustyka. Nowy kolega bacznie obserwował wykładownicę przez szkła okularów, jego twarz przybierała zaś wyraźnie sceptyczny wyraz. Kilkakrotnie prosił o głoś i prostował nieścisłości wygłaszane przez panią profesor, której zaszczyt prowadzenia wykładów akurat z zakresu akustyki przypadł w udziale tylko dlatego, że żaden inny pedagog podjąć się ich nie chciał. Intrygował nas ten nowy przybysz. Nas – to znaczy tych „z pierwszego rzutu”, którzy już we wrześniu czterdziestego piątego roku przekroczyliśmy progi uczelni. Nie wiedzieliśmy o nim nic. Ani skąd przybył, ani jaką wybrał sobie specjalizację, a jedno pytanie szczególnie nie dawało nam spokoju: jak to się dzieje, że ten młody mężczyzna zna się tak doskonale na zagadnieniach z dziedziny akustyki, skąd czerpie wie-

dzę, pozwalającą mu na dyskusje – dość zresztą jednostronne – z panią doktor. W jakiś czas potem okazało się, zresztą najzupełniej przypadkowo, że nowy kolega przybywając do Krakowa, miał w kieszeni dyplom magistra inżyniera, uzyskany na Politechnice Lwowskiej z nostryfikacją na Politechnice Śląskiej.

Skąd przywędrował? Ta zagadka była najłatwiejsza do rozwiązania. Wystarczyło, że powiedział kilka zdań tym cudownym, niemożliwym do podrobienia dialektem, a już było jasne „z kim mamy okoliczność”. Z prawdziwym, rdzennym, rodowitym lwowiakiem (nie, nie lwowianinem, tylko właśnie lwowiakiem).

Do tego to nazwisko! Najbardziej muzyczne z muzycznych: HA-BE-LA. Co sylaba – to dźwięk... Jakie to łatwe do zaszyfrowania w nutowym zapisie, tak jak o dwieście pięćdziesiąt lat wcześniejszej litery B-A-C-H. A trzy sylaby składające się na nazwisko Jurka, schodziły w dół skali półtonami, tworząc motyw, jakże sposobny do polifonicznego opracowania.

Powiedziałem: „Jurka”? Tak – bo zaakceptowaliśmy go błyskawicznie, przechodząc z oficjalnego „kolegi” na poufale, serdeczne „ty”. Odplącał nam również przyjaźnią, tylko o swojej przeszłości mówić nie chciał. Dopiero kilka lat później dowiedziałem się, jaka ona była. Działo się to w Szczecinie, gdzie zadomowiłem się w Filharmonii jako dyrygent, a Jerzy pojawiał się od czasu do czasu, odwiedzając brata, wysokiej klasy internistę i równie znakomitego organizatora, piastującego stanowisko dyrektora Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego im. Marii Curie-Skłodowskiej. Do dziś krążą po Szczecinie legendy na temat przedsiębiorczości, zaradności i siły przebicia doktora Mariana Habeli, i to w najtrudniejszym okresie. Ale to już inna historia.

Siedzimy sobie z Jurkiem, wygodnie rozparci na miękkiej kanapie, w zacisznej willi pana doktora, ukrytej wśród wysokich drzew Pogodna, rozmawiamy o minionych, dawnych latach „krakowskich”, dyskutujemy na temat interpretacji muzyki naszych ulubionych kompozytorów (idolem Jerzego był nieodmiennie Beethoven), gdy nagle mój rozmówca, patrząc mi prosto w oczy mówi: – Powiedz mi, ale tak całkiem szczerze, jak to było, kiedy nagle pojawiłem się wśród

was, żytych ze sobą od lat dziewczyn i chłopców. Byłem przecież kimś obcym, przybyszem z innej planety. Niczego o mnie nie wiedzieliście prócz tego, że przywędrowałem ze Wschodu – no bo tego ukryć się nie dało, ale nic więcej. A przecież mogłem być „wtyczką”, kimś z „bezpieki”, agentem lub czymś w tym rodzaju. Nie przypuszczaliście tego? Tylko mów prawdę!

– Chcesz wiedzieć? Więc ci powiem – ani przez chwilę nie podejrzewaliśmy czegoś takiego. To po prostu do ciebie nie przychodziło. A my mieliśmy swoją intuicję, swój „nos”. Jedyne czego nie wiedzieliśmy, to to, co robiłeś w czasie wojny i po niej.

– Co robiłem?

Jerzy się zadumał przez chwilę, a potem popłynęła opowieść o lwowskim AK, o kolejnych przemienionych okupacjach i wreszcie o pobycie w sowieckich łagrach. Czy mam to opisywać? Kiedy Jurek po raz ostatni był u brata i jego małżonki (cóż za przemiła pani!), zwierzył mi się, że zbiera materiały do książki, której treścią będzie przypomnienie przedwojennych piosenek lwowskich. Ale pomysł! Myśleć o takich rzeczach w czasach, gdy smutnym panom na brzmienie słowa „Lwów” pistolety same się w kieszeniach odbezpieczały. A jednak...

Nie ma już Jurka. Jak strasznie trudno jest się z tą myślą pogodzić. Nie usłyszę już nigdy ani jego charakterystycznego zaraźliwego śmiechu – a śmiać się lubił i to bardzo – ani historyjek, opowiadanych najmielszą ze wszystkich, lwowską gwarą. Została mi tylko imponująca rozmiarami książka, napisana wspólnie z prof. Zofią Kurzową, a traktująca o *Lwowskich piosenkach ulicznych, kabaretowych i okolicznościowych*, zostały cztery pierwsze tomy *Encyklopedii muzycznej*, powstałej przy ogromnym wkładzie pracy przyjaciela, i został skromny, a jakże w latach pięćdziesiątych potrzebny *Słowniczek muzyczny*, jego pierwsza powojenna drukowana praca.

Pierwsza drukowana praca... A ile ich zostawił, w ilu miastach wtajemniczał młodzież w muzyczne misteria, ile (i jakich!) wygłaszał prelekcji, ile z myślą o młodej i najmłodszej generacji skomponował piosenek. Ale o tym już inni mówili, mówią i mówić będą. Mnie pozostało serdeczne, ciepłe wspomnienie. O Jerzym Habeli, Lwowiaku.

Walerian Pawłowski

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

LWÓW – POMNIKI, FIGURY, RZEŻBY

RZEŻBY NA RYNKU

- STUDNIA DIANY (przy zbiegu ulic Ruskiej i Serbskiej)
- STUDNIA NEPTUNA (przy zbiegu ul. Halickiej i pl. Kapitulnego)
- STUDNIA AMFITRYTY (przy zbiegu ulic Krakowskiej i Trybunalskiej)
- STUDNIA ADONISA (przy zbiegu ulic Dominikańskiej i Grodzickich) 1783, rzeźbarze H. Witter i A. Schimser
- LWY PRZED RATUSZEM. Pierwotny, pojedynczy lew spod starego ratusza (tzw. Iorenowiczowski, 1591, rzeźbiarz A. Berner) został w 1874 r. przeniesiony na Wysoki Zamek. Kolejne, z ok. połowy XIX w., dotwały do lat po II wojnie, usunięte, zastąpione nowymi.

Na wielu kamienicach na Rynku i innych ulicach Starego Miasta zachowały się rzeźby i płaskorzeźby, kariatydy balkonów, kartusze herbowe itp. z XV–XIX w.

POMNIKI NA ULICACH, PLACACH I W PARKACH

- MATKA BOSKA (pl. Mariacki, na studni z fontanną) Fundacja Badenich, dawniej na środku placu, przed 1905 r. przesunięta na skraj Wałów Hetmańskich
- Św. JAN Z DUKLI (pl. Bernardyński, na kolumnie przed kościołem Bernardynów) 1649, rzeźba usunięta po II wojnie
- HETMAN STANISŁAW JABŁONOWSKI (pl. Trybunalski, przed kościołem Jezuitów) 1695, pierwotnie na Wałach Hetmańskich, od 1932 na pl. Trybunalskim, po II wojnie zaginiony
- JAN III SOBIESKI (ul. Kurkowa, przed pałacem Bractwa Kurkowego) Koniec XVIII w., obecnie nieistniejący
- JAN III SOBIESKI (Wały Hetmańskie, przy zbiegu ul. Kilińskiego i Kopernika) 1897, rzeźbiarz Tadeusz Barącz; wywieziony po II wojnie, najpierw w Wilanowie, obecnie w Gdańsku

SYLWETKI

Przedstawione poniżej sylwetki dwóch znakomitych lekarzy lwowskich minionej epoki zostały oparte na referatach prof. dra med. J. Zierskiego, mieszkającego dziś w Berlinie, a kiedyś – we Lwowie – przy ulicach Sykstuskiej i Jakuba Strzemię. Materiały te przysłał do Krakowa p. Stanisław Szybalski z USA. Skróty obu biogramów sporządziła śp. Irena Suchanek.

Lesław Węgrzynowski

Urodził się w Rohatynie w rodzinie lekarskiej w 1885 roku. Był siostrzeńcem wybitnego lwowskiego internisty, prof. Antoniego Gluzińskiego. Ze strony matki był również spokrewniony ze znaną rodziną aktorską Leszczyńskich oraz spowinowacony z Kornelem Makuszyńskim (którego żona była Gluzińska z domu).

W czasie studiów medycznych we Lwowie – ukończonych w wieku lat 25 – brał udział w pracach studenckich kół niepodległościowych o orientacji narodowo-demokratycznej, jak „Bratniak” i „Ogniwo”. Poznał wtedy i zaprzyjaźnił się z późniejszym komendantem Obrony Lwowa Czesławem Mączyńskim.

Po studiach rozpoczął pracę w Klinice Chorób Wewnętrznych UJK, odbył też staż zagraniczny w Niemczech. Ożenił się ze Stellą Starkel ze znanej rodziny lwowskiej (była później ciotką pisarza Stanisława Wasylewskiego).

W przededniu I wojny światowej należał Węgrzynowski do PKW (Polskie Kadry Wojskowe pod kierownictwem Mączyńskiego, we współdziałaniu z POW kpt. de Laveaux) oraz PKP (Polski Korpus Posiłkowy). W walkach z Ukraińcami był szefem sanitarnym strony polskiej aż do czasu nadejścia odsieczy Karaszewicza-Tokarzewskiego.

W czasie trwania walk we Lwowie były czynne dwa szpitale: nr 1 – wcześniej rezerwowy szpital austriacki – w gmachu Politechniki oraz nr 2 w barakach obok Domu Inwalidów na Kleparowie. Pierwszy miał oddziały chirurgii, interny, oku-

listyki, laryngologii, chorób zakaźnych i stomatologii oraz 3 filie – leżeli tam jeszcze ranni żołnierze z armii austriackiej, ze wszystkich krajów rozpadającej się ck monarchii; ponadto mieścił magazyny sanitarne, kolumnę transportową oraz bazę lotnych patroli sanitarnych. Drugi szpital miał trzy oddziały: chirurgii, zakaźny i skóro-wenerologiczny. Listopad 1918 r. to w dodatku okres grasującej we Lwowie grypy *hiszpanki*. W pomocy sanitarnej zaangażowana była społeczność Lwowa – studenci medycyny, pomocnicze służby kobiece i PCK. W części miasta zajętej przez Ukraińców działała Polska Służba Sanitarna.

Mączyński nazwał wtedy Węgrzynowskiego twórcą, niestrudzonym organizatorem i kierownikiem służby zdrowia. Warto dodać na marginesie, że cztery lata wcześniej zaprzyjaźniony z Węgrzynowskim Jan Kasprowicz poprosił go o odwiedzenie osadzonego w więzieniu w Nowym Targu chorego Lenina (!). Węgrzynowski czasowo przebywał wtedy na Podhalu.

W 1920 r. powrócił na stanowisko szefa sanitarnego Armii Ochotniczej, która stawiła czoło *konarmii* Budionnego, zagrażającej Lwowowi. Po demobilizacji powrócił do asystentury w klinice, a niebawem objął stanowisko sekundariusza w oddziale chorób wewnętrznych Szpitala Powszechnego we Lwowie. Jego specjalnością stała się walka z gruźlicą, ówczesnie olbrzymi problem zdrowotny i społeczny. Zorganizował sanatorium przeciwgruźlicze w Hołosku oraz poradnię przeciwgruźliczą przy ul. Lindleya. Założył i redagował „Ruch Przeciwgruźliczy”. Został delegatem do międzynarodowych organizacji, walczących z tą groźną wtedy chorobą.

Po wybuchu II wojny został zmobilizowany i wszedł do Obywatelskiej Straży Bezpieczeństwa, stworzonej jako pomoc dla policji. Po wejściu do Lwowa sowieków został aresztowany, jednak – gdy okazało się, że w 1914 r. był *wraczem* Lenina – zwolniony. Jego wszyscy współwięźniowie zginęli w Katyniu.

Przez okres okupacji sowieckiej prowadził Węgrzynowski nadal poradnię, a także filię Instytutu Gruźlicy z Kijowa. Po wejściu Niemców w czerwcu 1941 r. wyjechał do Warszawy i tam włączył się do konspiracji. Dzięki wieloletnim kontaktom z PCK został dyrektorem sanatorium przeciwgruźliczego w Świdrze. W czasie Powstania był szefem sanitarnym I Obwodu-Śródmieście, jako „Bartosz”.

Po 1945 r. znalazł się Węgrzynowski w Zakopanem i uruchomił tam sanatorium PCK. Nieco później został dyrektorem zespołów sanatoryjnych – kolejno – w Bukowcu k. Kowar i w Obornikach Śląskich. W 1951 r. powołano go na stanowisko kierownika Kliniki Ftyzjatrycznej AM we Wrocławiu, którą prowadził przez dwa lata. Założył tam też Społeczny Komitet Walki z Gruźlicą.

Zmarł w 1956 roku. Nazwisko Lesława Węgrzynowskiego zapisało się chlubnie w historii ftyzjatrii polskiej.

Aleksander Domaszewicz

Urodził się w 1887 roku w starej rodzinie lwowskiej. Jego dziad, też Aleksander, był właścicielem cegielni w Snopkowie pod Lwowem, gdzie produkowano szeroko używaną cegłę pod nazwą *Lauda* (Domaszewicze pochodzili z litewskiego zaścianka).

Studia medyczne odbył we Lwowie, tam też uzyskał stopień doktora. W latach 1913–19 był asystentem w Klinice Chorób Nerwowych i Umysłowych UJK, kierowanej przez prof. Henryka Halbana. W czasie I wojny wstąpił do Legionów, został komendantem szpitala polowego I Brygady i osobistym lekarzem J. Piłsudskiego. W listopadzie 1918 r. brał udział w Obronie Lwowa i został dowódcą reduity przy ul. Kraszewskiego 5, naprzeciw gmachu ówczesnego Sejmu Galicyjskiego (potem UJK). W 1920 r. walczył jako dowódca I Batalionu Małopolskiej Armii Ochotniczej przeciw *konarmii* Budionnego – został ranny w bitwie pod Zadwórzem. Kampanię polsko-sowiecką zakończył w randze pułkownika, kawalera *Virtuti Militari*.

W 1922 r. został Domaszewicz prymariuszem oddziału neurologiczno-psychiatrycznego Szpitala Państwowego we Lwowie. Jednak obserwacje i doświadczenia wojenne skierowały jego zainteresowania w kierunku chirurgii układu nerwowego – powstającej dopiero neurochirurgii. Zrazu był samoukiem, potem uczył się neurochirurgii w Wiedniu i Paryżu (1929). Staże te zaowocowały zaprojektowaniem i wybudowaniem oddziału neurochirurgicznego, w połączeniu z oddziałem neurologii. Był to zaledwie kilkulożkowy – lecz pierwszy tego typu oddział w Polsce; w Warszawie oddział taki powstał dopiero w 1936 roku. Mimo tego pierwszeń-

ALEKSANDER FREDRO (pl. Akademicki) 1897, rzeźbiarz Leonard Marconi; wywieziony po II wojnie, obecnie na Rynku we Wrocławiu
AGENOR GOŁUCHOWSKI (ul. Marszałkowska, koło Uniwersytetu) 1901, rzeźbiarz Cyprian Godebski, wywieziony po II wojnie i zaginiony
ADAM MICKIEWICZ (pl. Mariacki) 1905, rzeźbiarz Antoni Popiel
KORNEL UJEJSKI (ul. Akademicka, przed Kasynelem Miejskim) 1910, rzeźbiarz A. Popiel; wywieziony po II wojnie, obecnie w Szczecinie
FRANCISZEK SMOLKA (placyk u zbiegu ulic Kościuszki i Mickiewicza) 1917, rzeźbiarz Tadeusz Błotnicki; po II wojnie zaginiony
JAN KILIŃSKI (Park Stryjski) 1895, rzeźbiarz Julian Markowski
BARTOSZ GŁOWACKI (Park Łyczakowski, przy ul. Łyczakowskiej) 1895, rzeźbiarz J. Markowski
TEOFIL WIŚNIEWSKI i JÓZEF KAPUŚCIŃSKI (Kleparów, Góra Stracenia) 1895, obelisk, rzeźbiarz J. Markowski

RZEŻBY, FIGURY, NAGROBK
W MIEŚCIE I NA CMENTARZACH
LEWKI – dawne konsole ze starej wieży Ratusza (ul. Kopernika, poniżej kościoła św. Łazarza) 1619, rzeźbiarz B. Dickembosch, ustawione po bokach studzienki po 1826 r.
LEWKI – dawne konsole jw. (Wysoki Zamek) 1619, rzeźbiarz B. Dickembosch, 1845 ustawione koło groty przy kawiarni
LEWEK (Wysoki Zamek) XVI w., ustawiony 1874
FIGURA MATKI BOSKIEJ ŚNIEŻNEJ (przy kościele MB Śnieżnej, pl. Krakowski) 1766, rzeźbiarz J.J. Pinsel
FIGURA św. JANA NEPOMUCENA (przy kościele św. Mikołaja, ul. św. Mikołaja) 1796, przeniesiona z mostu na Peltwi
FIGURA św. JANA NEPOMUCENA (przed kościołem św. Anny, przy zbiegu ulic Gródeckiej i Janowskiej) 1810
FIGURA MATKI BOSKIEJ (przed kościołem św. Antoniego, na schodach przy ul. Łyczakowskiej) XVIII w.
KOLUMNNA św. KRZYSZTOFA (przy katedrze ormiańskiej) 1726
GOLGOTA (grota w podwórzu katedry ormiańskiej) poł. XVIII w.
KAMIEN na pamiątkę Bitwy Wiedeńskiej (park Wysokiego Zamku od strony Zniesienia) 1883
KAMIEN na pamiątkę bitwy z Tatarami 1675 r. (Wysoki Zamek) 1883

stwa i mimo że Domaszewicz był senatorem, nie zdołał zyskać większego poparcia. Nie udało mu się niestety stworzyć szkoły i wychować uczniów. Więcej szczęścia mieli profesorowie J. Choróbski i A. Kunicki w Warszawie, jednak wszyscy trzej uważani są za pionierów neurochirurgii w Polsce.

Po wejściu sowietów do Lwowa Domaszewicz został aresztowany i osadzony w więzieniu przy ul. Łąckiego, został jednak zwolniony na skutek interwencji. Po wejściu Niemców przeniósł się do Warszawy, gdzie objął ordynaturę na neurologii szpitala na Pradze. W tym samym roku 1941 został aresztowany i osadzony na Pawiaku, a potem na Łąckiego we Lwowie. Dzięki wysokiej protekcji zwolniono go i udało mu się wrócić do Warszawy na dawne stanowisko. W czasie Powstania 1944 r. działał jako neurochirurg w Szpitalu Przemienienia.

Po wojnie krótko prowadził Klinikę Neurologii UW, był dziekanem wydziału lekarskiego. Niestety zmarł w 1948 r.

Na koniec anegdota, którą przytacza Jerzy Janicki w książce *Towarzystwo Weteranów*. Oto w 1947 r. przyjechał do Warszawy na święto 22 lipca żyjący jeszcze marszałek Budionny. Domaszewicz był na przyjęciu z przypiętym orderem *Virtuti Militari* z 1920 r. Zauważył to Budionny i zagadnął Domaszewicza:

- *O, wy wojennyj! Do giermańca strielali?*
- *Nie* – odparł spokojnie Domaszewicz – *Do was, ale niestety niecelnie. Pod Zadwórzem.*
- Na to Budionny:
- *Nu widitie – a my tiepier druzja!*

Aleksander Domaszewicz – lwowianin, żołnierz, lekarz i jeden z pionierów neurochirurgii w Polsce, nie ma dotąd pełnego opracowania biograficznego, na jakie zasługuje.

Tarnopolanka

WSPOMNIENIE O ŚP. IRENIE BERG

Kiedy myślimy o kimś zostając bez niego

ks. Jan Twardowski

Irena Berg pochodziła z polskiej rodziny wojskowej. Ojciec Leopold Berg, major kawalerii, urodził się w 1894 r. w Falkenstein (Szczercz) pod Lwowem. Ukończył gimnazjum i Szkołę Kursów Handlowych we Lwowie. W 1914 r. powołany został do armii austriackiej i na froncie był trzykrotnie ranny. Służbę w armii austriackiej zakończył w 1918 r., po czym wstąpił ochotniczo do 7. pułku ułanów i już w grudniu 1918 r. został skierowany na front ukraiński. W roku 1920 wraz ze swym pułkiem ułanów walczył na froncie bolszewickim, za co został odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari*. W 1920 r. przeszedł do Korpusu Ochrony Pogranicza na Wołyniu. Tam, w Szumsku k. Krzemieńca, 5 kwietnia 1928 r. przyszła na świat jego córka Irena. W 1931 r. Leopold Berg został odkomenderowany do Centrum Wyszko-



nia Kawalerii w Grudziądzu. Był to dla Ireny i jej młodszej siostry Zuzanny szczęśliwy okres dzieciństwa. W domu częstymi gośćmi byli oficerowie, którzy wkrótce mieli zostać bohaterami kampanii wrześniowej.

Pod koniec sierpnia 1939 wraz z 27. pułkiem ułanów major Berg wyruszył na wojnę, by nigdy z niej nie powrócić. Ostatni raz kontaktował się z rodziną ok. 10 września, prosząc żonę Marię, aby wyjechała z Grudziądza na Wołyń. Jak po latach poszukiwań (w 1990 r.) dowiedziała się córka Irena, ojciec dostał się do niewoli sowieckiej, był więziony w Starobielsku i został rozstrzelany w Charkowie w 1940 r. („Lista Katyńska” poz. 170).

Z wielkim trudem matka i córki dotarły do Nieświeża, ale nie czuły się tam bezpieczne. Sowietci zabrali im przywiezione z Grudziądza rzeczy i dokumenty, przez pewien czas ukrywały się w jakimś białoruskim domu, opłacając złotem swój pobyt i to, żeby ich nie wydano Rosjanom. Dopiero pod koniec października dotarły do Szumsku, gdzie dziadek Ireny był lekarzem ziemskim. Tu też nie było bezpiecznie. W lutym 1940 r. wywożono do Archangielska rodziny osadników.

Jak wspominała p. Irena: *13 kwietnia 1940 roku przyszła kolej na nas. Nie pozwolono nam niczego ze sobą zabrać, władze sowieckie wyjątkowo wrogo usposobione były do rodzin polskich oficerów. Przez dwa tygodnie w zakratowanych wagonach towarowych jechałyśmy z setkami rodzin w nieznaną. Jedynie pożywienie stanowiła raz dziennie podawana nibyzupa z kawałkiem chleba. Celem naszej podróży był kołchoz „Siewiernaja Zwiezda” w Siewierno-Kazachskoj Oblasti.*

Pracowałyśmy w polu od świtu do późnego wieczora, mieszkaliśmy w ziemiankach, warunki były bardzo ciężkie, wszystkie małe dzieci umarły. W kołchozie przebywałyśmy przez rok, kiedy w 1941 roku wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Wszystkich Polaków przewieziono do Amankaragaju, niedaleko Kokczetawy... na budowę linii kolejowej, miała ona służyć do transportu węgla dowożonego do europejskiej części Związku z Karagandy. I tu warunki pobytu były niezwykle ciężkie, mieszkaliśmy w barakach-ziemiankach, dzieci 12–14-letnie pracowały w „brigadach małych”, praca trwała dwanaście godzin dziennie, jedzenie ograniczało się do kawałka chleba.

W 1942 roku trochę się poprawiło, otrzymaliśmy informację, że w Buzułuku formuje się Wojsko Polskie. Matka moja napisała list do gen. Władysława Andersa, którego znała osobiście, prosiła o umożliwienie nam wyjazdu do Buzułuku. Dość szybko przyszła odpowiedź, generał bardzo serdecznie nas zapraszał. Niestety, tuż przed wyjazdem najpierw matka, potem ja zapadłyśmy na tyfus, a kiedy powróciłyśmy do zdrowia i sił, wojska już nie było, zostało wyprowadzone do Iranu. Sytuacja nasza uległa pogorszeniu, byłyśmy szykanowane, na każdym kroku podkreślano, że jesteśmy „wrogami sowieckiego narodu”...

Kiedy dobiegła końca ta straszna wojna, wydawało się że najgorsze za nami, zaczęłyśmy z matką zastanawiać się, jaką marszrutę wybrać w powrotnej drodze do wymarzonej ojczyzny. Zdecydowałyśmy, że najpierw pojedziemy do dziadka na Wołyń, a potem dalej do Polski. Wszystkich, którzy zadeklarowali powrót do kraju, przewieziono w okolice Charkowa, do sowchozu, pracowałyśmy przy różnych robotach rolnych, ale nie było już głodu.

POMNIKI I FIGURY NAGROBNE zachowane na cmentarzach Łyczakowskim i Obrońców Lwowa oraz Janowskim. Pocz. XIX – poł. XX w. Rzeźbiarze: H. Witwer, A., J. i L. Schimserowie, A. i H. Perierowie, L. Marconi, P. Filippi, C. Godebski, T. Barącz, J. Markowski, K. i S. Ostrowscy, J. Naborczyk, T. Blotnicki, L. Drexlerówna i inni.

POMNIKI I FIGURY NAGROBNE niezachowane na zniesionych cmentarzach Stryjskim, Gródeckim, na Paparówce, żydowskich i in. XVIII–XX w.

RZEŻBY I PŁASKORZEŻBY zachowane na reprezentacyjnych gmachach: Teatrze Wielkim, Uniwersytecie, Politechnice, Kasynie Narodowym, Dworcu Głównym, świątyniach, urządach, bankach, kamienicach i willach. Pocz. XIX – poł. XX w.

Jadwiga Cieczkiewicz (uzup. AC)

LWÓW – UCZELNIE AKADEMICKIE

UNIwersytet im. króla JANA KAZIMIERZA

W 1658 r. na zjeździe generalnym polskiej prowincji jezuickiej wystosowano prośbę do generała zakonu w Rzymie o otwarcie akademii we Lwowie. Równocześnie rada miejska miasta wysłała list do króla Jana Kazimierza ... *aby na ozdobę majestatu Rzeczypospolitej nowa akademia we Lwowie stanęła.* Sejmik w Sądowej Wiszni wyłonił specjalną delegację, aby poprzez tę sprawę na sejmie w 1661 r.

Lwowskie Kolegium Jezuickie, które miało być bazą projektowanej akademii, znajdowało się wówczas w rozkwicie i posiadało dwa wydziały: teologiczny i filozoficzny. Idei powołania nowej uczelni sprzeciwiała się Akademia Krakowska, pragnąca zachować pierwszeństwo. Utrudniała wszelkimi sposobami powołanie akademii we Lwowie, powołując się m.in. na konstytucję uchwaloną na sejmie w 1633 r., wykluczającą powstawanie równorzędnych jej zakładów naukowych.

W styczniu 1661 roku król Jan Kazimierz w czasie wizyty w krakowskim klasztorze Jezuitów podpisał dyplom erekcyjny Akademii Lwowskiej. Stwierdził tam, że Akademii ma być udzielony tytuł Uniwersytetu.

W 1758 r. król August III Sas potwierdził fundację Akademii lwowskiej jako dwuwyziałowej wyższej uczelni (teologia i filozofia). Rok później, w 1759 r. papież Klemens XIII zatwierdził powstanie tej Akademii, a jej uroczyste otwarcie odbyło się 11 grudnia tego samego roku. Akademia mieściła się w gmachu Kolegium Jezuickich

W grudniu 1945 roku dotarliśmy na Wołyń do dziadka. Nie miałyśmy pojęcia o tym, jak wrogo miejscowi Ukraińcy byli nastawieni do Polaków, a nas uważano za „Sowietów” także, bo przyjechałyśmy z głębi Rosji. Przeżyłyśmy koszmar, codziennie ocierałyśmy się o mordy i rzezie, pierwszy presji wydarzeń nie wytrzymał dziadek, ciężko zachorował, o natychmiastowym wyjeździe nie było mowy. Trzeba było czekać, z Polski dochodziły do nas wiadomości, że władza ludowa wydała wojnę przedwojennym oficerom i ich rodzinom, nie do rzadkości należą zsyłki na Sybir. W Polsce nie miałyśmy żadnej rodziny, nasze korzenie były tu na Kresach Wschodnich.

I tak Irena Berg pozostała na swojej ziemi ojczystej. W 1950 z wyróżnieniem ukończyła szkołę średnią w Szumsku, w tym samym roku przymusowo wydano jej paszport sowiecki. Wyjechała na studia medyczne do Lwowa, a po ich ukończeniu, w 1956 roku, skierowano ją do pracy w Tarnopolu, gdzie przez 35 lat pracowała jako lekarz rentgenolog w wojewódzkim szpitalu przeciwgruźliczym.

Gdy w 1989 roku zakładano w Tarnopolu Towarzystwo Kultury Polskiej, Irena Berg czynnie włączyła się w jego działalność. Gdy tylko posłyszała na ulicy kogoś mówiącego po polsku, podchodziła, opowiadała o Towarzystwie, wręcz do niego zaprowadzała. Pracowała bezinteresownie i z pełnym poświęceniem przez 15 lat. To ona zorganizowała i prowadziła bibliotekę. To ona zebrała grupę starszych pań, które regularnie porządkowały polskie groby na cmentarzu tarnopolskim i to do niej zgłaszali się Polacy przyjeżdżający z kraju, a nie mogący odnaleźć grobów swoich bliskich. Jeszcze w czasie ostatniej wycieczki tarnopolan we wrześniu 2005 była naszą przewodniczką po cmentarzu. Bez niej nie odbyła się żadna uroczystość czy ważne spotkanie z gośćmi z RP. Ona też zajmowała się rozdzielaniem pomocy z Polski, wiedziała, kto jej najbardziej potrzebuje. Była wielkim autorytetem nie tylko dla Polaków w Tarnopolu, ale i tarnopolan w Polsce. Nie darmo rokrocznie zapraszali ją na swoje zjazdy. Uczciwie i rzetelnie przedstawiała problemy Towarzystwa. Właściwie żyła Towarzystwem.

W 2005 r. Prezydent RP nadał Irenie Berg polskie obywatelstwo. 25 lipca w konsulacie

we Lwowie odbyła się uroczystość jego wręczenia. Taką refleksją dzieliła się na długo przed tym wydarzeniem: *Tak rzadko odczuwamy szczęście w chwili, kiedy ono nam towarzyszy. Dopiero kiedy przemienie, spoglądamy wstecz i wtedy, zdumieni, dostrzegamy jak bardzo byliśmy szczęśliwi. To możliwe uczucie było udziałem wszystkich Sybiraków, a potem pozostawała świadomość wierności swojej drodze życiowej, która dawała tę niezwykłą siłę, tak potrzebną do przetrwania. Ale jest przecież granica cierpienia, poza nią już nie ma radości, ale nigdy nie umiera nadzieja, nawet taka niewielka, na to, że wróci się do Polski, chociaż na chwilę, do tej najpiękniejszej i najświętszej Ojczyzny.*

I wróciła Irena jeszcze „na chwilę” do Ojczyzny. Trwała ta chwila od 6 do 12 listopada 2005. 9 listopada spotkali się z nią tarnopolanie krakowscy. Jak zwykle rozmowa toczyła się wokół spraw Polaków w Tarnopolu, ale też pytaliśmy śp. Irenę, jakie są jej plany w związku z otrzymanym obywatelstwem. *Chciałabym umrzeć w Polsce* – powiedziała. Niestety, Bóg chciał inaczej. Umarła 25 listopada 2005 w Tarnopolu, a pochowana została w rodzinnym Szumsku, obok swej matki. Miejsce to sama wskazała, porządkując w październiku groby rodzinne przed 1 listopada.

A nam cóż pozostało – tylko modlitwa i pamięć o tak wspaniałym Człowieku, jakim była śp. Irena Berg.

Anna Madej

LESŁAW HAWLING

(1925–2006)

Był współzałożycielem oraz długoletnim i wielce zasłużonym prezesem katowickiego oddziału Tow. Miłośników Lwowa i Kresów PW, a także wieloletnim członkiem Zarządu Głównego Towarzystwa. Zmarł 30 stycznia tego roku.

Urodził się we Lwowie w rodzinie o głębokich tradycjach patriotycznych. Ojciec, Zygmunt, był legionistą, uczestnikiem walk o niepodległość Ojczyzny w latach 1914–20. Do wybuchu II wojny Leszek ukończył prywatną szkołę powszechną Braci Szkolnych przy ul. Lelewela i jeszcze dwie klasy w XI Gimnazjum przy ul. Szymonowiczów. Pod-



czas okupacji niemieckiej wraz ze starszym bratem Mieczysławem uczęszczał na tajne komplety, zakończone maturą. Jednocześnie obaj włączyli się w działalność konspiracyjną AK.

Po ponownym wkroczeniu wojsk sowieckich do Lwowa w 1944 r. pracował na budowie. W 1945 r. rozpoczął studia na Wydziale

Architektury Politechniki Lwowskiej, a po ekspatriacji w 1946 r. kontynuował je na Politechnice Wrocławskiej. Po ukończeniu studiów w 1951 r. podjął pracę zawodową: w latach 1951–60 w Zjednoczeniu Przemysłu Metali Nieżelaznych, a od 1960 aż do emerytury w Biurze Projektów PMN „Bipromet”. Awansował od projektanta do kierownika Działu Budowlanego i kierownika Zespołu Rzeczoznawców. Brał udział w projektowaniu ważnych obiektów przemysłowych w kraju (Lubińskie Zagłębie Miedziove) i za granicą (Indie).

Jako prezes Oddziału TMLiKPW nieprzerwanie od 1991 r. oraz jako członek ZG bardzo zasłużył się swoją działalnością na rzecz środowiska polskiego we Lwowie i Małopolsce Wschodniej. Odznaczono Go za to Złotą Odznaką Towarzystwa i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Był wielkim miłośnikiem Miasta swego pochodzenia, stąd mocno angażował się w sprawy lwowskie – pomocą materialną dla Polaków, dla polskich szkół i przedszkoli, organizacją kolonii dla dzieci, ratowaniem grobów na lwowskich cmentarzach.

Pozostał wierny tradycji patriotycznej i swoim doświadczeniom konspiracyjnym. Z wielkim zaangażowaniem przewodził społeczności Kresowian w obchodach świąt państwowych i w mszach św. za dusze poległych i pomordowanych na Wschodzie. Ścisłe współpracował ze środowiskiem Obszaru Lwowskiego i Kresów Wschodnich Światowego Związku Żołnierzy AK w Katowicach. Angażował się w fundowanie tablic pamiątkowych dokumentujących walkę i martyrologię Polaków na Kresach, a wcześniej na rzecz budowy pomnika Marszałka Piłsudskiego w Katowicach.

Działał w Stowarzyszeniu Architektów RP, a także w Stow. Inżynierów i Techników Hutnictwa. Przewodniczył Zespołowi ds. Ochrony Zabytków

go przy kościele Jezuitów (przy późniejszym placu Trybunalskim). Profesorami tej uczelni byli wtedy m.in. orientalista Tadeusz Krusiński, heraldyk Kasper Niesiecki oraz Grzegorz Piramowicz, późniejszy sekretarz Komisji Edukacji Narodowej. Wśród uczniów byli: Jan S. Jabłonowski, Ignacy Krasicki, Franciszek Karpiński.

Kasata zakonu Jezuitów w 1773 r. (wkrótce po I rozbiore w 1772 r.) przekształciła Akademię lwowską w szkołę średnią, ale rząd austriacki potrzebował wykształconych urzędników do zarządzania nową prowincją w monarchii habsburskiej. W 1784 r. cesarz Józef II podpisał dyplom fundacyjny uniwersytetu Józefińskiego, który w tym roku rozpoczął działalność. Zajmując gmach Kolegium Jezuickiego na urzędy gubernialne, uniwersytet ulokowano w budynku klasztornym i kościele skasowanego zakonu Trynitarzy przy ul. Krakowskiej. Pierwszym rektorem został biskup przemyski ks. Wacław Belański, językiem wykładowym była łacina. Uczelnia składała się z 4 wydziałów: Filozoficznego, Prawnego, Medycznego i Teologicznego. Po III rozbiore Polski (1795) Austrii przypadł obszar obejmujący także Kraków. W 1805 r. przeniesiono Uniwersytet lwowski do Krakowa, a we Lwowie powstało Liceum, które było instytucją pośrednią między szkołą średnią a uniwersytetem. W 1817 r. Liceum lwowskie przekształcono ponownie w uniwersytet, a powtórny akt fundacyjny wystawił cesarz Franciszek I. Zabrakło jednak wydziału lekaarskiego, a wydział filozoficzny stał się kursem wstępnym do innych wydziałów. W istocie więc Uniwersytet sprowadzał się do wydziałów prawa i teologii i podporządkowany był całkowicie władzy administracyjnej.

Po upadku Powstania Listopadowego Uniwersytet lwowski, mimo zaostrenia kursu politycznego, prowadził działalność na niezmiennych zasadach organizacyjnych i programowych. Profesorowie Polacy należeli do wyjątków, jak np. Franciszek Stroński, kierujący katedrą filozofii. Jedyne na wydziale prawa Polacy dość licznie zajmowali stanowiska adiunktów, wśród nich Florian Ziemiałkowski i Franciszek Smolka (odebrano im jednak tytuły doktorów za działalność konspiracyjną).

Wiosna Ludów 1848 r. stworzyła możliwość polonizacji Uniwersytetu Lwowskiego. Już niebawem, w kwietniu tego roku, Uniwersytet otrzymał prawo nauczania w jęz. polskim., jednak na krótko, bo po kilku miesiącach austriackie władze wojskowe przeszły do kontrakcji. 2 listopada gen. Hammerstein zbombardował centrum Lwo-

Hutniczych – ta działalność została wysoko oceniona, czego wyrazem były odznaczenia, aż po Odznakę Honorową NOT.

Śmierć Lesława Hawlinga stała się dla społeczności kresowej – nie tylko w Katowicach – wielką stratą. Żegnano Go z wielkim żalem, bo niezależnie od swych dokonań cieszył się sympatią jako człowiek koleżeński, życzliwy, niekonfliktowy, religijny. Pochowano Go na cmentarzu komunalnym, a mszę św. i ceremonie przy grobie odprawił ks. prof. Józef Krętosz, znany historyk Kościoła. Przybyła delegacja TMLiKPW z szeregu miast.

Był artystą: satysfakcję dawało Mu malowanie. Fascynowały Go krajobrazy morskie, należał do stowarzyszenia malarzy marynistów. Swymi obrazami obdarowywał przyjaciół.

Leszek był przede wszystkim porządnym człowiekiem, w starym, dobrym lwowskim stylu. Cześć Jego pamięci.

Opracowano na podstawie wspomnienia, nadesłanego przez Oddział TMLiKPW w Katowicach.

Z TAMTEJ STRONY

ŚWIETNA (?) WSPÓŁPRACA

W lutym przeczytaliśmy w prasie („Dziennik Polski” 44/06) taki oto tytuł: **Dom dla Polonii. Lwowskie władze popierają starania mniejszości polskiej**. No, nareszcie – pomyśleliśmy. Czytamy dalej: *Gubernator obwodu lwowskiego Petro Olijnyk zadeklarował poparcie dla starań Polonii o otwarcie Domu Polskiego we Lwowie*. I jeszcze dalej: *Sprawę mogłoby rozwiązać odkupienie przez polski rząd zabytkowej kamienicy należącej przed wojną do Polskiego Towarzystwa Katolickiego, w której mieści się teraz teatr wojskowy*. No świetnie, ten dawny Dom Katolicki przy ul. Gródeckiej (w ostatnich latach nieraz odbywały się tam polskie imprezy, m.in. uroczystość na 180-lecie szkoły św. Marii Magdaleny w 1996 r.). Potem pan Petro Olijnyk mówi jeszcze o świetnie rozwijającej się współpracy polsko-ukraińskiej, i że *robimy co możemy, by jak najlepiej zaspokoić potrzeby polskiej mniejszości...*

A na końcu czytamy: *Ostateczne rozwiązanie kwestii Domu Polskiego we Lwowie zależy, w ocenie gubernatora Olijnyka, od dalszych decyzji strony polskiej – Ukra-*

ińcy oczekują na zwrot budynku w Przemysłu, w którym przed wojną mieścił się Ukraiński Dom Ludowy, i ułatwienia w ruchu granicznym, ale także od decyzji władz wojskowych.

A więc – uczmy się, jak się po przyjacielsku rozmawia: jak im o d d a m y w Przemysłu, to oni nam s p r z e d a d z ą we Lwowie. Logiczne, prawda?

* * *

Niedługo trzeba było czekać na dalszy ciąg sprawy. W niespełna tydzień później w tej samej gazecie (60/06) czytamy tytuł: **Dom nie dla Polonii. Konsul RP oburzony zachowaniem ukraińskich władz**. Okazuje się, że zaprotestował dyrektor teatru i nacjonałiści, więc p. Petro Olijnyk wycofał się. A swoją drogą – wierząc bez reszty w tzw. *spiskową teorię dziejów* – nie mamy wątpliwości, że od razu było wiadome, iż Domu Katolickiego nie oddadzą, tylko gubernator musiał się popisać niezwykłą troską o lwowskich Polaków. Wobec rządu RP i wszystkich Polaków.

Jakiś ukraiński politolog uważa, że szanse rozwiązania problemu DP pojawią się jakoby, gdy w wyborach na *mera* Lwowa wygra Andrij Sadowyj, natomiast ponowne zwycięstwo Wasyla Kujbidy (był już dwa razy *merem*, a po nim Buniak – ten od *odbudowy* Wysokiego Zamku), znowu przekreśli sprawę. Tu nie mamy oczywiście wątpliwości. Również i te, czy p. Sadowyj będzie aż tak niezależny.

Ukoronowaniem *farsy* jest list prezydenta Juszczenki (!), który przywołał niespodziewanie ambasador Ukrainy do prezydenta

Przemyśla. *Wielki przyjaciel Polski* Wiktor Juszczenko przypomina o oczekiwaniach strony ukraińskiej w kwestii zwrótu Ukraińcom przedwojennego Ludowego Domu Ukraińskiego. Prezydent Przemyśla stanął na wysokości zadania i odpowiedział ambasadorowi to, co należało.

Widzimy jeszcze jedno wyjście: o zwrótu budynku na ul. Gródeckiej – dawnego Domu Katolickiego – powinien się upomnieć nasz Kościół, przedwojenny właściciel.

Wcześniejszą informację na temat Domu Polskiego we Lwowie zamieściliśmy w CL 1/06, s. 48.

LWOWSKI UNIwersytet TRZECIEGO WIEKU

Powstał w lipcu 1994 roku z inicjatywy pani dyrektor Mokatowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Warszawie prof. Zofii Iwanickiej – jako filia MUTW, członka Międzynarodowego Stowarzyszenia UTW – AIUTA. Głównym celem działalności naszego UTW jest stworzenie dla starszych osób – jego słuchaczy – wspólnoty ludzi zjednoczonych wzajemną życzliwością i chęcią pomocy bliźnim, dążących do pogłębienia wiedzy i dóbr kultury, ku radości własnej i pożytkowi społeczności polskiej we Lwowie.

Lwowski Uniwersytet TW działa przy Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej jako organizacja społeczna, ściśle związana zarówno z TKWZL, jak i Federacją Organizacji Polskich nU. oraz innymi organizacjami sprzyjającymi odrodzeniu i rozwojowi kultury polskiej we Lwowie. Lwowski UTW

wa (z cytadeli), a budynki uczelni zostały poważnie zniszczone. Ogromne straty poniosła biblioteka. Zajęcia zostały wznowione dopiero w 1851 r. Uniwersytet został pomieszczony w budynkach dawnego konwiktu wychowawczego dla młodzieży szlacheckiej przy ul. św. Mikołaja.

Uniwersytet uzyskał autonomię, ale pozostał pod ścisłym nadzorem władz wiedeńskich. Wydział Filozoficzny przestał być przygotowawczym, podjęło tam wykłady kilku Polaków, jak Jacek Łoborzewski (założyciel uniwersyteckiego ogrodu botanicznego), Antoni Małecki, Wojciech Urbański; na Wydziale Prawa – Wojciech Fangor i Józef Zielonacki. Profesorowie austriacko-niemieccy byli nieprzychylni Polakom, a stołeczny charakter Lwowa w Galicji sprawił, iż starania o polonizację tej uczelni toczyły się we Lwowie dłużej i bardziej dramatycznie niż w Krakowie. Ciężar walki o spolszczenie Uniwersytetu spadł na namiestnika Agenora Gołuchowskiego, Sejm Krajowy i poszczególnych profesorów. Nie sprzyjały też pełnemu spolszczeniu uczelni stosunki narodowościowe w Galicji – w 1862 r. władze powołały kilka katedr na Wydziale Prawa z ukraińskim językiem wykładowym. Gołuchowski zaproponował przyznanie takich katedr także Polakom, jednak nie dopuścili do tego profesorowie niemieckojęzyczni. Walki o polskość uczelni jednak nie przerwano, ale zasadnicze zmiany rozpoczęły się w latach 60., gdy aktualna stała się autonomia Galicji. Dekret cesarza Franciszka Józefa z 4 lipca 1871 przyniósł zniesienie niemieckiego języka wykładowego, ale dopiero po kilku latach – niemieckiego języka urzędowego. W 1872 r. rektorem uczelni wybrano Polaka, Antoniego Małeckiego. Przywrócenie Wydziału Lekarskiego przewlekał rząd austriacki aż do 1894 r.

Od lat 70 XIX wieku datuje się wszechstronny rozkwit Uniwersytetu Lwowskiego, oparty o znakomitą polską kadrę profesorów i prowadzone przez nich studia. Pomimo swych osiągnięć i rangi – był czwartym co do wielkości uniwersytetem w monarchii austro-węgierskiej (po wiedeńskim, praskim i budapeszteńskim) – borykał się z trudnościami materialnymi, ponieważ w budżecie szkół wyższych Austrii był na przedostatnim miejscu. Budynek przy ul. św. Mikołaja od dawna nie odpowiadał potrzebom uczelni, a dużym osiągnięciem było wzniesienie w 1905 r. budynku biblioteki uniwersyteckiej. Na przełomie XIX/XX w. bujnie rozwinęło się ideowo-patriotyczne życie młodzieży studenckiej.

Pod koniec XIX w. niektóre wydziały na Uniwersytecie Lwowskim mogły już rywalizować



Chór „Lutnia” przy UTW we Lwowie



jest pierwszym takim uniwersytetem na Kresach Południowo-Wschodnich. Obecnie zrzesza ponad 230 osób w wieku 56–96 lat.

Przy UTW działa chór „Lutnia”. Jego założycielem w 1995 r. i kierownikiem – pierwotnie przy Klubie Myśli Katolickiej, a od 1996 r. przy UTW – był p. Igor Iwanow. Do chóru zgłosiło się 40 osób, a jego repertuar składał się w dużej części z piosenek lwowskich, których muzykę – do słów Krystyny Angielskiej – komponował pan Igor, a także ze starych szlagierów i kolęd. W połowie 1996 r. z przyczyn obiektywnych, chór zaprzestał działalności. Powstał na nowo w 1999 r. z inicjatywy p. Henryki Harazdy, ówczesnej prezeski lwowskiego UTW. Akompaniamentem i układem na głosy zajmują się teraz panie Adela Jacyno – akompaniorka, oraz Maria Sołomko – dyrygentka chóru.

Pierwszy występ chóru w obecnym składzie odbył się 3 maja 1999 r. w Pałacu Kultury we Lwowie. Potem śpiewał m.in. w czasie uroczystej mszy św. na cmentarzu w Zadwórzu w 80. rocznicę bitwy, podczas wycieczek na mszach w kościołach w Dukli i Przemyślu, kilka razy w roku śpiewał w kościele św. Antoniego, a ostatnio u św. Marii Magdaleny. Chór występuje też z koncertami kolęd i z okazji świąt państwowych, a także na inauguracji i zakończeniu roku akademickiego przed słuchaczami lwowskiego UTW.

W 2002 r. chór „Lutnia” wziął udział w IV Festiwalu Kultury Polskiej na Ukrainie, a w I Festiwalu Kultury Mniejszości Narodowych otrzymał Dyplom Ministerstwa Kultury Ukrainy. W 2005 r. śpiewał wspólnie z chórem „Echo” w teatrze Skarbka z okazji Święta Polonii, występował też z okazji Dni Lwowa pod Ratuszem, na akademii 11 Listopada w szkole nr 10 oraz na odsłonięciu pomnika w Hucie Pieniackiej.

Obecnie chór ma w repertuarze 35 pieśni patriotycznych, ludowych, okolicznościowych i żartobliwych oraz 28 pieśni religijnych i 27 kolęd.

Od października 2003 r. przy lwowskim UTW działa grupa plastyczna, która powstała również z inicjatywy dyrektorki Mokotowskiego UTW prof. Zofii Iwanickiej.

Zofia Kosidor – prezes UTW, Lwów

SZKOŁA PLASTYCZNA „WRZOS”

Od listopada 2003 r. działa we Lwowie Szkoła Plastyczna „Wrzos”, założona przez p. Mieczysława Maławskiego, prezesa Lwowskiego Towarzystwa Miłośników Sztuk Pięknych „Własna Strzecha”, z inicjatywy p. Marii Grzegockiej. Pedagogiem jest p. Irena Strilciw, docent Akademii Sztuk Pięknych we Lwowie. Szkoła liczy 15 osób (dorosłych). Zajęcia odbywają się 2–3 razy w miesiącu – dotąd było ich 62, ponadto dwa plenery na terenie Lwowa oraz coroczne plenery w Drohiczynie. Uczestnicy szkoły aktywnie odbywają zajęcia, odwiedzają wystawy plastyków miejscowych i zagranicznych. Edukację w zakresie historii sztuki zyskują z referatów i odczytów, które sami opracowują. Niektóre z referatów przedstawiano również na posiedzeniach LUTW.

Odbyły się 3 wystawy indywidualne: pp. E. Tajner, M. Grzegockiej i L. Bagrij. Wystawy zbiorowe urządzone są corocznie na zakończenie roku akademickiego w lokalu Towarzystwa (gdzie odbywają się zajęcia), a z okazji X-lecia LUTW zaprezentowano ekspozycję w miejskiej galerii.

Maria Grzegocka
staraścina grupy seniorów SP „Wrzos”, Lwów



Ewa Tajner i jej wystawa

POLACY z POLAKAMI

STOWARZYSZENIE „LEKARZE NADZIEI”

**PROMUJE ZDROWY STYL ŻYCIA WŚRÓD MŁODZIEŻY
POLSKICH SZKÓŁ NA KRESACH WSCHODNICH**

W poprzednim numerze zamieściliśmy notatkę o grudniowym wyjeździe ekipy Stowarzyszenia „Lekarze Nadziei” z Krakowa na teren Małopolski Wschodniej. Obecnie szerzej omawia tę misję kierownik ekipy (i prezes SLN) prof. dr Zbigniew Chłap.

W statucie Stowarzyszenia „Lekarze Nadziei”, pozarządowej organizacji humanitarnej pożytku publicznego, zapisano, że jednym z celów Stowarzyszenia jest realizacja programów profilaktyki i ochrony zdrowia ludności, a szczególnie promocja zdrowia wśród dzieci i młodzieży – nb. nie tylko w Polsce, ale także poza jej obecnymi granicami.

W związku z powyższym co roku nasze ekipy medyczne wyjeżdżają do różnych szkół polskich rozrzuconych na wielkich obszarach Kresów Wschodnich. W ostatnich latach odwiedziliśmy wiele szkół Bukowiny północnej – okolic Czerniowiec oraz Bukowiny południowej – regionu Suczawy, a w grudniu 2005 roku na trasie naszej misji znalazły się szkoły w Mościskach, Strzelczyskach, Lwowie i Drohobyczu*.

Mamy ustalony program takich misji medycznych:

- nasi lekarze, za zgodą dyrekcji szkoły i rodziców, przeprowadzają badania i konsultacje lekarskie ogólne i specjalistyczne, np. ortopedyczne, psychologiczno-psychiatryczne i inne,
- nasi pedagodzy, instruktorzy higieny szkolnej, nawiązują bezpośrednie rozmowy z młodzieżą, nauczycielami i ewent. rodzicami nt. promocji zdrowia, higieny osobistej, często w formie krótkich prelekcji,
- nasi wolontariusze, studenci medycyny, przekazują każdej szkole w pełni wyposażone apteczki szkolne, sprzęt sportowy i rehabilitacyjny, środki higieny osobistej, w tym obowiązkowo: szczoteczki i pastę do zębów, a na „pocieszenie” wyroby czekoladowe życzliwie podarowane dzieciom przez krakowski „Wawel”.

z dyscyplinami naukowymi na Uniwersytecie Jagiellońskim: na filozofii we Lwowie świetne studia historyczne prowadzili Ksawery Liske, Ludwik Finkel, Tadeusz Wojciechowski, Szymon Askenazy; w zakresie filologii polskiej Wilhelm Bruchnalski, Roman Pilat, Józef Callenbach, Jan Kasprowicz, a filologii klasycznej Ludwik Cwikliński, Bronisław Kruczkiewicz, Tadeusz Sinko. Na polu filozofii działalność naukowa i pedagogiczna Kazimierza Twardowskiego uformowała szkołę, z której czerpały potem wszystkie uniwersytety II Rzeczypospolitej. W różnych dyscyplinach nauk przyrodniczych: zoolog Benedykt Dybowski, Józef Nusbaum-Hilarowicz, botanik Marian Raciborski, fizyk Marian Smoluchowski, geograf Eugeniusz Romer. Na Wydziale Prawa wykładali wybitni uczeni: Leon Billiński, Oswald Balzer, Władysław Abraham, Leon Piniński, ekonomiści Stanisław Głabiński i Stanisław Grabski. Lwowską medycynę reprezentowali Ludwik Rydygier, Antoni Gluziński, Leon Popielski, Emanuel Machek, Stanisław Bądziński.

Od 1901 r. na Uniwersytecie Lwowskim miały miejsce wystąpienia studentów ukraińskich, żądających przekształcenia uczelni w dwujęzyczną, mimo że prawa Ukraińców do osobnych, równoległych z polskimi niektórymi katedr oraz języka wykładowego i egzaminacyjnego ukraińskiego były respektowane. Komplikująca się sytuacja międzynarodowa przed 1914 r. wygasila te zatargi.

I wojna spowodowała częściowe rozproszenie się kadry profesorskiej. Uniwersytet przerwał swoją działalność, gdy Lwów zajęli Rosjanie. Podjęta została na nowo, gdy do miasta powrócili Austriacy.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości siedzibą Uniwersytetu – który otrzymał imię swego fundatora, króla Jana Kazimierza – stał się obszerny i monumentalny gmach dotychczasowego galicyjskiego Sejmu Krajowego. Inauguracja odbyła się 25 X 1919 r., ale normalna praca naukowo-dydaktyczna rozpoczęła się dopiero w następnym roku, na skutek zagrożenia Lwowa walkami z Ukraińcami i wojną z Rosją bolszewicką oraz udziału w nich zarówno studentów, jak i wykładowców (1918–20).

Uniwersytet Jana Kazimierza miał początkowo 4 wydziały: Teologiczny, Prawa, Filozoficzny i Lekarski. Wydział Filozoficzny podzielono w 1924 r. na Matematyczno-Przyrodniczy i Humanistyczny. W okresie II RP uczelnia przeżyła swój najintensywniejszy w historii rozwój naukowy. Z UJK wyszły pokolenia znakomych uczonych polskiej i światowej sławy.

Zwykle, jeśli czas pozwala, badamy również dorosłych mieszkańców, zwłaszcza na wsiach polskich, gdzie spotyka się bardzo wielu ludzi starych, schorowanych, potrzebujących pomocy. Wzruszające jest, że ludzie ci zachowali język polski, chętnie rozmawiają, a żegnając się z nami dziękują nie tylko za zaopatrzenie ich w leki, ale i za nadzieję, że nie zostaną sami.

W ramach ostatniej naszej misji w grudniu 2005 roku została przygotowana konferencja pt. „Szkoła i zdrowie”, którą zorganizowaliśmy wspólnie z Federacją Polskich Organizacji na Ukrainie (prezes p. Emilia Chmielowa) w polskiej szkole w Mościskach (dyrektor Teresa Teterycz). Konferencja była przeznaczona dla nauczycieli, wychowawców, lekarzy, pracowników ochrony zdrowia zarówno polskich, jak i ukraińskich. Pełnego poparcia udzieliły lokalne władze, szczególnie mer miasta Mościsk.

Tematyka konferencji dotyczyła niezwykle ważnego obecnie problemu, tj. promocji zdrowia i zdrowego stylu życia młodzieży szkolnej, który nb. poruszaliśmy już w 2003 roku w Czerniowcach w czasie konferencji na tamtejszym Uniwersytecie.

W pierwszej części wygłoszonych zostało 7 referatów, obejmujących takie zagadnienia jak:

- potrzeba powszechnej mobilizacji społeczeństwa: rodziców, nauczycieli, wychowawców, władz i administracji – celem ochrony zdrowia młodego pokolenia narażonego obecnie na szereg patogennych czynników współczesnej cywilizacji,
- założenia organizacyjne przy tworzeniu tzw. „szkół promujących zdrowie”,
- instruktaż dla higienistów szkolnych, którzy powinni zajmować się promocją zdrowego stylu życia,
- zapobieganie infekcjom wieku szkolnego.

W drugiej części konferencji – raczej o charakterze seminaryjnym – zostały poruszone problemy tzw. „dzieci trudnych” ze specjalistycznym wykładem nt. dzieci autystycznych.

Bardzo miłym akcentem konferencji były świetnie przygotowane występy zespołów tanecznych i recytacje młodzieży, poruszające do głębi swoją patriotyczną wymową.

Konferencja zgromadziła ponad 140 uczestników przybyłych nawet z odległych okolic kraju, wzbudziła duże zainteresowanie, czego dowodem była ożywiona dyskusja i postanowienie kontynuowania tego rodzaju spotkań i wymiany doświadczeń.

Wydaje się, że konferencja dobrze wpięła się w tak potrzebny dialog polskiego i ukraińskiego społeczeństwa, próbującego rozwiązywać podobne problemy wychowawcze i zdrowotne młodzieży.

Natomiast nie tylko organizatorzy konferencji z przykrością zanotowali fakt, że nie zjawił się na konferencji nikt z przedstawicieli polskich placówek, np. z niedalekiego przecież konsulatu. Nie było nawet zwyczajowo nadsyłanych wyrazów zainteresowania czy pozdrowień...

Stowarzyszenie „Lekarze Nadziei” ma zamiar kontynuować i poszerzać akcje promocji zdrowia i zdrowego stylu życia wśród młodego pokolenia Polaków tak w kraju, jak i poza jego dzisiejszymi granicami w przesłaniu, że perspektywnie jest to najważniejsze zadanie zabezpieczenia biologicznego bytu społeczeństwa.

prof. dr Zbigniew Chłap

* Misja została wsparta przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” (dotacja).

Prof. Zbigniew Chłap w trakcie wykładu w Mościskach



Badanie dzieci



W Krakowie i dalej

ASYMETRIA TOTALNA

Poniższą relację otrzymaliśmy z Rzeszowa. O sprawach tych – w oparciu o krakowską prasę – piszemy także w rubryce „Naszym zdaniem”.

W Przemyślu zamieszkuje pięć razy mniej Ukraińców niż Polaków we Lwowie. W okresie III RP zwrócono mniejszości ukraińskiej kilkanaście obiektów i działek budowlanych, w tym:

- gmach liceum;
- pałac biskupów grekokatolickich, który nie stanowił własności ukraińskiej, lecz był przez kurie użytkowany. Od II wojny było tam muzeum i obecnie państwo polskie musi wyasygnować kilkanaście milionów złotych na budowę nowej siedziby dla Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej;
- cztery wielomieszkańciewe kamienice, m.in. przy Rynku 12, ul. Basztowej 13 i in., a przed komisją majątkową toczy się postępowanie o zwrot kolejnych nieruchomości.

Obecnie strona ukraińska, wspierana przez najwyższe władze Ukrainy, naciska na prezydenta Przemyśla o szybki zwrot tzw. Domu Ukraińskiego, a ostatnio ambasador Ukrainy doręczył list prez. Juszczenki w sprawie budowy Narodnego Domu Ukrainy. Dotychczas prezydent Przemyśla zajmował racjonalne stanowisko – zgodne z logiką – że miasto przekaże obiekt, pod warunkiem że władze Lwowa zapewnią tamtejszym Polakom odpowiednie pomieszczenia na Dom Polski. O spełnienie tego postulatu Polacy zabiegają bez skutku od lat. Zwróćmy uwagę, że we Lwowie są liczne obiekty wzniesione niegdyś z polskich środków społecznych – np. „Sokół” przy ul. Łyczakowskiej – które stanowią wszak własność współczesnych Polaków we Lwowie jako

Na Wydziale Teologicznym do najznakomitszych profesorów należeli księża Jan Stepa, Alojzy Klawek, Józef Umiński, Szczepan Szydelski, Adam Gerstman; na Wydziale Prawa – oprócz wcześniej wymienionych: Ludwik Ehrlich, Karol Stefko, Roman Longchamps de Berier, Przemysław Dąbkowski; na Wydziale Lekarskim: Rudolf Weigl, Józef Markowski, Roman Rencki, Jakub Parnas, Tadeusz Ostrowski, Witold Nowicki, Adam Bednarski; na Wydziale Humanistycznym – oprócz wcześniej wymienionych: filozofowie Kazimierz Ajdukiewicz i Roman Ingarden, historycy Stanisław Zakrzewski, Aleksander Semkowicz, Kazimierz Bujak, Adam Szelański, Stanisław Łempicki, historycy sztuki Władysław Podlacha i Mieczysław Gębarowicz, filolodzy klasycy Jerzy Kowalski i Ryszard Gansiniec, romanista Edward Porębowicz, językoznawca Jerzy Kuryłowicz, archeolodzy i etnologowie Jan Czekanowski, Edmund Bulanda, Tadeusz Sulimski, poloniści – poza wcześniej wymienionymi: Antoni Małeckie, Juliusz Kleiner, Edward Kucharski; na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym: matematycy Stefan Banach – twórca „lwowskiej szkoły matematycznej”, Hugo Steinhaus, Stanisław Różewicz, Eustachy Żyliński, fizycy Stanisław Loria, Szczepan Szczeniowski, przyrodnicy – oprócz wcześniej wymienionych: Kazimierz Sembrat, Stanisław Kulczyński, geografowie August Zierhoffer, Henryk Arctowski, Józef Zwierzycy, Jan Samsonowicz, Julian Tokarski.

Wybuch II wojny światowej zakończył tragicznie kilkunastu dzieje Uniwersytetu Lwowskiego, którego ostatnim wcieleniem był UJK. Część profesorów i pracowników naukowych w czasie kolejnych okupacji straciła życie lub została deportowana. Po zakończeniu wojny profesorowie lwowscy zasilili wszystkie dawne i nowe uniwersytety krajowe, nie wyłączając krakowskiego, a także wiele zagranicznych.

Danuta Nespiak

Na temat miasta Lwowa znalazły się w numerach CL następujące hasła:

Położenie i system wodny	1/01
Rozwój i ustrój	1/2000
Dzielnice	S/99, 4/99, 1/01
Parki i plantacje miejskie	4/03
Cmentarze	4/03
Pomniki	2/06
Uczelnie akademickie	
1. Uniwersytet JK	2/06

spadkobierców budowniczych tych obiektów. Wg europejskich standardów prawa, obowiązek zwrotu takich obiektów jest bezdyskusyjny. Kiedy Warszawa – przy swej trudnej do zrozumienia ustępliwości – gotowa była kupić za 1 milion dolarów prawie zrujnowany teatr wojskowy przy ul. Gródeckiej (plus remont szacowany na 2 mln USD), natychmiast podniesiono cenę na 2,5 mln USD, a następnie w ogóle zablokowano samą możliwość sprzedania tego obiektu stronie polskiej (piszemy o tym na s. 54).

Jeżeli prezydent Przemysła ugnie się i odda Dom Ukraiński bezwarunkowo, szansa na uzyskanie Domu Polskiego we Lwowie będzie stracona.

Od chwili powstania *samostijnej* Ukrainy władze Lwowa nie zwróciły mniejszości polskiej żadnego obiektu. To samo jest na terenie całej tzw. zachodniej Ukrainy (czyli Małopolski Wschodniej). Domy Polskie w kilku mniejszych miastach powstały w skromnych domkach zakupionych przez „Wspólnotę Polską”. Podobną politykę od lat prowadzi Ukraińcy w sprawach dotyczących zwrotu kościołów, np. w Tarnopolu i Brodach (gdzie w końcu zdecydowano się – nie bez trudności – na budowę nowych świątyń), w Komarnie, Chyrowie, Czortkowie (wcześniej – lwowskie kościoły św. Elżbiety, Bernardynów, Dominikanów, św. Marii Magdaleny). Za odprawianie mszy u św. MM władze pobierają niemałe czynsze (pisała o tym „Gazeta Lwowska”). Polska natomiast wydaje ogromne środki na odbudowę i konserwację cerkwi, przekazywane grekokatolikom za darmo.

Jedyny częściowo odzyskany we Lwowie obiekt to – na życzenie Watykanu – pałac arcybiskupi, lecz bez kościoła i klasztoru.

Związek Ukraińców w RP korzysta ze stałych dotacji rządowych na działalność związkową, artystyczną, wydawanie prasy (np. „Nasze Słowo” z materiałami antypolskimi). W ubiegłych latach przekazano im duże i wartościowe obiekty, np. w Krakowie (jeden z najpiękniejszych zabytkowych pałaców przy ul. Kanoniczej), w Warszawie, Szczecinie, a także lokale, m.in. w Rzeszowie za symboliczną złotówkę. Natomiast prasa lwowska (GL) poinformowała, że rząd ukraiński przeznacza na polską mniejszość 0,8 kop. na osobę.

Uwidoczniła w powyższym zestawieniu faktów asymetria domaga się natychmiastowego działania ze strony władz polskich i uzdrowienia sytuacji.

DZIĘKCZYNIENIE ZA KANONIZACJĘ KS. GORAZDOWSKIEGO

W kościele oo. Karmelitów w Krakowie przy ul. Rakowickiej została 19 marca odprawiona msza św. dziękczynna za kanonizację Zygmunta Gorazdowskiego – lwowskiego *księdza ubogich*. Mszy św. koncelebrowanej przewodniczył ks. kardynał Marian Jaworski, przy udziale ks. kard. Mariana Dziwisza i ojców karmelitów. Siostry józefitki zadbały o piękną oprawę uroczystości. Chór sióstr śpiewał pieśni poświęcone Osobie Świętego. Zaproszeni goście – księża, lekarze, dziewczyna uzdrowiona za wstawiennictwem św. Zygmunta, rodzina – potomkowie Gorazdowskich, spotkali się na posiłku w sali parafialnej przy ul. Bandurskiego, a spotkanie uświetnili dwaj kardynałowie – Jaworski i Dziwisz.

Marta Walczewska



Msza u Karmelitów w Krakowie.
W środku kardynałowie S. Dziwisz i M. Jaworski

Notatki

◆ Nowym dyrektorem oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie – na miejsce Janusza Kurtyki, który został szefem IPN w Warszawie – mianowano **prof. Ry-**

szarda Terleckiego, długoletniego pracownika i wicedyrektora tego oddziału. Krakowski „Dziennik Polski” zamieścił w nr. 5/05 obszerną rozmowę z nim.

R. Terlecki jest historykiem, wcześniej interesował się także problematyką Lwowa i Ziemi Wschodnich. Publikował artykuły na te tematy, wydał m.in. jeden z pierwszych *po przełomie* przewodników (wraz z J.T. Nowakiem i S. Sroką, 1993) pt. *Historyczny Lwów*. Jest synem Olgierda, nieżyjącego już krakowskiego publicyisty lat powojennych, rodem z Jaworowa.

◆ 11 Listopada '05 odbyła się w Czarnej Bieszczadzkiej k. Ustrzyk Dolnych uroczystość odsłonięcia pomnika **pomordowanych przez Ukraińców w latach 40. w Sokalszczyźnie**. Jak wiadomo, w Ustrzykach i okolicach zostali w roku 1951 osadzeni wysiedleńcy z obszarów zabranych Polsce w ramach tzw. akcji HT-51 (patrz CL S/01, s. 54 i 4/01, s. 38) – z Sokala (z jego części po prawej stronie Bugu), Waręża, Uhnowa, Belza, Krystynopola itd. Z kolei, jak pamiętamy, rejon Ustrzyk Dolnych był wtedy opustoszały, bo najpierw zabrany w 1945 r. przez sowietów, a w 1951 r. oddany PRL-owi w zamian za bardziej im odpowiadającą Sokalszczyznę. (węgiel!).

Jak się dowiedzieliśmy – niepiękną rolę odegrał w sprawie odsłonięcia pomnika miejscowy proboszcz, który uroczystość zignorował, a tablice polecił usunąć. Rozgoryczyło to miejscową ludność, w większości ekspatriantów z Sokalszczyzny. Coś nam to przypomina – może kiedyś trzeba będzie powołać kolejną komisję „Pamięć i Troska”?

◆ W Krakowie w połowie lutego **zmarł Stanisław Płaza**, emerytowanu profesor zw. UJ, b. kierownik Katedry Historii Prawa Polskiego. Urodził się w okolicach Zborowa w wojew. tarnopolskim. Był wraz z rodziną wywieziony na *nieludzką ziemię*. Studia prawnicze ukończył na UJ w Krakowie.

◆ Firma „Direct Fly” uruchamia w Polsce **tanie linie lotnicze**, m.in. do Lwowa z Rzeszowa oraz z Łodzi do Kijowa). Mają to być loty czarterowe, ale realizowane cyklicznie (nie bardzo rozumiemy, na czym to polega). Do dyspozycji będą samoloty o 43 miejscach.

Karol Odrycki

KULTURA NAUKA

DĄB I LAUR

W grudniu–styczniu była czynna w krakowskim Muzeum Narodowym niezwykła wystawa. Zatytułowana **Dąb i Laur – Wieńce poświęcone Adamowi Mickiewiczowi**, przedstawiała kilkaset pamiątek z powtórnego pogrzebu Adama Mickiewicza, którego szczątki zostały w r. 1890 przewiezione z Paryża do Krakowa i złożone w krypcie Katedry Wawelskiej. Na ekspozycję składały się: co najmniej setka symbolicznych wieńców z liści laurowych i dębowych z szarfami, medale, medaliony i medaliki, rzeźby i płaskorzeźby, obrazy, ryciny, klepsydry i nekrologi, dokumenty oraz inne jeszcze przedmioty, upamiętniające tamto narodowe wydarzenie. Pewna część tych przedmiotów była związana również ze stuleciem urodzin Mickiewicza w 1898 r.

Wśród lwowskich gazet były: „Kurier Lwowski”, „Wiek Młody” (1898), „Szczutek”.

Najważniejsze i najciekawsze były pierwsze z wyżej wymienionych. Wśród wieńców, wykonanych głównie z wyłaczanej srebrnej blachy, niektóre są oryginalnymi dziełami sztuki, natomiast szarfy i napisy na nich stały się dokumentami ogromnej popularności Wieszcza na wszystkich ziemiach polskich, a także wśród Polaków za granicą. Dla nas najbardziej satysfakcjonujące było to, że duża część wieńców pochodziła ze Lwowa i innych miast ówczesnej Galicji – Małopolski Wschodniej, i należały do najpiękniejszych (na co zwracała uwagę zwiedzającym przewodniczka).

Szczególnie rzucający się w oczy, bo najbogatszy i najbardziej oryginalny, i dlatego umieszczony na honorowym miejscu – na wprost wejścia na salę ekspozycji – był wieniec od Miasta Lwowa. Przedstawiał płaskorzeźbiony profil Poety otoczony liśćmi laurowymi, wśród nich zaś cztery herby: Polski u góry, Lwowa u dołu oraz Litwy i Rusi po bokach*.

Swoje wieńce przysłały miasta: Tarnopol, Stanisławów, Złoczów, Stryj, Bóbrka, Zaleszczyki,

Monasterzyska, Busk, gmina Trembowla, Prusy w pow. lwowskim, Pleskowce w pow. tarnopolskim.

Ponadto ze Lwowa: słuchacze Uniwersytetu, Politechniki, Szkoły Lasowej, Krajowej Szkoły Leśnictwa, Szkoły Weterynaryjnej, profesorowie i słuchacze Akademii Rolniczej w Dublinach; Towarzystwa Politechniczne i Pedagogiczne, Towarzystwo Nauczycieli Szkół Wyższych**, Czytelnia Akademicka, artyści Teatru Lwowskiego, młodzież Szkół Średnich, „Sokół”, Zrzeszenie Młodzieży Handlowej, Lwowska Izba Handlowo-Przemysłowa, Rękodzielniczy Król. Miasta Lwowa, Robotnicy lwowscy, Lwowski Zbór Izraelicki.

Bardzo wiele wieńców przybyło z Wilna i Wileńszczyzny, z Nowogródka, od Polaków z Litwy, z Ziemi Chełmskiej, a dalej od Polaków z Bukowiny, z Carogrodu (tak! nie ze Stambułu), z Petersburga, z Bułgarii i jeszcze dalsze, których nie zdołaliśmy wynotować. Nie wymieniamy tu oczywiście wielu wieńców z Krakowa, Warszawy i in-

nych miast, miasteczek, wsi, regionów centralnej Polski.

Do nabycia był gruby katalog (autorstwa Moniki Paś, wyd. Muzeum Narodowe w Krakowie, 2005), jednak zbyt drogi jak na nasze kieszenie. A szkoda!

Egon Leopolski

* Warto podać twórców tego wieńca: architekt Władysław Halicki, rzeźbiarz Julian Makowski, brązownik Jan Wypasek, ślusarz Jan Daschek, odlewnik G. Schapira, złotnik Józef Badowski, galwanoplastyk Henryk Rosenbusch, dekorator (realizacja) Wojciech Frueauff.

** M.in. koła w Brzeżanach, Brodach, Buczaczu, Kołomyi, Stanisławowie, Tarnopolu i Złoczowie, a ponadto z miast w Galicji-Małopolsce Zachodniej. Nazwy tych miast były wyłoczono na listkach wieńca wykonanego przez znanego złotnika lwowskiego Jana Wojtycha.

POTOMEK LWOWSKIEJ RODZINY DOKTOREM H.C. W KRAKOWIE

Senat krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej (AGH) nadał tytuł doktora h.c. profesorowi dr. Romanowi Teisseyre z Instytutu Geofizyki PAN w Warszawie. Uroczystość promocji odbyła się w Krakowie w grudniu 2004 r., a laudację z tej okazji wygłosił prof. dr Jerzy Kowalczyk*.

Oto początek wystąpienia laudatora (ze skrótami):

[...] Charakteryzując osiągnięcia Pana Profesora, nie można pominąć szczegółów z Jego życia osobistego, które ukształtowały w decydującym stopniu postawę życiową, a w konsekwencji i styl pracy zawodowej Romana Teisseyre'a.

Radość wygłaszania tej laudacji ma swoje uzasadnienie także w fakcie, który wpływa na moją znajomości z Profesorem: blisko 60 lat temu dwaj młodzieńcy [...] spotkali się pełni optymizmu w nadziei, że ucząc się rzemiosła geofizycznego, znajdą w tej dziedzinie nauki swoją przyszłość i cel życiowy. Byliśmy wtedy obserwatorami badań geofizycznych na terytorium Dolnego Śląska w zespole prof. Henryka Orkisz**,



wadzącego z ramienia Państwowego Instytutu Geologicznego badania magnetyczne w rejonie Kłodzka. [...]

Nie obędzie się jednak bez sięgnięcia do jeszcze bardziej odległej historii [...]. Myślę, że naukowe zainteresowania Profesora swój początek mają we wczesnej młodości i nie miały wpływu miały tradycje wyniesione z domu rodzinnego. [Opowiedziane przez prof. Kowalczyka dzieje rodziny Teisseyre'ów przedstawiamy obok, w ramce]

Teisseyre'owie znaleźli się potem w Krakowie, następnie we Wrocławiu, w końcu wrócili do Warszawy. Roman ukończył studia na Uniwersytecie Warszawskim, tam doktoryzował się (1959) i uzyskał habilita-

Pozwólcie Państwo, że cofnę się do roku 1789, tj. do końca XVIII wieku i początku Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Był to rok tragiczny dla praprapradziada dzisiejszego Doktora h.c. Wtedy to Louis de Teisseyre, przedstawiciel starej francuskiej rodziny arystokratycznej, 35-letni kapitan gwardii króla Francji Ludwika XVI, stracił życie w zawierusze tamtego czasu. Jego żona Marie Bonal de Ganges uratowała życie swoje i syna, Louisa Stanisława, ucieczką, kierując się z Francji na wschód. Wyemigrowali wraz z wielką falą uchodźców do Wiednia, a dalej do Krakowa, gdzie prawdopodobnie około 1795 r. osiedlili się na stałe.

Louis Stanisław de Teisseyre ukończył studia na Uniwersytecie Jagiellońskim i otrzymał tytuł „magister scholarum” języka francuskiego. Zawód nauczyciela stał się źródłem jego utrzymania. Założył rodzinę [...]. W poszukiwaniu zarobku na utrzymanie coraz liczniejszej rodziny Louis Stanisław wędrował po Galicji, ucząc języka francuskiego – w Krakowie, Wieliczce, Tarnowie, Nowym Sączu i w Brodach, gdzie w r. 1837 dostał państwową posadę profesora w Szkole Realnej. Zmarł w Brodach w r. 1841. [...]

Henryk de Teisseyre, syn Louisa Stanisława, na pewno czuł się już w pełni Polakiem. Urodzony w Wieliczce, studia podjął na Politechnice Lwowskiej (wtedy: Akademii Technicznej) jako jeden z pierwszych studentów tej uczelni; był studentem Wydziału Inżynierii Budowy Dróg Żelaznych. Projektował potem m.in. linię kolejową Lwów–Tarnów. Zachował się w pamięci lwowian wiadukt kolejowy „Teisseyra” w tym mieście. Henryk Teisseyre założył rodzinę, biorąc za żonę Julię Belina Węgierską. Jednym z ich dzieci był Karol Wawrzyniec de Teisseyre, o którym w murach tej Uczelni nie sposób nie wspomnieć trochę szerzej.

Karol Wawrzyniec, urodzony w r. 1864, po nauce w ck Gimnazjum im. Franciszka Józefa we Lwowie*** świadectwo dojrzałości otrzymał w Tarnopolu, z wyróżniającą się oceną w przedmiotach przyrodniczych. Mając 19 lat, rozpo-

czął studia na ck Uniwersytecie Wiedeńskim i prawie jednocześnie w Akademii Górniczej w Leoben. [...]

Wawrzyniec (tak występuje Karol Wawrzyniec w polskiej literaturze) zajmował szereg stanowisk w instytucjach naukowych geologicznych i w r. 1882 wydał pierwszą swą rozprawę naukową nakładem Wszechnicy Jagiellońskiej. Uzdolniony, pracowity i wszechstronnie wykształcony, szybko zdobył uznanie i stopnie naukowe: doktorat na Uniwersytecie Wiedeńskim, habilitację na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego. Nazwisko Wawrzyńca Teisseyre'a, jako nauczyciela matematyki, historii naturalnej i kaligrafii, pojawia się w Wyższej Szkole Realnej we Lwowie. Ta Szkoła Realna, po szeregu przekształceń, stała się szkołą-matką dla XI Gimnazjum we Lwowie.

Wawrzyniec Teisseyre nieprzerwanie kontynuował prace naukowe, m.in. na stanowisku geologa naftowego w Rumunii. Na stałe powrócił do Lwowa w 1910 r., gdzie został zaangażowany jako profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Lwowskiego, a w latach międzywojennych rozpoczął wieloletnią pracę naukowo-dydaktyczną na Politechnice Lwowskiej. W r. 1925 został tam profesorem zwyczajnym i kierownikiem Katedry Geologii i Paleontologii.

Żonaty z Janiną Polityńską, miał pięciu synów: Jerzego (mechanik), Henryka (geolog), Kazimierza (prawnik, ojciec Romana), Stanisława (artysta malarz) i Andrzeja (mechanik-konstruktor), którzy ukończyli uczelnie lwowskie, a po II wojnie światowej czterech z nich zostało profesorami polskich uczelni.

Profesor Roman Teisseyre urodził się we Lwowie w r.1929. Jego rodzice wraz z dziećmi przenieśli się do Warszawy w 1935 r. i tam mieszkali do wybuchu Powstania Warszawskiego. Piętnastoletni Roman brał udział w powstaniu [...], przed powstaniem był członkiem tajnego harcerstwa – Szarych Szeregów. Ojciec Romana – Kazimierz i brat – Mieczysław, walcząc w powstaniu, zostali ciężko ranni.

cję (1961). Związał się z Uniwersytetem Warszawskim – Katedrą Geofizyki oraz Instytutem Fizyki Teoretycznej, później z Instytutem Geofizyki PAN. Zorganizował tam Zakład Sejsmologii, później Zakład Dynamiki Wnętrza Ziemi i był jego dyrektorem.

Prof. Kowalczyk opowiedział na koniec swego wystąpienia, że oryginalny dorobek naukowy Profesora jest imponująco olbrzymi: obejmuje ponad 250 opublikowanych prac i stale się powiększa. Wymienił naj-

ważniejsze osiągnięcia naukowe Romana Teisseyre w zakresie fizyki wnętrza ziemi, sejsmologii, geodynamiki, termodynamiki procesu deformacji i niszczenia skał, z polem elektromagnetycznym itd.

* O prof. J. Kowalczyku – patrz CL 1/99, s. 10.

** O prof. H. Orkisz – patrz jw., s. 9.

** Gimnazjum im. Franciszka Józefa we Lwowie to w latach międzywojennych III Gimnazjum im. S. Batorego przy ul. Batorego.

Kronika

◆ Kilkakrotnie pisaliśmy swego czasu o słynnej **zakopiańskiej szkole artystycznej**, która przed ponad stu laty i w latach międzywojennych nazywała się Szkołą Przemysłu Drzewnego, po II wojnie Liceum Sztuk Plastycznych, a potocznie *Szkołą Kenara*, zaś dziś, po kolejnej reformie, stanowi Zespół Sztuk Plastycznych. O szkole tej pisaliśmy dlatego, że pracowało tam w ciągu lat – zwłaszcza po II wojnie (ale i dawniej) – wielu ludzi pochodzących z Małopolski Wschodniej.

W tym roku Szkoła obchodzi swoje 130-lecie. Z tej okazji urządzono w styczniu w Krakowie wystawę, która – jak podała prasa – będzie niebawem również ekspozowana we Lwowie.

◆ W lutym otwarto w Klubie „Kazimierz” Śródmiejskiego Ośrodka Kultury w Krakowie wystawę fotograficzną, zatytułowaną oryginalnie: *Polska bez-kresna, Kresy bez-polskie*. Autorką fotografii z **wędrówek z aparatem po Małopolsce Wschodniej** jest Małgorzata Lalicka (rodem z Małopolski środkowej, absolwentka UJ i uniwersytetu jezuickiego w Bostonie). Jej zdjęcia przedstawiają wspaniałą dorobek kultury polskiej na zabranych nam ziemiach południowo-wschodnich, z drugiej – dramat jej niszczenia: *świećność i upadek polskości na dzisiejszej Ukrainie* – jak napisała w folderze wystawy.

Wernisaż zgromadził wielu krakowian, a w mowie na otwarciu nasi przedstawiciele zostali miło powitani. W części artystycznej czytano wiersze i prozę o Lwowie.

Autorka obiecała nam materiał ze zdjęciami do Cracovia–Leopolis.

◆ W czasie robót remontowych przy nawierzchni jezdni **na Rynku lwowskim** odkryto resztki drewnianego wodociągu, oceniane na XVI–XVII wiek, co obecny kierownik miejskiego urzędu ochrony środowiska, Andrij Lewyk ocenił jako świadectwo, iż mieszkańcy Lwowa już w tamtych czasach korzystali z wodociągu. Przypomnijmy więc, co mówił w swych przedwojennych audycjach radiowych na temat lwowskich wodociągów i w książce *Lwów nieznanany* Jan Gieryński (Lwów 1938) – tekst ten zamieszczamy obok w ramce.

Rury o średnicy ok. 20–26 cm wykonano z twardych gatunków drewna. Wg A. Lewyka Istnieją poszlaki, że na placu były dwie studnie, a nieopodal staw, skąd mieszkańcy otrzymywali wodę (?). Lewyk stwierdza, że prace na Rynku prowadzone są pod stałym nadzorem archeologów.

Roboty remontowe zostały w ziemię wstrzymane i miały być podjęte na nowo z wiosną. Tamtejsza prasa doniosła, że – wedle opinii architektów – w czasie dalszych prac mogą być odkryte jeszcze ciekawsze wykopaliska. Rynek był targowiskiem, można tam więc znaleźć wszystko, od zbroi po złotą biżuterię – zauważył prezydent BF (?) Andrij Saluk.

[...] Lwów miał wodociągi z dawien dawna. W pierwszej zachowanej miejskiej księdze rachunków spotykamy już wydatek na wodociągi w 1404 r. Osobną kasę wodociągową założono, po długich staraniach, dopiero w 1665 r. „Dyrektor” wodociągów zwał się rumistrzem [...]. Woda doprowadzona była do stu kamienic, ale rajcy i funkcjonariusze miejscy, a także organista nie płacili za wodę. Takich „uprzywilejowanych” domów było około 15. Jednorazowe doprowadzenie wody kosztowało 21 zł i 28 gr, a opłata roczna od kamienicy 1 zł. Opłatę tę, zwaną runem, ściągano przed Zielonymi Świątkami. Specjalne opłaty za wodę pobierano od tych mieszczan, którzy trudnili się browarnictwem i miodosytnictwem [...]

Wodociąg ówczesny był względnie prymitywny. Drewnianymi, a potem żelaznymi rurami doprowadzano wodę ze źródełek bijących u stóp wzgórz okalających miasto. W miarę rozrastania się miasta woda ta nie wystarczała. Zaczęło się poszukiwanie nowych źródeł, aż wreszcie w 1896 r. postanowiono założyć nowoczesny wodociąg. Dnia 9 marca 1901 r. oddano uroczysto do użytku nowy wodociąg. W czasie uroczystości otwarcia trysnęły z otwartych hydrantów na pl. Mariackim pierwszy raz słupy wody na wysokość kilku pięter. [...]

Jan Gieryński, *Lwów nieznanany*
(Lwów 1938)

◆ Staraniem NSZZ „Solidarność” i Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” odbyła się z końcem stycznia '06 w Krakowie konferencja pt. **Sytuacja na Kresach Wschodnich. Lata 1943–1944. Aktualny stan badań**. Referaty wygłosili: prof. Edward Prus z Uniwersytetu Śląskiego oraz mgr Krzysztof Nowakowski z IPN Kraków.

Bliższe informacje postaramy się podać po ewentualnym otrzymaniu materiałów.

◆ Z pewnym opóźnieniem opisujemy to doroczne wydarzenie, ale nadmiar materiału nie pozwala na podawanie wszystkiego w swoim czasie. Przepraszamy.

Na krakowskim Rynku z okazji 6 sierpnia 2005 – rocznicy wymarszu I Kompanii Kadrowej – kolejna **Lekcja Śpiewania**, prowadzona już po raz szesnasty przez Kazimierza Madej, kierownika znanego w Krakowie kabaretu „Loch Camelot” (w piwnicy przy ul. św. Tomasza). Przypomina się tam tłumnie zebranej publiczności – i uczy razem – utwory, które wspierały kolejne pokolenia Polaków w walce o wolność kraju, o polskość. Śpiewano dawne pieśni wojskowe, legionowe, ułańskie, powstańcze, ale najbardziej wzruszającą chwilą – jak doniosła prasa – było wykonanie przez najmłodszego członka Lochu Camelot pieśni *Orlątko*. Na *Lekcji Śpiewania* '05 był obecny prezydent Ryszard Kaczorowski.

Nie jest zapewne przypadkiem, że K. Madej, pomysłodawca i organizator imprezy, jest lwowianinem z Zimnej Wody, który na tę stronę przybył wiele lat po II wojnie.

Z ostatniej chwili

23 maja 2006 zmarł w Warszawie polski trener wszystkich czasów

KAZIMIERZ GÓRSKI

Urodzony w 1921 r. we Lwowie, tam dorósł i rozpoczął swą drogę ku największym triumfom futbolu polskiego w latach 1970. Lwowiakiem czuł się do końca

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Bardzo ważny dla historii Lwowa dokument został wydany przez Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk (Poznań–Warszawa 2005): **Album Civium Leopoliensium (Rejestr obywateli lwowskich)**. Jest to spis przyjęć do prawa miejskiego we Lwowie z lat 1388–1783, przygotowany do wydania przez **Andrzeja Janaczka** w dwóch częściach: I tom stanowi przedruk wpisów z prawie czterystu lat, II tom zawiera indeksy nazwisk i geograficzny.

Niestety dość wysoka cena tego cennego wydawnictwa nie pozwoliła nam na jego zakupienie.

📖 Do najważniejszych wydawnictw ubiegłego roku należy obszerna praca (prawie 600 stron) **ks. Józefa Wolczańskiego: Eksterminacja narodu polskiego i Kościoła rzymskokatolickiego przez ukraińskich nacjonalistów w latach 1939–1945. Materiały źródłowe, cz. I** (Kraków 2005, wydanie dofinansowane przez Radę Ochrony Pamięci WiM). Tom obejmuje różnego rodzaju dokumenty, pisane na temat wydarzeń głównie *na gorąco* przez księży – listy i notatki, relacje, wystąpienia, interwencje. Są to wręcz podstawowe dokumenty do badań prawdy o ukraińskim ludobójstwie.

📖 Podobne znaczenie ma dwutomowe dzieło (w sumie kilka tysięcy stron), opracowane przez dr **Lucynę Kulińską: Dzieje Komitetu Ziemi Wschodnich na tle losów ludności polskich Kresów w latach 1943–1947. Dokumenty i materiały zgromadzone przez działaczy i członków KZW** (Oficyna Wydawnicza „Abrys”, Kraków 2001, wydanie dofinansowane przez Akademię Górniczo-Hutniczą). Autorka ogłosiła kolejne prace na ten temat, omawiane w CL S/03 oraz 2/04.

📖 Na razie tylko sygnalizujemy ukazanie się trzech książek bardzo ważnych w ogó-

le, a dla nas w szczególności, których poważne omówienie wymaga profesjonalizmu. Nie odważywszy się przeto na analizowanie ogromnego materiału bez przygotowania, zwróciliśmy się o to do historyka, który nam te książki wskazał. Jednak z przyczyn obiektywnych nie może to nastąpić w tej chwili – będziemy się starać, by omówienia te ukazały się w tegorocznym ostatnim numerze, tradycyjnie poświęconym walkom o niepodległość, obronie narodowej, martyrologii. Oto ich tytuły:

Stosunki polsko-ukraińskie w latach 1939–2004. Praca zbiorowa pod redakcją **Bogumiła Grotta** (wyd. Muzeum Historii Ruchu Ludowego, Warszawa 2004).

Wołyń i Małopolska Wschodnia 1943–1944. Praca zbiorowa pod redakcją naukową **Czesława Partacza**, Bogusława Polaka i Waldemara Handke (Wydawnictwo Instytutu im. gen. Grota Roweckiego, Koszalin–Leszno 2004).

Przemiany narodowościowe w Galicji Wschodniej i na Wołyniu w latach 1931–1948. Autor **Grzegorz Hryciuk** (Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2005).

Przy Uniwersytecie Wrocławskim działa dość oryginalna instytucja: Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Willy Brandta, zorganizowana wspólnie z Niemcami (czy w takim układzie można być pewnym obiektywizmu?). Przedmiotem zainteresowania tego Centrum okazały się również polskie zabrane Ziemie Wschodnie, a owocem tego zainteresowania jest wydany ostatnio pod redakcją **Stanisława Ciesielskiego** zbiór referatów pt. **Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej. Przekształcenia struktury narodowościowej 1931–1948** (Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, 2006).

Książka zawiera 7 opracowań, w tym pierwsze, wprowadzające, dotyczy całych międzywojennych ziem wschodnich, dwie Małopolski Wschodniej, jedna (ściślej półtora!) Wołynia, pozostałe trzy ziem północno-wschodnich. To pierwsze, S. Ciesielskiego **Kresy Wschodnie – dynamika przemian narodowościowych**, rejestruje fakty (procesy i liczby) z lat II wojny, bez ich komentowania.

Obie prace na temat Małopolski Wschodniej napisał Grzegorz Hryciuk: **Zmiany ludnościowe i narodowościowe w Galicji**

Wschodniej i na Wołyniu w latach 1931–1939 oraz Przemiany ludnościowe w Galicji Wschodniej w latach 1939–1948. Są one zapewne skrótem książki Hryciuka, o której mowa w poprzedniej notatce. Temat ten zostanie więc omówiony w jednym z kolejnych numerów CL.

Chcemy zwrócić uwagę, że i tu oczywiście unika się nazwy **Małopolska Wschodnia**, stosując uporzyczywie **Galicję Wschodnią**, choć wcale nie chodzi o czasy zaboru austriackiego. Gdyby to natomiast dotyczyło czasów przedrozbiorowych, to – ani chybi – używano by równie uporzyczywie nazwy **województwo ruskie**. A przecież nazwę **Małopolska** rozciągnięto na tę ziemię już w XVI wieku. Za mało naukowo? Czy może dla Panów Historyków pojęcie **godności narodowej** to dźwięk pusty?

📖 **Tulące dzieci**, książka **Hanki Ordonówny**, wspaniałej artystki i wspaniałego człowieka, wyszła po raz pierwszy jeszcze na gorąco, bo w 1948 r. w Bejrucie (wydał ją polski Instytut Literacki, który tam wtedy jeszcze działał – siłami rodaków, wypuszczonych z bolszewickiego raju w ostatnich latach wojny) – autorka podpisała się wtedy pseudonimem **Weronika Hort**. Wznowień było zdaje się kilka, ale do naszych rąk dotarło najnowsze z 2005 roku (Wydawnictwo LTW, Dziekanów Leśny).


Autorka opowiada o dzieciach, które znalazły się na **nieludzkiej ziemi** same – zabrane rodzinom jeszcze w Polsce w 1940 r., albo odcięte lub osierocone już po wywiezieniu. Przykładem tej pierwszej sytuacji jest historia 10-letniego Krzysztofa ze Lwowa, który całkiem przypadkowo znalazł się w pobliżu wywożonej obcej rodziny i – pomimo wyjaśnień i próśb – został wraz z nią zabrany.

Hanka Ordonówna znalazła się w chwili wejścia Sowietów do Polski na Ziemiach Wschodnich (jej mężem był hr. Tyszkiewicz z Wileńszczyzny). Została aresztowana i wywieziona do obozu w Uzbekistanie. Po układzie Sikorski–Majski w 1941 r. wypuszczono ją, a po dotarciu do armii gen. Andersa podjęła się ratowania polskich dzieci.



W książce przedstawia autorka niesłychanie dramatyczne losy tych dzieci, warunki, w jakich spędziły rok lub dwa – tułając się lub w sowieckich *dietdomach* i oczywiście nie ucząc się, oraz jako konsekwencję – ich stan fizyczny, psychiczny, moralny. Udało jej się odnaleźć i zgromadzić kilkadziesiąt dzieci, a następnie w 1942 r. ewakuować je przez Iran do Indii i Palestyny. Adaptacja do nowych warunków, też przecież nienormalnych, przebiegała równie – choć inaczej – dramatycznie. Dorastające dzieci żyły w ciągłej niepewności co do swojej sytuacji i przyszłości, nie umiały się znaleźć w otaczającej je rzeczywistości i coraz to innych warunkach.


Opowieść składa się z rozdziałów – jakby osobnych opowiadań, nie ma więc mowy o dokładniejszej relacji na temat dalszych losów jednostkowych czy grupowych nieszczęśliwych dzieci. Niemniej przedstawione urywki dramatów są wstrząsające.

 Dopiero teraz natknęliśmy się na wydany przed kilku laty album o dość skomplikowanym tytule: **Podróże po cmentarzach Ukrainy – dawnej Małopolski Wschodniej**, tom I. *Województwo Stanisławowskie* (wyd. Ośrodek Ochrony Zabytków, Warszawa 1998), autorstwa dobrze nam znanego z paru wydawnictw i licznych artykułów w różnych pismach **Zbigniewa Hausera**. Jest to owoc inwentaryzacji resztek polskich obiektów cmentarnych – grobowców, nagrobków, pomników i niewielu kaplic (mogił ziemnych oczywiście dawno nie ma) na starych cmentarzach miast, miasteczek i wsi. Jest też pewna liczba zdjęć.

Materiał to bezcenny, bo obiekty nagrobne giną w tempie przerażającym. W wykazach nie ma już kilku nagrobków, które sfotografowaliśmy w połowie lat 90. (albo nie zauważył ich autor, co mało prawdopodobne). Przykładem: pomnik Rypsymy Żarugiewiczowej w Kutach lub Windakiewiczza w Kosowie.

Nakład rozszedł się prawie całkowicie, książka dostępna jest jeszcze w niektórych antykwariatach.


Warto zwrócić uwagę, że mamy do czynienia z kolejną serią wydawnictw dokumentujących zabytki polskości, bo omawiany tom opisany jest jako I, co oznacza, że za nim pójdą kolejne. To wspaniale!

 Wydawnictwo Ośrodka „Wołanie z Wołynia” – to samo, które wydaje czasopismo o identycznym tytule – nabrało ogromnego rozmachu. Wyszło już ponad 40 tomików na różne tematy, ale tu omawiamy tom 39 – **Powiat buczacki i jego zabytki**, autorstwa **Stanisława J. Kowalskiego**. Tytułem tym – nie po raz pierwszy zresztą – wychodzi Wydawnictwo, kierowane przez ks. W.J. Kowalowa, poza Wołyń, stając się tym samym godną uznania ponadlokalną placówką kulturalną Ziemi Kresowych.

Ziemia Buczacka to ważny region. W granicach powiatu mieszczą się – poza stołecznym Buczaczem – znane i ważne miejscowości historyczne, poczynając od Jazłowca, poprzez Monasterzyska, Złoty Potok, Koropiec, Korościatyn, Barysz, po wiele mniejszych, lecz wartych pamiętania. Tędy małowicznymi jarami płyną rzeki – od Dniestru począwszy (to południowa granica powiatu), Złota Lipa, Koropiec, Strypa. Ziemię Buczacką przecina ważna linia kolejowa – transwersalna, biegnąca pod Karpatami od Żywca po graniczny Husiatyn (przypominamy artykuł w CL 3/05, s. 46).

Autor porusza chyba wszystkie aspekty geografii, historii i kultury Buczacza i jego Ziemi, jego ludności, w tym wiele o Ormianach. Rozpiętość czasowa szeroka, ale na pewno brakuje wiadomości o epoce najdawniejszej (w skali naszej części Europy naturalnie) – o zachodniosłowiańskich Lędzianach, którzy tę ziemię zamieszkiwali, zanim napłynęli tu Rusini, pchani na zachód przez Mongołów. Nie jest oczywiście winą autora, że w czasie gdy to pisał, nasza wiedza na ten temat była skromna albo żadna. Nie mógł więc podkreślić, że Podole należało do ziem **p r a p o l s k i c h**.

Wiele informacji o znakomitych zabytkach, z klejnotem architektury rokokowej, najpiękniejszym jej przykładem na ziemiach polskich – buczackim ratuszem – na czele.

 Wydana przed pięcioma laty, także (podobnie jak książka wyżej opisana) dopiero teraz dotarła do nas: **Bazylika Metropolitalna obrządku łacińskiego i kaplica Boimów we Lwowie**. Jest to kolejny – po M. Dzieduszyckim, M. Czubie i J. Petrusie – opis Katedry Łacińskiej, opracowany przez **Jurija i Jadwigę Smirnow** (wyd. „San Set, Przemyśl 2001). W podtytule czytamy: *Dzie-*



je, architektura i stan obecny – tu dodalibyśmy jeszcze słowo wyposażenie (lub *wystrój wewnętrzny*), ponieważ w książeczce dużo miejsca poświęcono oczywiście ołtarzom, malowidłom ściennym, obrazom, rzeźbom, witrażom, tablicom pamiątkowym itd. W sumie praca nie jest pomyślana jako *sensu stricto* przewodnik po

świętyni, lecz popularnie ujęta monografia, na pewno przydatna również dla bardziej wnikliwych zwiedzających.

Przypomnijmy, że J. Smirnow wydał niedawno monografię lwowskiej Katedry Ormiańskiej, omawianą w CL 1/04, a także biografię twórczyni rzeźby kościelnej Jadwigi Horodyskiej (CL 4/05).

Całkiem niespodziewanym nabytkiem w czasie styczniowego pobytu we Wrocławiu stała się skromniutko wydana (kserowany maszynopis) książeczka wspomnień **Zygmunta Kobaka**, zatytułowana **Z Wysokim Zamkiem za pan brat** (Wrocław 1993). Jest to opowieść z przedwojennych czasów dziecińczych i wczesnochłopięcych autora, spędzonych w rodzinnym domu położonym za lwowską Górą Piaskową, na stoku opadającym ku Zniesieniu. Parohektarowa posiadłość, nazwana Helanką, należała podobno kiedyś do pobliskiego klasztoru św. Wojciecha, później znalazła się kolejno w rękach znanych lwowskich rodzin Zachariwiczów i Stromengerów, a w latach 1920. nabyła ją rodzina autora. Ojciec był inżynierem w Boryslawiu, matka założyła w Helance restauracyjkę z muzyką i tańcami, kortami i huśtawkami. Przyszły jednak czasy światowego kryzysu i w latach 30. Helankę opuszczono. Zajął ją zakonnicę, potem ją podzielono, a dziś jest tam teren wojskowy. Takie dzieje lwowskiego domu.

Wartością książeczki jest niezwykle barwny tok narracji, pełen uroczej liryki, co rzadko się zdarza w podobnych wspomnieniach nieprofesjonalnych autorów. Z opowieści bije autentyzm, ale podany z literacką sprawnością. Czytaliśmy to z ogromną przyjemnością, a zarazem zaciekawieniem losami małego zakątka Lwowa.

Fascynacja Kresami sprowokowała **Alfa** (Alfonsa) **Soczyńskiego** do podjęcia paroczęściowego cyklu książek, opisujących drogę wędrowki po utraconych przez nas obszarach, od Łotwy po Pokucie. Właśnie wyszedł pierwszy tomik pt. **Kresy. Przywracanie pamięci** (Wrocław 2006), a obejmujący (z grubsza) Lwów, Krzemieniec, Podole, Pokucie, Huculszczyznę i wszystko co po drodze.

Autor omawia poszczególne miejscowości na przemierzanej trasie, ich historię, zabytki, krajobrazy, ludzi z nimi związanych, ciekawostki. Trudno jednak tę książkę potraktować jako przewodnik. Raczej jako lekturę przed podejmowaną podróżą lub dla wzbogacenia wiedzy o tamtych niezwykłych stronach.

PS Autor parokrotnie raczy nas w tekście obcymi nazwami typu Iwanofrankiowsk, Werchowy-na itp. Czy nie wystarczyłoby tego – dla celów praktycznych – podać tylko w odsyłaczu?

W Wydawnictwie Biblioteka „Więzi” (Warszawa 2005) ukazała się książka **Szkiłce wspomnień**, której autorką jest **Karolina Lanckorońska**. Książka jest zbiorem szkiców wspomnieniowo-literackich, drukowanych na emigracji w latach 1957–69 oraz w „Tygodniku Powszechnym” 1993–97 (większość). Omawiana pozycja jest trzecią i ostatnią (?) książką pióra K. Lanckorońskiej, a drugą wydaną już po jej śmierci. Dla osób, które czytały *Wspomnienia wojenne* (2001, omawiane w CL S/01), ta książeczka jest doskonałym uzupełnieniem.

Tom zawiera mnóstwo ciekawych informacji o ludziach i sprawach z tzw. minionej epoki. Autorka (1898–2002) przeżyła cały wiek XX, a jej środowisko pochodziło w większości z XIX wieku. Dlatego znała lub była bezpośrednim świadkiem wydarzeń i przemian politycznych, społecznych, obyczajowych. Przez to, że pochodziła z arystokracji, a w dodatku wysoko wykształconej, w kręgu jej znajdowali się ludzie wybitni, piastujący wysokie pozycje, np. Andrzej Potocki, Leon Piniński, obaj Badeniowie, Adam Stefan Sapieha, Władysław Skrzyński, Komorowscy...

Urodzona w Wiedniu i tam wykształcona, spędzała wakacje w rodzinnym majątku Rozdole w Małopolsce Wschodniej. Znała więc dobrze sytuację Galicji. Oto kilka cyta-

tów dotyczących przełomu wieków XIX i XX: *Podczas ostatniego trzydziestolecia XIX w., dzięki zasadniczym zmianom konstytucyjnym w Austrii, otworzyły się bardzo duże możliwości dla rozwoju kultury w Galicji [...] Dobrze przygotowana przez wymagające szkoły średnie młodzież miała dostęp do rozkwitłych znów obu uniwersytetów, Jagiellońskiego i Lwowskiego [...] Władza tej największej prowincji Cesarstwa leżała wyłącznie w rękach polskich. Wybiła się w owych latach grupa ludzi pochodzenia ziemiańskiego, która odegrała najważniejsze role tak w zakresie nauki, jak i administracji. Byli wychowani w dobrobycie [...] wysyłani często do obcych krajów [...] na dłuższe okresy studiów. Wyrobiło to u nich poczucie do kultury ogólnoeuropejskiej [...], a równocześnie obdarzeni byli zmysłem społecznym i reprezentowali wysoki autorytet moralny.*

Wśród rozdziałów dotyczących II wojny światowej i czasów późniejszych, bardzo ciekawe są relacje ze spotkań z kardynałem A.S. Sapiehą, z Ireną i Tadeuszem Komorowskimi, a we Włoszech z ks. Walerianem Meysztońcem i W. Skrzyńskim.

Teksty pisane są stylem zwięzłym i rzeczowym, a równocześnie z dużą życzliwością dla przedstawianych osób. O stosunku do obu okupantów wojennych można wnioskować tylko z niedomowień. Z kart książki wyłania się postać autorki, którą cechują: *siła, powaga, prostota*. Wydaje się, że wzorując się na Klemensie Rudnickim, kierowała się idea: ... byle do końca nie zawieść, honoru nie splamić, wiary nie zgubić... Tych trzech rzeczy nikt nie jest w stanie mu odebrać, te należą wyłącznie do niego.

Książka jest niewielka – 150 stron, 19 krótkich rozdziałów, 16 ilustracji. Przeczytać ją można jednym tchem i na pewno warto. (DTS)

📖 W ostatnim czasie dotarły do nas cztery książeczki o kapłanach ze wschodniomałopolskim rodowodem.

Pierwsza z nich traktuje o ks. Stanisławie Stojałowskim (1845–1911), którego nazwisko – jako prekursora ruchu ludowego w Galicji – było w czasach wczesnego PRL wykorzystywane propagandowo. Jego postać popularyzowano – adresując do środowisk wiejskich – niemal jako księdza patriotę.

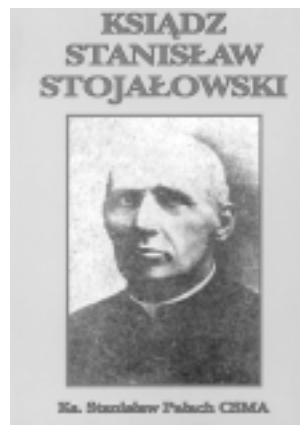
Ostatnio przypomniała ks. Stojałowskiego broszurka ks. Stanisława Pałacha CSMA: **Ksiądz Stanisław Stojałowski. obrońca Ludu Polskiego** (Wydawnictwo Michaliniem, Marki 1999).

Dowiadujemy się, że ów kontrowersyjny kapłan urodził się na podlowskim Zniesieniu w zubożałej rodzinie szlacheckiej. Wstąpił do zakonu jezuitów, gdzie zdobył wykształcenie i przygotowanie do stanu kapłańskiego. Po święceniach, w czasie pobytu studialnego w Belgii, zainteresował się Apostolstwem Modlitwy, które przeniósł po powrocie do Polski. Idea ta pochłonęła go bez reszty i skłoniła do poświęcenia się pracy społecznej w celu podniesienia poziomu bytu i oświaty wśród ludu. Po 12 latach opuścił zakon jezuitów i podjął pracę duszpasterską w archidiecezji lwowskiej. Został wpiery wikariuszem w Gródku Jagiellońskim, potem przy kościele MB Śnieżnej we Lwowie, a w końcu proboszczem w Kulikowie.

Od roku 1875 – za poparciem arcybiskupa lwowskiego – rozpoczął wydawanie dwóch pismek dla ludu polskiego: „Wieniec” o tematyce społecznej i politycznej, oraz: „Pszczółka”, poświęconą celom misyjnym i religijno-moralnym. Ta działalność ks. Stojałowskiego spowodowała wielki rozwój czasopiśmiennictwa ludowego w Galicji i na Śląsku Cieszyńskim. Następnie rozpoczął wydawanie pism dla inteligencji: „Piaś” i „Polska”, oraz dla duchowieństwa „Dzwon”. Założył Bractwo Trzeźwości oraz kolejne pismo: „Gospodarz Wiejski”. Zakładał Kółka Rolnicze oraz zainspirował powołanie w Sejmie Galicyjskim klubu katolicko-ludowego, z którego narodziło się Polskie Stronnictwo Ludowe.

Działalność ta jednak spotkała się z niechęcią konserwatystów, a sufragan lwowski bp Jan Puzyna (późniejszy kardynał krakowski) – po wizytacji kanonicznej w Kulikowie – suspendował ks. Stojałowskiego pod zarzutem zaniedbywania obowiązków duszpasterskich. Oskarżano go o nadużycia, ściągano za rzekomo niepłacone podatki, wielokrotnie przetrzymywano w więzieniu. Zabraniało czytania jego pism.

Wypowiedzi ks. Stojałowskiego miały istotnie wydźwięk radykalny, lecz nigdy nie były niezgodne z nauką Kościoła. Za nagonką na księdza kryła się zapewne



obawa o zmiany społeczne, o wzrost znaczenia organizacji ludowych, dotychczas pozabawionych wpływu na życie polityczne. Wysoko cenili księdza Wincenty Witos.

Ks. Stojałowski żył przez pół roku w ekskomunice. Wreszcie udał się do Rzymu i po złożeniu wyjaśnień papieżowi Leonowi XIII został oczyszczony z zarzutów. Osiadł wtedy w Białej* i tam nadal działał, założył Towarzystwo Szkół Ludowych, narażając się tym razem nacjonalistom niemieckim.

Ostatnie lata spędził ks. Stojałowski w Krakowie, tu zmarł pogodzony z Kościołem i spoczął na cmentarzu Rakowickim.

* Dziś Bielsko-Biała.

W drugiej książeczce pt. **Kochali młodzież – zginęli za wiarę** znajdujemy życiorys błogosławionego Władysława Błądzińskiego, opracowany przez ks. **Edwarda Datę*** (wyd. Michalineum, Marki 1999).

Przyszły kapłan urodził się w 1908 r. w Myślatyczach k. Mościsk, jako syn Jana, organisty w miejscowym kościele i zarazem rolnika. Ponieważ ojciec odumarał go wcześniej, matka (Magdalena z Matuszczaków) oddała go do Zakładu Wychowawczego w Miejscu Piastowym, prowadzonym przez Towarzystwo „Powściągliwość i Praca”. Stamtąd został skierowany do gimnazjum w Pawlikowicach k. Wieliczki, gdzie przygotowywano do stanu duchownego. Tam też związał się ze Zgromadzeniem św. Michała Archanioła (Michalici).

Po maturze wstąpił do Seminarium Duchownego w Przemyślu, ukończył je w 1938 r. i otrzymał święcenia kapłańskie. Powrócił do Pawlikowic i podjął pracę wychowawczą w gimnazjum, które sam ukończył. Po wybuchu wojny rozpoczęła tajne nauczanie. Został jednak w kwietniu '44 aresztowany przez Niemców i wywieziony do obozu w Gross-Rosen. Praca w kamieniołomie wyczerpała jego siły. Przy przenoszeniu ciężkich kamieni zasłabł, a strażnik dobił go.

Ks. Władysław Błądziński pozostawił po sobie opinię wzorowego księdza, doskonałego wykładowcy i wychowawcy – w duchu religijnym i patriotycznym. W obozie wykazał się wielką gorliwością kapłańską, stał się tam autorytetem moralnym. Poniósł męczeńską śmierć, jego szczątki zostały prawdopodobnie spalone.

Po latach jego heroiczność została uznana poprzez beatyfikację, dokonaną przez Jana Pawła II w 1999 r., wśród 108 męczenników II wojny światowej.

* W tej samej książeczce omówiono drugiego błogosławionego michalite, ofiarę niemieckiego terroru, ks. Wojciecha Nierychlewskiego, rodem z Wielkopolski.

Trzecia książeczka to: **Wspomnienie o zamordowanym ks. Stanisławie Szczepankiewiczu, proboszczu Iłhrowicy. Żył i umarł dla innych**. Napisał Jan Białowąg (wyd. „Polihymnia”, Lublin 2004). W samą wigilię 1944 r. Iłhrowica – położona 16 km na północ od Tarnopola – została napadnięta przez nacjonalistów ukraińskich – uśmiercono w okrutny sposób 89 osób, wśród nich Księdza, z matką, siostrą i bratem. Omawiana książka stanowi uzupełnienie książki tego samego autora (rodem z tejże wsi) pt. **Krwawa podolska wigilia w Iłhrowicy 1944 r.** (wyd. 2003).

Ks. Stanisław ukończył studia teologiczne i otrzymał święcenia na UJK we Lwowie w 1932 r. (autor nie podaje daty ani miejsca urodzenia – jedynie to, że jego ojciec pracował jako woźny w Sądzie Powiatowym w Radziechowie). Pierwszą placówką ks. Szczepankiewicza był Zborów – pełnił tam funkcję wikarego, ale już w 1934 r. został proboszczem w Iłhrowicy.

Ksiądz miał – poza pracą duszpasterską – dwa zainteresowania: medycynę oraz działalność społeczną. Wiedzę medyczną nabył równoległe do studiów na teologii. Doszedł do wprawy w poradach lekarskich, a udzielał ich bez względu na narodowość zgłaszających się o pomoc. Pasja społecznikowska objawiła się przede wszystkim w założeniu w Iłhrowicy Kasy Stefczyka oraz współdziałanie w założeniu młyna dla dobra mieszkańców wsi. Jedno i drugie zyskało mu wdzięczność i szacunek miejscowej ludności.

Kiedy zaczęła się napaść na wieś, ksiądz uruchomił sygnaturkę na kościele. Jej dźwięk pozwolił na ucieczkę pewnej liczby Polaków – w tym autora, młodego chłopca. Masakry dokonali Ukraińcy strzelaniem i rąbaniem siekierami. Gdy nazajutrz rodziny grzebały zamordowanych, zwrócono się do księdza grekokatolickiego (o nazwisku Hałas), by



przyszedł i pomodlił się za ofiary – ale odmówił.

Grób Księdza w Iłhrowicy jest zadbane i często nawiedzany przez ocalałych wygnañców z Iłhrowicy, rozrzuconych dziś po całym obszarze RP.

📖 Wreszcie czwarta książeczka dotyczy postaci dobrze nam już znanej – Sługi Bożego Serafina Kaszuby, wydana przez Bibliotekę „Wołanie z Wołynia”, tom 45. (Biały Dunajec–Ostróg 2005): **Życie heroiczne i myśl Ojca Serafina Kaszuby**. Napisała ją jako pracę magisterską na Wydziale Teologicznym im. Stefana Wyszyńskiego w Warszawie – **Swietłana Pyza**.

Książka na czasby, bo przecież toczy się proces beatyfikacyjny SB ojca Serafina. Autorka ujmuje temat w trzech rozdziałach: I. Sytuacja Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie w czasie rządów komunistycznych, II. O. Serafin Kaszuba – apostoł porzuczonych, III. Duchowa sylwetka SB o. Serafina Kaszuby.

📖 Jesteśmy pełni uznania dla działalności Oddziału Buczaczn TMLiKPW we Wrocławiu. Niedawno omawialiśmy bardzo ważną dla dokumentowania polskości pracę pt. *Ostatni spoczynek Buczaczan* (CL 3/05), teraz otrzymaliśmy dalsze wydawnictwa.

Przed wszystkim jest to piękny i znakomicie wydany album fotograficzny **Monasterzyska wczoraj i dziś**, przygotowany przez **Zbigniewa Żyromskiego** (Wrocław 2004). Album zawiera ponad 200 rozmaitych ilustracji: reprodukcji starych fotografii i widokówek, grafik, mapek, pieczęci i herbów, a także nowych zdjęć miasteczka oraz działających na jego rzecz ekspatriantów. Najstarsze ilustracje to mapka z XVII w. oraz litografia Bogusza Stęczyńskiego z XIX w. – widok Monasterzysk. Po nich cała seria widoków z początku XX w., ale największe zdjęć miasteczka i jego mieszkańców z lat międzywojennych i z lat ostatnich. Widać, że miasto się unowocześniło, jednak wiele obiektów uległo

architektonicznej deformacji: przede wszystkim bogaty kiedyś kościół, pozbawiony wspaniałych rzeźb Pinsla, całkowicie zdeformowany, praktycznie nieistniejący pałac.

Istotnym uzupełnieniem albumu są teksty Z. Żyromskiego i Janiny Maskulanis o historii Podola i miasta z kalendarium, o mieszkańcach sprzed i po ekspatriacji.

📖 Kolejnym wydawnictwem Buczaczan jest tomik poetycki, zatytułowany **Buczaczanie piszą wiersze**, a zebrał je **Władysław Szklarz** (Wrocław 2005).

W książce (o ponad 200 stronach) znalazło się przeszło 120 wierszy, a niektóre mają rozmiary wręcz wielostronicowych poematów. Jakość bardzo zróżnicowana: prawdziwa (nawet wielka) poezja i całkiem amatorska, a pomiędzy nimi sporo dobrych wierszy. Co do formy: tradycyjna z rymami, nawet sonety, ale sporo pisanych swobodnie. Pośród „wielkich”: Kornela Ujejskiego (rodem z Beremian w powiecie buczackim) – *Skargi Jeremiego, czyli Chorał*; Kazimierza Wierzyńskiego *Litania Ziemi Lwowskiej* (autor nie buczaczanin, ale to o Jazłowcu). I dobrze już znany wiersz Mariana Zemana: *Kłaniam się Tobie, Ziemi Podolska...* (czy autor to buczaczanin? Szkoda, że nie podano notek biograficznych – przecież warto coś wiedzieć o twórcach). Są też utwory okazjonalne: Kazimierza Kulasa *Na 80-lecie ks. infułata Ludwika Rutyny, Kołęda na Boże Narodzenie* itd. Dużo o historii i ojczystych miejscach: najwięcej o Buczaczu, o Jazłowcu, Monasterzyskach, o Strypie... Spodobał się nam wiersz Marii Zamory:

PRZYWIEŹCIE MI Z OJCZYZNY

*Przywieźcie
zapach liści na wiosnę,
kwiat różany spod płotka,
trochę piasku znad Strypy,
z Fedoru dwie stokrotki.*

*Niewiele pragnę, niewiele,
domu białego zwyczaję,
te bzy pachnące majem,
i sygnaturkę w niedziele.*


*Kroki na mostach Buczacza,
Trzech Wieszczy ducha z gimnazjum,
rozwgar młodzieży, gdy razem,
w bramy kościoła wkracza.*

*Wszystko, co było w mieście –
przywieźcie...*



Ratusz?

*Nie! Nie zabierajcie niczego,
bo przecież to nie jest blisko.
Nie bierzcie nic z miasta mego,
Niech zostanie tam wszystko!*

 Całkiem inny rodzaj literatury reprezentuje przekład z jęz. ukraińskiego: **Szemrany świętek starego Lwowa** (Dom Wydawniczy „Bellona”, Warszawa 2006), autorstwa Andrija Kozyckiego (a może Kozyckoho lub Kozyckija?) i Stepana Bilostockiego (te same rozterki) – lepiej więc przywrócić właściwą formę: **Andrzeja Kozickiego i Stefana Białostockiego**. Tłumaczyła na polski Agata Buczek – do sprawy przekładu powrócimy.

Książka jest dobra, bo ciekawa i wcale nie próbuje polskiego starego Lwowa przeobrazić na jakiś inny. Są to obrazki życia miasta w ubiegłych wiekach (po XIX) – ale nie tego najbardziej nam znanego – eleganckiego, intelektualnego czy artystycznego, lecz tego z drugiej strony medalu – plebejskiego, ubogiego i przestępczego (jakież miasto na świecie nie ma tej drugiej strony?). Mowa więc o kryminalach i lochach, policji i katach, o burdelach i prostytutkach, o żebrakach i naciągaczach, o knajpach, pijaczynach, złodziejaskach i zabijakach, o masonach i szpiegach oraz jeszcze o wielu

innych sprawach krew w żyłach mrozących. Omawiane osoby należą oczywiście do różnych narodowości. Więc wszystko w porządku.

A przekład? Tłumaczenie może być uznane za grubsza za prawidłowe, ale co krok wychodzą jakieś kwiatki. Ogólnie odnosi się wrażenie, że tłumaczka słabo zna realia historyczne i lwowskie, a czego nie wie – tłumaczy żywcem z ukraińskiego (substrat ukraiński?) lub dobiera słowa nie bardzo przystające. Przykładem pierwsze słowo tytułu książki: *Szemrany...* We Lwowie takie słowo nie było znane (sprawdziliśmy u Kurzowej), to typowy *warszawizm*, rodem z Wiecha. Nazwiska i nazwy: nie *Bazjuk*, tylko Baziuk, nie *Hołowsko*, lecz Hołosko, nie *Kalicza Góra*, tylko *Kalecza*. Więzienie dla dłużników to podobno *szafliwka* – w naszym bałaku nie znane. Nie *budynek*, Dąbczańskiego, lecz *d o m* (w tym znaczeniu *budynek* to typowy rusycyzm).

Po naszymu nie *burgraf*, lecz burgrabia. O cesarzu nie można mówić *Jego Wysokość*, lecz *Jego Cesarska Mość*, a *Jego* lub *Jej Wysokość* to może być ktoś z rodziny cesarskiej lub królewskiej, np. następca tronu, siostra króla lub tp. A co to jest *metr* elegancji (s. 38)? Zapewne z francuskiego *maitre*, ale po polsku tak się nie mówi. Raczej *wzór* albo *arbiter*...

Witold Szolginia nie był krakowskim architektem, lecz lwowsko-warszawskim.

Danuta Trylska-Siekańska (DTS),
Stanisław Sochaniewicz

Wertując wydawnictwa

Ostatnio sporo było w CL o Buczaczu. I jeszcze pewien korespondent przysłał nam dwa wypiski z *Najnowszej Encyklopedii Powszechnej* (Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2005). Oto, co tam przeczytaliśmy:

Buczacz: miasto (14 tys. mieszk. 2002) na Ukrainie (obw. tarnopolski), nad Strypą; prawa miejskie w XIV w.; w XVIII w. potężna twierdza, od 1772 w zaborze austr., 1919–39 w Polsce, od IX 1939 do 1991 w Ukraińskiej SSR.

Niestety nie dowiedzieliśmy się, co było przed 1772 rokiem. Nie wątpimy, że ha-

sło to było *zrzynane* z jakiejś ukraińskiej encyklopedii albo przewodnika. Nie napomknęto nawet o zawartym w 1672 r. traktacie, mocą którego Turcja zajęła część ziem ukraińskich (stąd owe pamiątki tureckie w Kamieńcu Podolskim), odebrane po kilkunastu latach. A główne zabytki – jak przy innych miastach? Polskie wydawnictwo wykazało tu brak odpowiedzialności i ambicji.

Zajrzeliśmy do jeszcze innego hasła podobnego typu:

Brzeżany (Bereżany): miasto (18 tys. mieszk. 1991) na Ukrainie (obw. żytomierski) nad rz. Złota Lipa; w poł. XIX w. zamek zamieniony na koszary i magazyny wojsk., ob. w stanie ruiny; kościół farny, po II wojnie św. sala gimnastyczna, cerkiew ormiańska, cerkiew Świętej Trójcy (XVII w.), ratusz z 1811.

Wspaniałe informacje: i ta o obwodzie żytomierskim (ignoranci nie sprawdzili nawet położenia!), i ta o zamku – jednym z najwspanialszych dzieł renesansu w Polsce (ze sławnym kościołem zamkowym), i ta o kościele farnym – wszak późnogotyckim (ale nie pominięto bliższej informacji o cerkwi obrządku wschodniego), i ta o ormiańskim kościele, który nie nazywa się wcale cerkwią. Ciekawe, czy widzieli to specjaliści od historii architektury i sztuki? Za jedynie ważne wiadomości o Brzeżanach uznano takie, które dla historycznego znaczenia Brzeżan są raczej marginalne (choć są to bolesne fakty). Wymieniono mało istotny ratusz w Brzeżanach, natomiast przy Buczaczu pominięto jego najważniejszy klejnot w skali ogólnopolskiej – rokokowy ratusz (a także inne zabytki). Jednym słowem daleko posunięta niekompetencja (a może po prostu swoista wybiórczość?) i dezinformacja na wielu planach.

Tu podejrzenie (niebezpodstawne): charakter uporczywie powtarzających się takich właśnie „błędów” sugeruje staranne celowe zamazywanie lub mieszanie historycznych faktów. To nie wygląda tylko na ignorancję. Może ktoś to narzucił, a może „prywatna inicjatywa” osoby opracowującej? Wrażenie takie umacnia porównanie notek o zbrodniarzach niemieckich, np. Eichmannie, z notką o mniejszym, a może jeszcze większym zbrodniarzu – Banderze, bo tamten działał na rozkaz Hitlera, a ten z własnej inicjatywy.

Nie ujawniono nazwisk osób, które to opiniowały. A może nikt?

Wyjątkowy bubel. I drogi, bo bogato wydany. Szkoda pieniędzy na kupno.

➔ W „Rzeczypospolitej” 66/06 artykuł J. Matusza o **Karcie Polaka dla rodaków zamieszkałych w państwie Ukraina**. Sprawa nie nowa, ale staje się tym bardziej istotna w związku ze zbliżającym się wejściem Polski do układu z Schengen, który spowoduje, że Polacy zza wschodniej granicy, by wjechać do RP, będą musieli wyrabiać drogie wizy. Prezeska Federacji Organizacji Polskich nU. p. Emilia Chmielowa zwraca uwagę, że *dla znacznej części, zwłaszcza osób starszych, kontakt z ojczystym krajem będzie wtedy trudniejszy*. Inny aspekt porusza p. Władysław Strutyński, prezes ZG Tow. Kultury Polskiej w Czerniowcach: *prace nad*

Kartą wymagają ostrożności i dyplomatycznego wyczucia. Karta da Polakom przede wszystkim święty spokój na granicy, przestaną z nas zdzierać pieniądze i traktować jak cudzoziemców. Ale w kategoriach politycznych taki dokument może zostać odebrany przez Ukraińców jako nadanie nam – obywatelom Ukrainy – specjalnych przywilejów. Dlatego też należy znaleźć dyplomatyczne rozwiązanie. Tak, żeby pomóc Polakom ze Wschodu i jednocześnie nie doprowadzić do zadrążnienia stosunków z Ukraińcami. Wilk ma być syty i owca cała.

Artykuł ma wydźwięk pozytywny, niestety nadano mu brzydki tytuł: *Polacy ze Wschodu znów do ojczyzny po prośbie*. Podejrzewamy, że to może ostatni wyczyn odchodzącego na szczęście redaktora naczelnego Grzegorza Gaudena, który objął na czas pewien doskonałą niegdyś gazetę, redagowaną przez zmarłego niedawno świetnego redaktora, Łukasiewicza. Ufamy, że następny będzie bliższy postawie Łukasiewicza.

Z ostatniej chwili! Ponieważ Ł. Gauden nie odchodzi z redakcji „Rzeczypospolitej”, a równocześnie pojawiła się w Polsce nowa ogólnopolska i bardzo dobra gazeta pt. „Dziennik” – możemy ze spokojem zrezygnować z tamtej, coraz bardziej obcej nam ideowo.

➔ W swym cotygodniowym felietonie w krakowskim „Dzienniku Polskim” (281/05) W.A. Serczyk opisuje problem pewnej pani, **urodzonej w Zbarażu** w 1942 r., której w PRL-owskim dowodzie osobistym wpisano (podobnie jak nam wszystkim): „Zbaraż ZSRR”. [...] *Zbaraż i ZSRR? Tak po prostu, jedno z drugim, do kupy razem? Miejsce, jakie zapisało się w historii bohaterskim i skutecznym oporem obrońców przed Kozakami i ordą tatarską w 1649 r., potem w niezapomniany sposób opiewanym na kartach Ogniem i mieczem przez Henryka Sienkiewicza? O tym właśnie Zbarażu w Starożytnej Polsce Michała Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego znajdziemy przecież słowa: Gniazdo rycerskimi dzieły sławnego, zamożnego i dobrze ojczyźnie zasłużonego domu ks. Zbaraskich, a na koniec, jak memento: Ruiny zamku świadczą o dawnej jego wspaniałości i wiekami niespożytej chwale garstki rycerstwa. I teraz ni stąd, ni zowąd „ZSRR”.*

Kiedy ostatnio powstał problem nowego dowodu osobistego, urzędniczka uznała, że

trzeba napisać identycznie, ze względu na przynależność państwową owego miasta. Ba, ale kiedy ta pani się rodziła, to nie było tam ani ZSRR, ani Polski, lecz niemiecki „Reichskommissariat Ukraine”!

Cóż, takie bywają urzędniczki. Ale tu przypomnieliśmy nam zdanie (przytoczone w poprzednim numerze CL) ks. bpa Trofińska z Łucka, który nam objawił całkiem nowe spojrzenie nie tylko na historię, ale i na istotę świętości. Kto zapomniał, niech sięgnie do poprzedniego numeru CL (1/06, s. 52).

➔ Nie dziwi nas – bo przyzwyczailiśmy się – gdy dowiadujemy się o antypolskiej pisaniu w gazetach ukraińskich, ściślej *lwowskich*. Antypolskich – to nie znaczy przeciw państwu polskiemu ani całemu narodowi, lecz chyba gorzej – bo podłej: przeciw całkiem bezbronny lokalnym środowiskom Polaków żyjącym po tamtej stronie jałtańskiego kordonu, przeciw ich narodowym wspólnotom, organizacjom, działaczom, a nawet nielicznym pozostałym kościołom, gdzie zbierają się Polacy.

Jak jednak oceniać, gdy taki właśnie obrzydliwy materiał, działający na szkodę – materialną i moralną – pogwałconej przez ubiegłe dziesięciolecie polskość, ukazuje się w piśmie krajowym? Oto w „Polityce” 11/05 zamieszczono artykuł niejakiej Natalii Gańko pt. *Kościół niezgody*, a wymierzony przeciw polskiej wspólnoty, ubiegającej się o **zwrot lwowskiego kościoła św. Marii Magdaleny**. Nie wiemy, kim jest Natalia Gańko (gdzie ją znaleziono, i po co?), a czytając ten artykuł, podejrzewamy – mówiąc delikatnie – o negatywny stosunek do tzw. mniejszości polskiej czy do Polaków w ogóle. Artykuł utrzymany jest w tonie kpinki, a wzmacniają ją dobrane ilustracje i cytaty.

Nie wszyscy może Czytelnicy wiedzą, o co chodzi. Oto kościół św. MM został we wczesnych latach 60. zamieniony na salę koncertową, bo posiada najlepsze w całym państwie Ukraina organy (nie zdolano ich zniszczyć albo wynieść do sal koncertowych), a o ich klasie czytamy w artykule parokrotnie.

Chodzi więc właśnie o organy, i w tym celu wyszydza się społeczność polską we Lwowie, która chce odzyskać kościół. Nie ulega wątpliwości, że celem artykułu

w krajowym tygodniku jest więc ośmieszenie wobec opinii publicznej w RP starych babek (polskich oczywiście), które egzorcyzmami i z kiczowatymi figurkami stają przeciw „wysokiej kulturze”.

Taką niewybredną drogą argumentowania wybierają sobie ukraińscy nacjonaliści. Ich brzydki interes jesteśmy w stanie zrozumieć, bo to ich interes. Trudno jednak zrozumieć, dlaczego polskie czasopismo – co prawda o komunistycznym rodowodzie – pozwala sobie na publikację tak obrzydliwej napaści (tak: mniej czy bardziej zawołanej napaści) na niedobitki polskość we Lwowie.

Obywatelom redaktorom z „Polityki” pragniemy zwrócić uwagę (może sami nie zauważyli) na taki właśnie generalnie stosunek do Polaków w państwach ukraińskim, białoruskim i litewskim. I nie zdarza się, by w prasie tamtych państw można było wydrukować jakiegokolwiek materiały poniżające ich mniejszości narodowe w RP.

Kim są więc redaktorzy „Polityki”? A Natalia Gańko?

➔ **Najnowsze numery „Na Placówce”** (*niezależne pismo regionalne obozu niepodległościowego*, nr 4/05 i 1/06) przynoszą jak zwykle sporo materiału świadczącego o pamięci o Ziemiach Wschodnich. W obu przede wszystkim: *Nasze Kresy – strona poświęcona Kresom Wschodnim oderwanym od Polski w wyniku zbrodniczej napaści sąsiadów i zdrady sojuszników*. Winiętka: rysunek panoramiczny Lwowa, obok motto: *Gdziekolwiek nas życie zagnało / Tam czeka rodzinny nasz próg / Pół serca we Lwowie zostało / Do Lwowa wrócimy, da Bóg!* Niżej wiersze: w pierwszym z nich Józefa Tęczy (Dartówko), w drugim *Rozmowa z księżycem* Mariana Hemara, przeniesiona z naszego kwartalnika (3/05), co oczywiście lojalnie wyjaśniono.

Ponadto – w pierwszym o *Karcie Polaka dla Kresowian* – redakcja silnie popiera premiera Marcinkiewicza, który powołał specjalny zespół roboczy w celu opracowania i wdrożenia takiego dokumentu, który ułatwiłby im przyjazdy do Kraju, dostęp do szkół publicznych i opiekę medyczną – jak dla obywateli RP. W drugim duże ogłoszenie na s. 4 okładki o majowej wycieczce do Lwowa i Krzemieńca.

Dobrze mieć takich przyjaciół na Podhalu! Dziękujemy.

➔ Jest takie czasopismo „Wiosło” – zapewne organ naszych kajakarzy. W numerze 2–3/05 ukazała się tam **relacja o spływie Dniestrem**, napisana przez Celinę Mróz pt. *Przełomy Dniestru, przełomy historii*. Rzecz napisana sympatycznie i zachęcająco, jednak zwraca uwagę zerowa orientacja autorki w sprawach geograficzno-historycznych tamtych stron – niestety nie do końca wyprostowana.

Już pierwsze słowa artykułu bulwersują: *Ze zdziwieniem odkryliśmy, że nad Dniestrem leży Halicz, Zaleszczyki [!] i Chocim [!], a w pobliżu znajduje się Lwów [!!!], Stanisławów i Kamieniec Podolski*. Z taką rozbijającą szczerością spotykamy się w relacji parokrotnie, jednak autorka zrobiła wysiłek, by swoją *pokoleniową* ignorancję pokonać. Wzięła się więc nie tylko za *Trylogię*, ale i za *Historię Polski* Jasionicy, odtwarzając z niej dzieje Księstwa Halickiego i przejścia tych ziem przez Kazimierza Wielkiego. Niestety wysiłek ten nie mógł być w pełni skuteczny, bo Jasionica pisał swoją historię przed kilkudziesięciu laty, a dziś wiemy o wiele więcej, ponieważ została już szczęśliwie przełamana dezinformacja o praruskości tamtego obszaru. Niestety w szkołach nikt jeszcze nie uczy o Lędzianach i o tym, że Kazimierz Wielki ten kraj pra-Polaków nie zdobył, lecz dla Polski odebrał.

Autorka zachwycała się krajobrazem i zabytkami – poznawała je i opisała z pełnym entuzjazmem. Podkreśla dobre nastawienie zwykłych ludzi i poczucie bezpieczeństwa. Było ich troje – płynęli kajakami od Rozwadowa (rejon Mikołajowa), po drodze zwiedzali miasteczka i zamki: Halicz, Rakowiec, Zaleszczyki, Okopy św. Trójcy, Żwaniec, Chocim, Kamieniec Podolski, a zakończyli w Mohylowie (już za Zbruczem).

➔ Pan Wojciech Wilczek z Zakopanego przysłał nam niezwykle ciekawy i pięknie wydany numer 4/05 **czasopisma tatrzańskiego, zatytułowanego „Tatry TPN”**, dotychczas zupełnie nam nieznanego (na nasze usprawiedliwienie – kwartalnik ten wychodzi od niedawna. W numeracji ciągłej to dopiero nr 14). Jest tam artykuł p. Wilczka zatytułowany: *Łyczakowska Księża Tatr*. Na samym wstępie wymienia najważniejsze nekropolie polskie, na których

spoczywają wielcy miłośnicy Tatr: krakowska Skałka i Rakowice, Powązki w Warszawie i Łyczaków.

Czytamy więc liczne nazwiska pochowanych na Łyczakowie literatów, malarzy i rzeźbiarzy, naukowców, którzy w swoim życiu mieli taki czy inny związek z Tatrami. A wreszcie tatarników, a wśród nich przede wszystkim Romana Kordysa, inicjatora Karpackiego Towarzystwa Narciarzy (TPN). Wśród naukowców czołowe miejsca zajmuje Oswald Balzer, obrońca Morskiego Oka; wśród literatów Seweryn Goszczyński. W sumie było ich wielu.

Autor artykułu zwraca się do nas z prośbą o ewentualne wskazanie dokładnych miejsc pochówku (nr pola) następujących osób: Andrzej Bronisław Grabowski, malarz; ks. Eugeniusz Janota, tatarnik, autor przewodników; Zygmunt Koźmiński, zoolog i hydrobiolog. W sposób szczególny Autor zainteresowany jest miejscem spoczynku Gustawa Lettnera – w tej sprawie zamieszczamy osobny apel.

➔ Przeglądając wydawany w Krakowie Tygodnik Rodzin Katolickich „Źródło” z okresu jesień 2004 – luty 2006 (i zapewne dalej), natrafia się na **cykl reportaży Marka A. Koprowskiego** z jego wędrowek po terenach byłego Związku Sowieckiego. Autor dotarł do miejscowości, gdzie żyją Polacy lub ich potomkowie i gdzie działają parafie rzymskokatolickie. W swych relacjach pisze o historii, o korzeniach tamtejszych mieszkańców i o współczesnym życiu wspólnoty. Bardzo ciekawe.

Najwięcej artykułów dotyczy terenów nam najbliższych, tj. Wołynia i Podola, ale jest i o Kazachstanie, Dalekim Wschodzie i dalekiej Północy, o Irkucku, Moskwie i Petersburgu. W CL 1/05 pisaliśmy o książce tegoż autora pt. *Wołynia dzień dzisiejszy*, może więc będzie następny tom? (DTS)

➔ Natrafiliśmy na nieznaną nam dotąd piśmienną wydawaną w Krakowie: „Cuda i łaski Boże. Miesięcznik rodzin katolickich”, które swój nr 2/06 (26) poświęciło **postaci św. abpa Józefa Bilczewskiego**. Mało tam stosunkowo o Lwowie (choć pokazano zdjęcie pałacu arcybiskupiego), najwięcej oczywiście o udokumentowanych cudach Świętego z ostatnich czasów. Jednym z uzdrowionych był

Marcin Gawlik z Wilamowic, który jako 5-letnie dziecko w 1995 r. uległ groźnemu poparzeniu twarzy, grożącemu długotrwałym leczeniem, martwicą, przeszczepami i zniekształceniem twarzy. Tymczasem chłopiec – wbrew opiniom wielu lekarzy – wyszedł z tego bez szwanku. Wyleczenie to uznano za cudowne, przypisując je modlitwom wznoszonym w Wilamowicach poprzez ich krajana, ówczesnego kandydata do chwały ołtarza. Przypadek ten – jako medycznie niewytłumaczalny – został uznany za cud w procesie beatyfikacyjnym Józefa Bilczewskiego.

W 2001 r. na zaproszenie ks. kard. Mariana Jaworskiego rodzina Gawlików z Marcinem udała się do Lwowa na uroczystość beatyfikacji Józefa Bilczewskiego. Na załączonym zdjęciu Ojciec św. błogostawi Marcina, w głębi kardynał Jaworski.

➔ W krakowskim „Dzienniku Polskim” 30/06 znalazła się rozmowa J. Ciosek z Ireną Delmar, aktorką **Teatru Polskiego ZASP w Londynie** oraz prezeską Związku Artystów Scen Polskich za Granicą. I. Delmar opowiada o swoim życiu i działalności artystycznej, a przy okazji wspomina:

[...] *Teatr Polski zrodził się z teatralnych grup żołnierskich: tych z I Korpusu Wojska Polskiego w Szkocji, Czołówki Lotniczej prowadzonej przez Leopolda Skwierczyńskiego i Lwowskiej Fali prowadzonej przez Wiktora Budzyńskiego, pomysłodawcy **Wesołej Lwowskiej Fali ze słynnymi bohaterami Szczepciem i Tońciem**. [...]*

Następnie, przypominając aktorów, na pierwszych miejscach wymienia Zofię Terne (z teatryków warszawskich) i zaraz potem gwiazdy lwowskie Władę Majewską i Renatę Bogdańską-Andersową, a dalej m.in. Fryderyka Jarosiego i in. Głównym reżyserem był oczywiście Marian Hemar, który przygotował ponad 30 premier.

➔ W ciągu ostatnich miesięcy „Nasz Dziennik” w swych sobotnio-niedzielnich numerach prezentuje **sylwetki wybitnych lwowian XX wieku***, pisane przez Piotra Czaratoryskiego-Szilera. Na Boże Narodzenie '05 był *Marian Hemar – człowiek urzeczony polskością*, w styczniu '06 kolejno: *Rudolf Weigl – odkrywca szczepionki przeciwtyfusowej*, *Stefan Banach – wybitny polski matematyk*,

*Kornel Ujejski – piewca narodowy, Wincenty Pol** – twórca „Mohorta”, w lutym: Witold Szolginia – zakochany we Lwowie, Karolina Lanckorońska – wybitny mecenas kultury polskiej, Henryk Arctowski – badacz krain polarnych.*

Cieszymy się, że ND przywraca w naszym narodzie świadomość o lwowskości tych wielkich Polaków. Bo rodacy zapominają o tym coraz bardziej.

* Oczywiście chodzi o wszystkich, którzy byli związani z Małopolską Wschodnią.

** Tę postać dzielimy z Lublinem i Krakowem.

➔ W poprzednim numerze donosiliśmy, że krakowski „Dziennik Polski” drukuje co niedziela słownik – *Kto jest kim w Krakowie* i wymieniliśmy osoby z naszego środowiska tam przedstawione. Oto kolejne (I, II '06): **Barbara Kościak** (członek redakcji CL, kierowniczka Klubu „Zaulek”, gdzie spotykają się co miesiąc krakowscy lwowiaczy); **Henryk Kleinrok** (inżynier, tarnopolanin, działacz Koła Tarnopolan przy TMLiKPW w Krakowie – niestety nie poinformował o tym czytelników); **Leszek Martini** (dr inżynier, prezes Koła Samborzan, redaktor rocznika); **Barbara Czalczyńska** (pisarka, długoletnia prezeska KIK w Krakowie i niemal od początku autorka felietonów w CL).

➔ W nrze 48 s „Dziennika Polskiego” ukazało się ponadto obszernie wspomnienie E. Owsiany o zmarłej niedawno w Krakowie **dr med. Marii Leńczyk** (1918–2005). Urodziła się w Drohobyczu, szkoły skończyła we Lwowie (matura w Gimnazjum Królowej Jadwigi). Rozpoczęła studia na wydziale Matematyczno-Przyrodniczym UJK, lecz zamierzała przenieść się na medycynę – niestety wybuchła II wojna. W obawie przed wywózką rodzina w 1940 r. wyjechała ze Lwowa do GG. Wraz z siostrą należała do AK, uczestniczyła w tajnym nauczaniu. Po wojnie ukończyła studia medyczne w Krakowie, a w latach 50. wyjechała wraz z ekipą polskiego szpitala wojskowego do Korei, by ratować ofiary wojny. Po powrocie pracowała przez wiele lat na oddziale chirurgicznym krakowskiego Instytutu Onkologii, później w Klinice Chirurgicznej AM. Wszędzie tam zyskała najlepszą opinię jako lekarz, operator i dydaktyk obdarzony niezwykłą charyzmą.

W r. 1972 dr Leńczyk została zaproszona przez kardynała Wojtyłę do zespołu lekarzy, który utworzył pierwsze w Polsce Hospicjum św. Łazarza dla terminalnie chorych, głównie onkologicznych. Tam pracowała przez szereg lat, do czasu gdy jej własny stan zdrowia to umożliwiał. Kolejne parę lat spędziła u swej siostry Jadwigi Machnickiej w Dobczycach. A zmarła – w Hospicjum św. Łazarza w Krakowie.

➔ Na wysokości zadania stanęła „Gazeta Krakowska” (z 23 XII '05), drukując sprawiedliwy felieton red. R. Niemca, związany z tegorocznym (2006 r.) jubileuszem 100-lecia słynnych krakowskich klubów, „Cracovii” i „Wisły”. Pisze pan Redaktor:

[...] **Podchodząc z pełną atencją do wielkiej, okrągłej rocznicy naszych klubów, gwoli historycznej sprawiedliwości, należy uprzytomnić współczesnym, że Cracovia i Wisła w chwili narodzin miały we Lwowie... starszą siostrę!** W 1906 liczyła prawie trzy lata i funkcjonowała pod nazwą Czarnych, a wylęgła się z utworzonego przez uczniów I. Szkoły Realnej I. Lwowskiego Klubu Piłki Nożnej – Sławy. Przez całe międzywojenne dwudziestolecie właśnie ten pierwszoligowy klub zażywał zaszczytu pierworodnej organizacji w rodzinie polskiego futbolu. Po poczdamskich decyzjach, w wyniku których miasto Lwów pozostało poza granicami Rzeczypospolitej, było grubą niepoprawnością polityczną oficjalne powoływanie się na to przodownictwo. Ponieważ życie próżni nie znosi, utarła się wiadoma konstelacja o Cracovii i Wiśle (uzurpatorskich, sztucznie postarządzających się klubów nie liczę). Szykując się do dubeltowych uroczystości, my – krakowscy sympatycy sportu – nie możemy przejść obojętnie wobec pamięci o lwowskich klubowych pobratymcach, którym nie dane było święcić [swojego] stulecia.

Niezwykłe szlachetną inicjatywą w tym kontekście popisało się środowisko krakowskich AZS-iaków. Z inicjatywy jego Rady Seniorów, działającej pod przewodnictwem prof. dr. hab. Andrzeja Pelczara, przywrócono należne miejsce w historycznym porządku lwowskiemu Akademickiemu Związkowi Sportowemu. Powstał on w 1906 r. jako AZS Młodzieży Polskiej, a odtworzony w 1922 r. w okresie II Rzeczypospolitej odgrywał czołową rolę, nie tylko w sporcie aka-

demickim. Podczas świątecznego spotkania krakowskich akademików-seniorów uczczone przypadającą niebawem stuletnią rocznicę lwowskiej inicjacji. Zebrani w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego, w obecności JM Rektora prof. dr. hab. Karola Musioła, wysłuchali referatów o genezie AZS, opartego o studentów Uniwersytetu Jana Kazimierza i Politechniki Lwowskiej, a także o jego najważniejszych osiągnięciach sportowych i wychowawczych.

Wymiar moralny spotkania w istocie sprowadził się do dobitnego podkreślenia prawdy historycznej. Tym cenniejsza jest postawa krakowian, że spontanicznie oddali hołd i dali wyraz pierwszeństwa AZS Lwów, chociaż przez 60 lat za datę urodzin AZS uchodziła inicjatywa z roku 1908 (oficjalne zatwierdzenie – 1909), związana nie tylko z naszym miastem, ale i gmachem Collegium Novum. Symboliczne przypomnienie lwowskich korzeni spod znaku Gryfa jest refleksją inspirującą przyszłoroczne obchody [tzn. w 2006 r. – przyp. red.].

Serdecznie dziękujemy p. Redaktorowi za te sprawiedliwe słowa. Jak to miło wreszcie usłyszeć prawdę!

➔ Przed niespełna dwoma laty (CL 3/04) omawialiśmy książkę R. Przybylskiego, *Krzemieniec. Opowieść o rozsądku zwyciężonych*. Książka ta była **nominowana do tegorocznej nagrody „Nike”**, niestety przegrała w konkurencji z książką *Gnój W. Kuczoka*.

Coś w tym jest, prawda?

➔ W codziennym kalendarium „Dziennika Polskiego” (66/06) znaleźliśmy nieoczekiwaną „kropkę nad i” do naszego omówienia książki wydanej przez zatroskanego mecenasa Widackiego na temat niebywałego (jego zdaniem) analfabetyzmu przed wojną na Kresach Wschodnich (patrz CL 1/06, s. 66–68). Otóż w kalendarium pod datą 18 III 1927 czytamy, że **zakończyły się trwające od początku listopada kursy czytania i pisania dla żołnierzy analfabetów. W Krakowie ukończyło je 1299 żołnierzy**. No i bardzo dobrze, tak robiono co roku w całej Polsce.

Danuta Trylska-Siekańska (DTS),
Kazimierz Selda

INTERNET

➔ W internetowym Portalu Miłośników Dawnego Szczecina (!) znaleźliśmy informację o lwowskim pomniku Kornela Ujejskiego, który do tego miasta trafił w 1956, po paru latach – od ekspatriacji – pobytu w parku Wilanowskim w Warszawie. W Szczecinie jest on najstarszym polskim monumentem, stoi na skwerze przy pl. Zwycięstwa, w pobliżu Bramy Portowej. Wyrzeźbił go w 1901 r. Antoni Popiel, a we Lwowie stał na ul. Akademickiej, na wprost Kasyna Miejskiego.

Autor informacji pisze: *Twórczość i działalność polskiego poety nie pasowała jednak do wzorów ideologicznych propagowanych przez PRL. Na fali popaździernikowej odwilży wyrażono wprawdzie zgodę na jego*

postawienie w Szczecinie, ale zrobiono to po cichu. W prasie zabrakło zdjęć i przemówień, które zazwyczaj takim historycznym momentom towarzyszą. Być może władze obawiały się zbyt dużego zainteresowania pomnikiem ze strony mieszkańców. Organizując publiczne odsłonięcie, musiano się liczyć z potrzebą ujawnienia, skąd tak naprawdę przybył on do Szczecina. Wolano więc nie ryzykować i ostatecznie pomnik odsłonięto na kilka dni przed Bożym Narodzeniem, w chwili, w której większość mieszkańców zaprzęgnięta była przygotowaniami do świąt.

Przypomnijmy, że Kornel Ujejski (1823–1897) urodził się w Beremianach w Tarnopolskiem, zmarł w Pawłowie k. Radziechowa. Był autorem „Chorału” – *Z dymem pożarów...* (1847), który w okresie zaborów pełnił funkcję naszego hymnu narodowego. Poeta spoczął na cmentarzu w Pawłowie.

Listy do redakcji



Nadszedł do nas list z dalekiej Australii od p. Kitaszewskiego, do którego dotarły numery CL z roku 2004. Lektura naszego kwartalnika poruszyła w nim nabrzmiałe wspomnienia i żale. Z bardzo długiego listu widać, jak uważnie przez kilkadziesiąt lat śledzi wydarzenia polityczne, dotyczące Polski, a w szczególności Ziemi Wschodnich. Przytacza, kiedy i kto ze światowych decydentów w czasie II wojny światowej ustalał nasze granice, kto próbował oponować Stalinowi (W. Brytania), a kto godził się na warunki Stalina (USA). Sojusznika wręcz nazywa zdrajcami. Pan Kitaszewski pisze:

Zachód bał się przeciwstawić Stalinowi, bo Stalin może będzie chciał znowu dogadać się z Hitlerem lub zwlekać z działaniem na froncie i ciężar wojny spadnie na nich. Sprawa rekompensaty za Ziemię Wsch.[odnie] na Zachodzie była brana, że to ekspansja Rosji na zachód, to Polsce dać jak najmniej, najmniej skrzywdzić Niemców. [...] dając Polsce dalej na zachód, to ekspansja sowietów dalej na zachód, to aby zatrzymać sowiecką ekspansję odmawiali Polsce, ale nie stosowali tej zasady do Ziemi Wschodnich.

...muszę przyznać, że Giedroyc odniósł sukces, bo przez te lata tak zwanej niepodległości sporo przeczytałem pism kresowych, ale nigdzie nie znalazłem ani słowa, aby żądać zwrotu Ziemi Wschodnich, że te ziemie są pod obcym zaborem [...] nasi sojusznicy bez zgody rządu polskiego oddali je Stalinowi.

W drugiej części długiego listu autor daje przykłady tańców w tonie emigracji australijskiej o symbole, o herby na sztandarach lub na ścianach w lokalach oraz o teksty intencji mszalnych. Krytycznie ocenia czasopisma, stowarzyszenia, wypowiedzi, dbanie o tzw. poprawność polityczną, aby nie urazić Ukraińców lub Litwinów. Polemizuje z tymi, którzy pogodzili się ze stanem faktycznym, a sam wierzy w „nierealne mrzonki” i marzy o powrocie Ziemi Wschodnich do Polski.

(Z listu nie wynikają żadne dane biograficzne autora, oprócz tego, że jest już w poważnym wieku i bardzo uczuciowo zaangażowany w sprawy kresowe.)

Pański list bardzo trafił nam do serca. Bardzo dziękujemy, że wybrał Pan nas jako adresatów. List ten zapewne jeszcze wykorzystamy. Serdeczne pozdrowienia i życzenia.

Wielką i miłą niespodzianką było dla nas nadejście przesyłki z Czerniowiec od p. Jaldwigi Kuczabińskiej, byleż – przez trzy ka-

dencje – a dziś honorowej prezeski Towarzystwa Kultury Polskiej w stolicy Bukowiny, Czerniowcach. Panią Jadwigę pamiętamy w Krakowie dobrze z jej parokrotnych tu pobytów na spotkaniach z Polakami zza wschodniego kordonu. Pani Jadwiga napisała do nas tak:

Szanowna Redakcjo! Rzadko dociera do mnie Wasz Kwartalnik. Lecz gdy już dotarł, czytam go po kilkanaście razy, a potem przekazuję koleżankom. Gdy się spotkamy, dyskutujemy na temat przeczytanych artykułów. Tak dużo jest ważnego, ciekawego i problemowego. Dla nas, żyjących poza Krajem, Wasz kwartalnik jest jak dobry łyk źródlanej, czystej wody, której nam tak brak w życiu polonijnym w tym kraju. Dużo dajecie tak nam potrzebnej wiedzy, której my sami zdobyć nie możemy.

Dla mnie Lwów był i nadal jest miastem polskim. A w związku z tym, że moi przodkowie częściowo pochodzili ze Lwowa, pozwalam sobie przekazać moje wiadomości i wspomnienia o rodzinie. Myślę, że jest to nie tylko opowieść rodzinna, również można odczuć klimat życia Polaków na Bukowinie do I i II wojny i po wojnach, jak również w dniach dzisiejszych. Nie jestem historykiem, ale może warto, żeby dzisiejsze pokolenie wiedziało, choć w tak prostej formie, że Polacy żyją poza jej granicami, a osobliwie na Wschodzie. [...] Z całego serca dziękuję w imieniu tutejszych Czytelników i osobiście całemu Zespołowi Kwartalnika za świętą sprawę, którą Wasza praca wykonujecie. I szczęść Wam Boże!

Nadesłane przez Panią Jadwigę opracowania to: „Historia Polaków na Bukowinie”, „Kościół rzymskokatolicki na Bukowinie”, „Górale czadeccy w krainie bukowińskiej”, wspomnienia o zasłużonych Polakach w Czerniowcach, a wreszcie wspomnienia o własnej rodzinie, związanej przez paręset lat ze Lwowem. Te ostatnie wejdą oczywiście w skład Archiwum Wschodnich Małopolan. Wszystkie nadesłane materiały prześlemy z czasem do Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich. Ale wcześniej będziemy je wykorzystywać w naszym kwartalniku.

Serdecznie dziękujemy, Pani Jadwigo, za materiały i miłe słowa! Szczęść Boże!

Niezwykle ciekawą dla nas przesyłkę otrzymaliśmy z Instytutu Wydawniczego „Świadectwo” w Bydgoszczy. Redaktor Naczelny p. Stefan Pastuszewski pisze:

Z dużą satysfakcją zapoznaliśmy się z 38 numerem „Cracovia–Leopolis”. To wspaniałe, co ro-

bicie! Bardzo fachowe. Nas, jako Inflantczyków zaciekał tekst pt. *Z Estonii w lwowskie Roztocze*.

Tu małe sprostowania: 1. Łotysze to nie tylko Kurowie, ale przede wszystkim Łatgalowie, Zemgałowie i Selowie; 2. Bałtami są również Litwini; 3. Dokładniej: Estończycy i Finowie to najpierw Bałtofinowie, a później Ugrofinowie; 4. Po polsku nie Rewal, ale Rewel, a po estońsku Tallinn; 5. Północna Estonia najpierw była w rękach duńskich. Są to drobiazgi, ale faktograficzne.

Chcemy nawiązać współpracę. Bardzo liczymy na kontakt z Jerzym Krusensternem. Czy można prosić o jego adres tudzież kserokopię inflanckiej części pamiętników Karola Krusensterna?

Do przesyłki dołączono 10 numerów czasopisma „Świat Inflant” – w podtytule: „Pismo literacko-naukowe” – które wychodzi w Bydgoszczy już od trzech lat. Mowa tam jednak nie tylko o Inflantach, ale też o Łotwie, Litwie i Wileńszczyźnie, a nawet o Tatarach osiadłych od wieków w naszych północno-wschodnich regionach. To bardzo ciekawe i p o w a ż n e czasopismo, jak zrozumieliśmy, jest organem Bractwa Inflanckiego, o którego istnieniu – jak i o piśmie – nie mieliśmy pojęcia. Dziękujemy i chętnie podejmiemy współpracę, nawiązując również do idei Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich.

List z Warszawy od ks. Barbary Czartoryskiej. Czytamy m.in.:

Zamieszczają Państwo również legendy i opowieści dotyczące naszych stron. Przyszło mi na myśl, że może przydadzą się dwa opowiadanie zamieszczone we wspomnieniach z dzieciństwa mojej śp. Matki (niestety wspomnienia ograniczają się do wczesnego dzieciństwa). Jedno to legenda o malarzu, którego obrazy wisiły w kościele w Żurawnie (obawiam się, że spłonęły wraz z kościołem). Nie znam źródła legendy. Drugie to opowiadanie o Jaxie na podstawie akt sądowych z Rohatyna. Wiem, że interesujący się XVII wiekiem historyk badający akta sądowe w tym mieście mieszkał jakiś czas u mych rodziców, a może dziadków, w Żurawnie i opowiadał o swych ciekawych znaleziskach. Niestety nie pamiętam (a może nigdy nie znalazł) jego nazwiska, ani kiedy to było. Obie historie nie są zmyślone, a jedynie literacko przekształcone przez moją Matkę. Załączam je.

Bardzo dziękujemy, także za pochwałę naszego kwartalnika. Oba teksty zamieścimy w następnym numerze (bo ten już „kopiaty”).

255 LAT TEMU W STANISŁAWOWIE

Poeta Franciszek Karpiński tak opisuje pogrzeb Józefa Potockiego, hetmana wielkiego koronnego, na którym był obecny w Stanisławowie:

Kościół cały adamaszkiem od wysokich gzymsów aż do dołu wybity, gęsto lampami oliwnymi oświecony, miał ogromny w środku katafalk, aksamitem ponsowym, ze złotymi frędzlami, światłem, portretem, herbami, bogatymi znakami po wezgłowach położonymi przyozdobiony. Od drzwi kościelnych aż do katafalku, na kroków kilkadziesiąt, posadzka z tarcic umyślnie dana, ażeby bohaterowie wojskowi na koniach wpadając więcej łoskotu czynili. Żałowałem na krzywdę Bożą, kiedy dla człowieka hetmana z Domu Bożego stajnię zrobiono. Wjeżdżali w największym końskim biegu wybrani rycerze po jednemu, i ten z nich kruszył kopią przy herbie będącym

u nóg trumny hetmańskiej, inny łamał szpadę, inny rzucał pałasz, inny strzały, inszy chorągiew, inszy buńczuk, inszy sztandar. Kiedy zaś złamawszy swoje narzędzie przy nogach trumny, spadał z konia, niby żał po swoim hetmanie udając, a dwom z tych bohaterów nie udało się wyradzić skruszenia chorągwi i sztandaru, bo świece na katafalku porozrucali, ale udało się spadnięcie z koni, bo byli dobrze pijanymi.

(wg *Magazyn GW 2/97*. A. Osęka, *Marność paradna*)

JÓZEF POTOCKI (1673–1751), wojewoda kolejno kijowski i poznański, hetman w. koronny, kasztelan krakowski. Zmarł w Załęczach, pochowany w kolegiacie stanisławowskiej. Jego główną siedzibą był Stanisławów, otaczał go szczególną opieką. Miał dobra w Stanisławowskim i Tarnopolskim, dzierżył liczne starostwa. Ufundował kościół i klasztor Jezuitów oraz klasztor Trynitarzy w Stanisławowie, kościół w Krotoszyńcu, kościół parafialny w Zbarażu, cerkiew w Brodach, klasztor Dominikanów w Tarnopolu, współfundował kościół Dominikanów we Lwowie.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa. Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Maria Taszycka, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska
Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl
Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: fall@fall.pl
Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2
Nakład 750 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie



Wydaliśmy kolejną książeczkę, już szóstą. Tym razem – po raz pierwszy – są to wiersze. Wiersze poety, o którego twórczości wielokrotnie pisaliśmy, przedstawiając coraz to nowe jego tomiki. We wstępie do tego właśnie pisze Janusz Paluch (cytujemy z niewielkimi skrótami):

Każdy z nas ma ulubione miejsce czy miejsca, do których tęskni, do których wraca... Jedni trzymają je w tajemnicy, inni dzielą się nimi z najbliższymi. Pisarze, poeci – jeśli już zdecydują się na ujawnienie tych miejsc – pokazują je swym czytelnikom. O takim miejscu, jakże drogim sercu Polaków, mówią wiersze na kartach tej książki.

Krzysztof Kołtun – rocznik 1958 – jest poetą z Chełma. Debiutował książką *Powrót* wydaną w Krakowie w 1984 r. I choć nie zdecydował się w Krakowie zamieszkać, to literacko (należy do oddziału krakowskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich) oraz edytorsko (Wydawnictwo Fall) związał się niemal na stałe z tym miastem.

Chcąc jednym słowem określić twórczość K. Kołtuna, śmiało można powiedzieć, iż jest poetą kresowym. Piewcą tego, co tkwi w każdym z nas, w każdym, kto choć trochę wie, co znaczy patriotyzm i myślenie kategoriami historycznymi.

Zanim serce poety dojrzało do stworzenia książki, którą Czytelniku, trzymasz w rękach – *Witraż lwowski* – oddał hołd miastu z Ostrą Bramą w tomie *Wileńska łaza czysta*. Pochylił się nad ruinami wsi i kościołów polskich, zapalił na cześć ich pamięci znicz w *Misterium z Wołynia*, westchnął w modlitwie w *Psalterzu z Porycka*. Oczywiście jego inne tomiki poezji – choćby *Kresowe żurawie*, *Kresowy wiśniowiersz* czy *Wołyńska*

litania – przepełnione są tematyką kresową. Te trzy jednak stanowią swoiste kamienie milowe w twórczości Krzysztofa Kołtuna.

Lwowski witraż jest dopełnieniem literackich uniesień poety, który zauroczony pięknem niemal bliźniaczych miast, dzieli serce między Lwowem i Krakowem. Nietatwo było mu napisać współcześnie tom o Lwowie, pomijając Kraków. Iluż tu bowiem lwowiaków, kresowiaków, znalazło schronienie! Ile obrazów i figur kościelnych, otoczonych specjalną czcią, trafiło pod opiekuńcze dachy krakowskich świątyń, znajdując schronienie po wojennej pożodze...

Resztę doczyta Czytelnik, kiedy weźmie do ręki nasz najnowszy tomik. A potem wiersz po wierszu – aż do ostatniego, tytułowego, który tu – dla zachęty – cytujemy:

LWOWSKI WITRAŻ

Idę wzgórkami – drogą
przez miasta kamienne,
miłości ogrody.
Zachwycam się, tęsknie
patrząc w horyzont z wieżami.
Trudno być wszędzie
– grzech nie być!

Życie jedno –
podarunek Boży,
dzielić trzeba każdego dnia,
rozdawać głodnym
jak albertyński chleb...
Wystarczy wszystkim,
kórzy kochają.

Przedemną witraż –
okopcony płaczącymi świecami
a śliczny...

Białe orły fruwać,
strząsając pył z lili
naniesionych z odpustu
od Antoniego z Łyczakowa.
Tęskniącymi oczami
wysadzona korona
– Matki Bożej Łaskawej.
Dzieciątka w kusej koszuli
z Krakowskiego Rynku.

Złote babcunie – klęczniki miłości
obolałymi nogami
przychodzą ciche
– Straż Honorowa!
Patrzę wokół – życie
Lwowski Witraż
podparty lwimi karkami
z cmentarza Orłąt.

Łzy i zachwyty.

Spis treści	Słowo od redakcji LEOPOLIS UBIQUE PRAESENS	II	Walerian Pawłowski JERZY	46
	Felieton Barbara Czałczyńska WSPOMINAM LEMA	1	Słownik geograficzno- -historyczny LWÓW – UCZELNIE AKADEMICKIE ♦ LWÓW – POMNIKI, FIGURY, RZE•BY	47
	Andrzej Chlipalski WE LWOWIE PO 350 LATACH	3	Sylwetki Irena Suchanek LESŁAW WĘGRZYNOWSKI	48
	Jerzy Stankiewicz BYLIŚMY TAKŻE	8	ALEKSANDER DOMASZEWICZ	49
	Michał Parczewski PRZEDMURZE ŁĘDZIAŃSKIE	12	Z żałobnej karty Anna Madej TARNOPOLANKA	50
	Piotr Krasny MIĘDZY NORYMBERGĄ A MORZEM CZARNYM	16	LESŁAW HAWLING	52
	Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM ŻAKIM	19	Z tamtej strony ŚWIETNA WSPÓŁPRACA	54
	Henryka Kramarz LWOWSKA „ŚWIĘTA ELŻBIETA”...	23	Zofia Kosidor LWOWSKI UNIWERSYTET TRZECIEGO WIEKU	55
	Anna Piwowarska ŻYCIE TOWARZYSKIE ARTYSTYCZNEJ BRACI	26	Maria Grzegocka SZKOŁA PLASTYCZNA „WRZOS”	56
	Poezja Anna I. Hryniewiecka-Smolana MIASTO MOJE	30	Polacy z Polakami Prof. Zbigniew Chłap STOWARZYSZENIE „LEKARZE NADZIEI” PROMUJE...	57
	Jadwiga Sibiga WIOSNA NIEDALEKO	30	W Krakowie i dalej ASYMETRIA TOTALNA	59
	Wspomnienia Tadeusz Petrowicz ORMIAŃSKA FUNDACJA TOROSIEWICZA	31	DZIĘKCZYNIENIE ZA KANONIZACJĘ... NOTATKI	60
	Adam Trojanowski KOLEŻANKI MOJEJ SIOSTRY	36	Kultura ♦ Nauka Egon Leopolski DĄB I LAUR	61
	Helena Żołnierzowa MOJA MAŁA OJCZYZNA	40	Jerzy Kowalczuk POTOMEK LWOWSKIEJ RODZINY... KRONIKA	62
	Archiwum CMENTARZE I TWÓRCY	42	Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI WERTUJĄC WYDAWNICTWA INTERNET	64
	Barbara Szumska ŻAGŁOWIEC „LWÓW” I JEGO KAPITAN	43	LISTY	78
	Tadeusz Chlipalski SZYBOWCE WE LWOWIE	44	Archiwum 255 LAT TEMU W STANISŁAWOWIE	78
				80